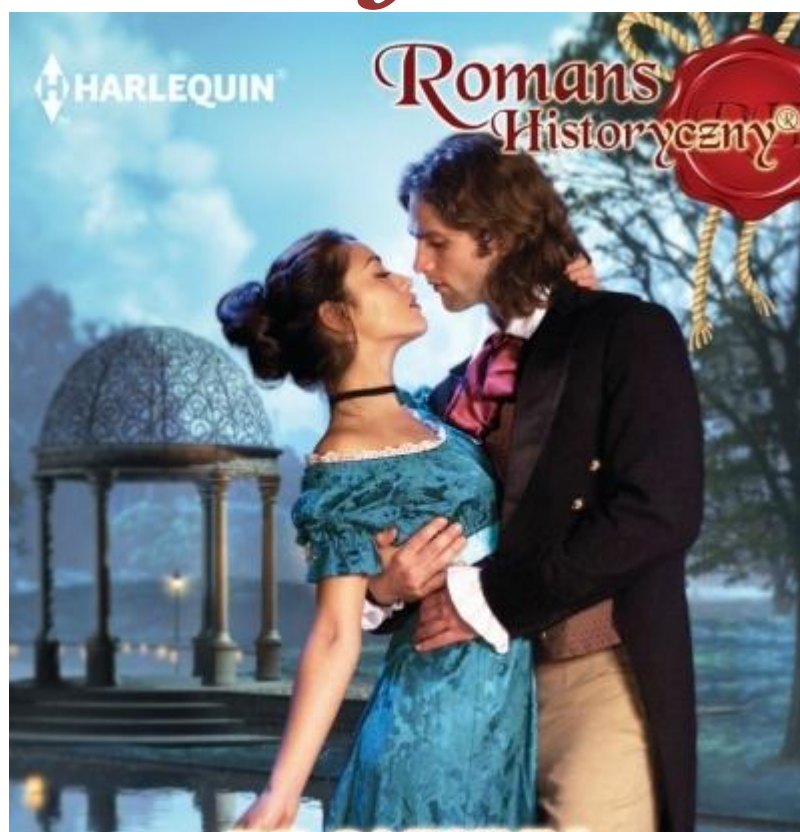




Bronwyn Scott



Zakochany łajdak

PROLOG

Ciszę panującą w przyciemnionym wnętrzu pokoju przerwał głos chorego.

- Muszę zmienić testament!

- Słyszałem, powtarzasz się - odpowiedział z cierpliwością, nabytą w ciągu długoletniej praktyki zawodowej, Markham Marsbury będący od ponad dziesięciu lat adwokatem hrabiego Audley. Hrabia nie był pierwszym klientem, którego do ostatniej chwili nawiedzały wątpliwości co do treści ostatniej woli. Tyle że prośba hrabiego okazała się bardzo nietypowa.

- Nie zgadzasz się z moją decyzją - stwierdził zaczepnie hrabia.

Wykazywał nagły przypływ ożywienia. Może to dobry znak i tym razem starszemu się polepszy, pomyślał Marsbury z nadzieją - nie mógłby wybrać gorszego czasu na odejście. Z drugiej strony, doświadczony prawnik nie miał złudzeń. Wielokrotnie obserwował u umierających przypływ wigoru na dzień-dwa przed ostatecznym końcem.

- Tak, nie zgadzam się, Richardzie - przyznał adwokat szczerze, bowiem przez długie lata współpracy zaprzyjaźnili się. - Wiem, że chcesz zabezpieczyć majątek swego rodzaju parasolem ochronnym. Po tym, co spotkało Aleksa, to w pełni zrozumiałe. Ale dzielenie opieki między trzy osoby, a zwłaszcza oddanie decydującego głosu tej młodej damie? Masz dwóch żyjących spadkobierców, obaj są twoimi synami. Na miłość boską, Richardzie, ona nie jest nawet Angielką. To Amerykanka.

- Bedevere jej potrzebuje. Dowiodła tego przez ostatnie miesiące - wybuchnął hrabia, niezadowolony, że napotyka opór. - Amerykańskie podejście może okazać się ożywcze, a poza tym ona jest dla mnie jak córka, której zawsze mi brakowało.

A może nawet stała się substytutem syna, który nie pokazał się w domu od dziesięciu lat, pomyślał Marsbury i powiedział na głos:

- Ashe wróci.

Mimo to wyciągnął papier i zaczął pisać. Znał ten rodzaj uporczywości, na który nie ma lekarstwa. Nie znajdzie sposobu, by wyperswadować hrabiemu ten pomysł.

- Nie za mojego życia - odparł rzeczowo hrabia. - Kiedy się pokłóciliśmy, powiedział to wyraźnie. Wiem, jaki jest zawzięty.

Niedaleko pada jabłko od jabłoni, pomyślał Marsbury. Dokończył pisanie kodycylu, położył go przed hrabią i przytrzymał mu rękę. Od pewnego czasu hrabia nie potrafił utrzymać pióra w dłoni, więc podpis przypominał ledwie czytelny zygzak.

Marsbury posypał dokument piaskiem, ostrożnie odłożył na stos innych dokumentów, po czym uściskał dłoń przyjacielowi.

- Może się to okazać wcale niepotrzebne. Lepiej dziś wyglądasz. - Uśmiechnął się, ale hrabia nie odwzajemnił uśmiechu.

- Owszem, potrzebne - mruknął. - Zrobiłem, co potrzeba, żeby ściągnąć mojego syna do domu. Dobrze go znam. Zrobi dla Bedevere to, czego nie zrobiłby dla mnie. Kocha to miejsce i przyjedzie na pewno.

Marsbury pokiwał głową, myśląc o dwóch pozostałych nazwiskach wymienionych w kodycyli, tak zwanych dwóch pozostałych udziałowcach, powołanych do zarządzania majątkiem. Śmierć ojca sprowadzi marnotrawnego syna do domu, jednak świadomość, że Bedevere otaczają wrogowie, którzy tylko czekają na to, aby je wykupić, może się okazać wystarczającym powodem do zaniechania powrotu.

- Do jutra. - Marsbury zatrasnął pulpit do pisania.

Hrabia posłał mu blady uśmiech. Wyglądał teraz znacznie gorzej niż przed kilkoma minutami.

- Wątpię, czy dożyję jutra. Jeśli chcesz się ze mną pożegnać, zrób to teraz.

- Od kiedy stałeś się taki sentymentalny, ty uparciuchu - zażartował Marsbury, poklepując chorego po dłoni.

Stary hrabia wiedział, co mówił, bowiem śmierć okazała się nie mniej uparta od niego.
Markham

Marsbury wcale się jednak nie zdziwił, gdy następnego dnia dostał przy porannej kawie wiadomość, że czwarty hrabia Audley zmarł tuż przed świtem w obecności doktora i niejkiej Genevry Ralston, Amerykanki, w której rękach spoczywał teraz los majątku Bedevere. Markham kazał sobie podać przybory do pisania i wysłał zawiadomienie do Londynu, mając nadzieję, że dotrze ono do rąk lorda Ashtona i ściągnie go niezwłocznie do domu.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Noc z Ashe'em Bedevere'em należała niewątpliwie do atrakcji sezonu. Wyjaśniało to, dlaczego lady Hargrove z precudownie nadąsanymi usteczkami kusila widokiem nagiego biustu, wyłaniającego się raz po raz spod starannie udrapowanego prześcieradła.

- Przecież kilka minut cię nie zbawi - protestowała, pozwalając z niewinnym wyrazem twarzy, by prześcieradło prowokacyjnie odsłoniło kształtne biodro.

Ashe pospiesznie wkładał koszulę. O ile jeszcze nieco wcześniej tego wieczoru był pod wielkim wrażeniem kobiecych wdzięków lady Hargrove, to z chwilą otrzymania listu straciły one wszelki powab. Wciągnął spodnie i aby ugłaskać rozczarowaną damę, obdarzył ją czarującym uśmiechem.

- Moja droga, to co dla nas zaplanowałem, wymaga więcej czasu niż kilku minut.

Zanim zdążyła ponownie otworzyć usta, wyszedł w przekonaniu, że mimo wszystko nie spalił za sobą mostów. W głowie miał tylko jedno: jak najszybciej dotrzeć do Bedevere, rodzinnego majątku Audleyów.

Nie miało znaczenia, że dzieliły go od Londynu trzy dni drogi. Nieważne, że nie miał pojęcia, co robi, kiedy tam dotrze. Nieważne, że w przeszłości otrzymywał liczne wezwania do powrotu do domu i je lekceważył. Teraz wszystko się zmieniło. Otrzymał dwa zdania skreślone ręką adwokata: „Proszę wracać. Pański ojciec nie żyje”.

Gnany pośpiechem i poczuciem bezsilności, Ashe biegiem pokonał ostatnie ulice dzielące go od wynajmowanego mieszkania na Jermyn Street. Nigdy nie sądził, że jakakolwiek wiadomość od prawnika tak go poruszy.

Trzy dni później

Do stu diabłów! - zaklął pod nosem Ashe i osadził w miejscu gniadego ogiera. To ma być ziemia Bedevere? Ziemia jego ojca? Te zachwaszczone pola, te rozsypujące się kamienne murki wzdłuż wyboistej drogi? Za dawnych lat nie tak to wyglądało. Trawniki były starannie przystrzyżone, a drogi wyrównane. Zaniedbanie majątku rzucało się w oczy tak bardzo, że mimowolnie nasuwało się pytanie, jak do tego doszło.

Poczuł przyływ wyrzutów sumienia. Dobrze znał odpowiedź. Głównie to on ponosił za to winę.

Ostatnie wezwanie do domu nie było pierwsze, choć tym razem będzie ostatnie. Ashe mógł wrócić już przed czterema laty, kiedy dały o sobie znać pierwsze symptomy choroby ojca. Mógł wrócić też przed dwoma laty, kiedy z nieznanых powodów brat utracił kontakt z rzeczywistością. Nie wrócił, a teraz musiał stawić czoło konsekwencjom. Bedevere chyliło się ku upadkowi, a odpowiedzialność za ten stan rzeczy spoczywała na nim.

Co za ironia losu, że miał teraz przejąć opiekę nad miejscem, które tak ochoczo opuszczał przed laty. Wówczas posiadłość była w kwitjącym stanie, czego nie można było powiedzieć o nim. Dzisiaj więc czuł się jak upadły król, który ma rządzić podupadłym Camelotem.

Cóż, trzeba chwycić byka za rogi, powiedział do siebie Ashe i poderwał rumaka do galopu. Bagaże powinny przyjechać wczoraj, sygnalizując jego rychłe pojawienie się. Ciotki są zapewne na nogach od świtu i nie mogą doczekać się przyjazdu uroczego siostrzeńca.

Miał teraz stać się ich opiekunem, chociaż nie czuł się właściwą osobą do tej roli. To jednak była część jego dziedzictwa. Kobiety z Bedevere nie wychodziły za mąż za mężczyzn na tyle przewidujących, żeby zapewnić im egzystencję po ich śmierci, a mężczyźni z Bedevere nie mieli szczęścia żyć wystarczająco długo, by ich w tym zastąpić.

Widok zaniedbanych pól i zarośniętego parku był ukrytym błogosławieństwem, przygotowywał bowiem na obraz opuszczenia, jaki przedstawiał dwór. Dziki bluszcz pokrywał niegdyś nieskazitelnie czystą fasadę z piaskowca. Z okna na drugim piętrze zwisała wyłamana okiennica. Pozarastanych rabat kwiatowych od dawna nie dotykała ręka ogrodnika. Natura brała górę nad zadbaną niegdyś posiadłością.

Dawnymi laty Bedevere Hall, duma czterech generacji Audleyów, uchodził za klejnot w koronie hrabstwa. Dwór nie był może największą arystokratyczną siedzibą - Seaton Hall leżący kilka mil na południe był większy - ale Bedevere uważano za znacznie ładniejszy ze względu na piękny park i malownicze widoki. Kłusując aleją wjazdową do dworu, Ashe stwierdził, że niewiele pozostało z niegdyśjszych uroków posiadłości.

Zsiadał z konia i przygotowywał się na to, co zastanie wewnątrz dworu. Jeśli otoczenie wyglądało tak źle, można sobie wyobrazić, co działo się w środku. Ze stajni wybiegł chłopak, żeby zająć się jego koniem. Ashe'a korciło, żeby zadać mu parę pytań, ale zrezygnował. Postanowił najpierw zobaczyć wszystko na własne oczy.

Drzwi wejściowe otworzyły się niemal natychmiast, kiedy zastukał kołatką. Gardener, wysoki i posepny, był dokładnie taki sam, jakim go Ashe zapamiętał, może tylko trochę bardziej posiwiął i wychudł.

- Witamy w domu, panie Bedevere - uklonił się Gardener. - Przykro mi, że w takich okolicznościach. Proszę za mną. Jest pan oczekiwany.

Ashe podążył za Gardenerem do bawialni, odnotowując po drodze, że na konsolkach pod ścianami brak wazonów z kwiatami, dywany są mocno poprzecierane, a zasłony wypłowiałe. Oburzające zaniedbanie. Jednak jeszcze bardziej rzucała się w oczy pustka.

Żadna pokojówka nie polerowała poręczy schodów, żaden lokaj nie czekał na polecenia. Zazwyczaj tętniący życiem hol był cichy i wyludniały. Ashe miał do tej pory do czynienia z Gardenerem i chłopcem stajennym, ale podejrzewał, że w domu było więcej służby, włącznie z kucharką. Miał nadzieję, ale nie obiecywał sobie za wiele, zwłaszcza po pierwszym wrażeniu.

Przystanął przed wejściem do bawialni i wziął głęboki oddech. Za drzwiami czekała na niego odpowiedzialność, której unikał od lat, ale los spletał mu figla. Wszystkie wysiłki, by jej uniknąć, okazały się daremne. Dziedzictwo Bedevere, jedyna rzecz, od której tak usilnie próbował uciec, i tak spoczęło na jego barkach. Może to i prawda, że koniec końców wszystkie drogi prowadzą do domu, mruknął sentencjonalnie.

- Jest pan gotowy, sir? - zapytał Gardener, po tylu latach nienaganej służby bezbłędnie odczytujący nastroje chlebowców.

Dał teraz Ashe'owi kilka sekund na przygotowanie się.

- Jestem gotowy - odpowiedział, myśląc w duchu, że wcale nie jest tego taki pewien.

- Tak, sir, myślę, że jest pan gotowy. W końcu. - W oczach starego sługi błysnęło uznanie.

- Mam nadzieję. - Ashe już sobie wyobraził Gardenera z podziwem opowiadającego w kuchni, jak to młody dziedzic, nie zważając na zmęczenie po długiej podróży wierzchem, zmierzra prosto na spotkanie z przeznaczeniem.

Gardener miał skłonność do dopatrywania się w Ashe'u najlepszych cech. Nim nastanie wieczór, pomyślał, zrobi ze mnie anioła. Chociaż jeśli był aniołem, to upadłym. Niech Bóg broni, by ktokolwiek w Bedevere dowiedział się, w jakiej sytuacji zastała go wiadomość o śmierci ojca. Igraszki z lady Hargrove były porównywalne z deklamacją wierszy podczas pożaru Rzymu.

Gardener otworzył drzwi i zaanonsował.

- Pan Bedevere.

Ashe wkroczył do pokoju i natychmiast zauważył różnicę. Mimo że zasłony w oknach też były wypłowiałe, tutaj zgromadzono pozostałości wszystkiego, co najlepsze w całym domu.

Na stolikach stały wazony z kwiatami, na sofach nie brakowało poduszek, gzyms nad kominkiem zdobiły dekoracyjne bibeloty. Ashe rozumiał, że stał się ten pokój oazą, ostatnim wspomnieniem dawnej elegancji i świetności.

Zdziwiła go liczba obecnych. Ciotki nie były same. Zgromadzonym wokół kominka Letycji, Lawinii, Melisandzie i Margericie towarzyszył nieznany mężczyzna, ale uwagę przyciągała przede wszystkim kobieta siedząca pod wychodzącym na ogród oknem. Była niepospolitej urody - ciemnowłosa, o szarych oczach, kontrastujących z kremową karnacją twarzy. Zwracałaby uwagę nawet w wypełnionej londyńskimi pięknosciami sali balowej. Ashe podejrzewał, że wybrała miejsce z dala od reszty towarzystwa powodowana dyskrecją, jednak jej uroda niweczyła ten zamiar. Na tle wiekowych pań i mężczyzn w średnim wieku po prostu nie mogła pozostać w cieniu.

- Drogie panie, do usług. - Ashe złożył szarmancki ukłon ciotkom, jednak nie odrywał oczu od kobiety pod oknem.

Jej urok polegał nie tylko na niebanalnej urodzie. Osadzona na długiej szyi majestatycznie uniesiona głowa i wyprostowana sylwetka zdawały się krzyknąć: „zauważ mnie, nie bądź obojętny”, a mimo delikatnej urody nie była nieśmiałą dziewczicą. Zauważył to w uważnym, nieskrępowanym spojrzeniu pięknych szarych oczu.

Letycja poderwała się z miejsca, dostojniejsza i bardziej krucha, niż Ashe ją zapamiętał, o włosach przyprószonych siwizną. Wszystkie panie wydawały się bardziej wątle niż przed laty z wyjątkiem syreny pod oknem. Przypatrywała się mu, od chwili gdy wszedł do bawialni, starając się go ocenić, tak samo zresztą jak on ją. Nie wiedział, kim była, ale musiała być wystarczająco ważna, że zaproszono ją do udziału w jego powitaniu. Co ważniejsze, znalazła się w gronie domowników w doniosłej chwili naznaczonej śmiercią hrabiego.

Ashe był cynikiem, wiedział, jak funkcjonuje świat, nie żywił złudzeń. Po pogrzebie pograżona w żałobie rodzina powinna mieć czas tylko dla siebie, żeby uporządkować sprawy po zmarłym i zorganizować na nowo swoje życie. Tygodnie po pogrzebie to czas intymny i dom nie powinien być otwarty dla obcych. Oczywiście, obcy często zjawiają się, by porwać jakiś okruch ze stołu. Abstrahując od tej ślicznej ciemnowłosej kobiety, Ashe wiedział, jakim słowem określić takich intruzów: padlinożercy.

- Kochany siostrzeńcze, tak się cieszę, że przyjechałeś - uściśnęła jego dłoń Letycja. - Przykro mi, że nie mogliśmy poczekać na ciebie z pogrzebem - dodała smutnym głosem.

Ashe przyjął przeprosiny ze zrozumieniem. Policzył sobie, że od śmierci ojca musiało upłynąć co najmniej sześć dni. Tyle czasu w sumie potrzebował posłaniec, by dotrzeć do Londynu z wiadomością, a potem on na podróż do domu. Nie miał szansy zdążyć na pogrzeb.

- Chodź, przedstawię cię. To jest pani Ralston, nasza droga Genni - wskazała na siedzącą pod oknem wdzięczną postać. - Była dla nas opoką wobec tego nieszczęścia.

Genni to imię odpowiedniejsze dla dziewczyny niż dla dojrzałej kobiety. Nieznajoma wstała i wyciągnęła dłoń, nie do pocałunku, lecz do uścisku.

- Miło mi w końcu pana poznać.

Uwagi Ashe'a nie uszedł ton przygany, tak subtelny, że nie zauważył go nikt poza adresem - a może był to tylko wytwór jego nadwyreżonej wyrzutami sumienia wyobraźni?

- Mnie również - odpowiedział sucho.

Kimkolwiek była, już zdążyła się wkraść w łaski ciotek. Ewidentnie nie została zatrudniona jako dama do towarzystwa. Zachowywała się zbyt pewnie jak na taką podrzędna rolę, a jej ubranie było zbyt eleganckie. Prosta popołudniowa suknia z zielonej wełny merino odznaczała się perfekcyjnym krojem i bez wątpienia wyszła spod igły wyśmienitej krawcowej, koronkowe wykończenie kołnierzyka i mankietów było skromne, lecz kosztowne. Sądząc po stanie Bedevere, mieszkanki majątku z całą pewnością nie stać na damę do towarzystwa tej klasy. Rodziło się zatem pytanie: kim w takim razie była?

- Genni kupiła Seaton Hall i zajmuje się jego renowacją.

- Doprawdy? - zapytał uprzejmie Ashe jeszcze bardziej zaintrygowany.

Prawdopodobnie więc nie chodziło jej tylko o korzyść majątkową, a poza tym kobieta biorąca na siebie odpowiedzialność za posiadłość ziemską to zdecydowanie rzadkość. Podejrzewał, że skoro Letycja nie zająknęła się o mężu, musiała być młodą wdową. Interesujące, pomyślał. Młode wdowy często miały szczególną przeszłość, niekoniecznie związaną z mężami i małżeństwem.

Letycja dokończyła prezentacji.

- Ten oto dżentelmen, pan Marsbury, jest adwokatem twojego ojca. Zgodził się wspaniałomyślnie zostać do twojego przyjazdu, żeby uregulować sprawy majątkowe.

Ashe wyciągnął rękę. Marsbury był niemłodym, zażywnym i rumianym mężczyzną, przypominającym wiejskiego dziedzica.

- Dziękuję za wiadomość. Mam nadzieję, że nie naraziłem pana na zbyt długie oczekiwanie.

Zachowanie Marsbury'ego było równie energiczne, co jego uścisk dłoni.

- Żaden kłopot. Oczekiwanie na pański przyjazd miało sens tym większy, że wszyscy pozostali zainteresowani są na miejscu.

Ashe rzucił „Genni” zimne spojrzenie. Czyżby ta obca kobieta miała udział w schedzie po ojcu? Przez głowę przebiegł mu kalejdoskop możliwych scenariuszy. Jeśli to wdowa, to może ojciec uczynił ją swoją późną kochanką? Czyżby liczyła na to, że włączył ją do testamentu?

Nie wątpił, że ze swoimi lśniącymi czarnymi włosami i rezolutną twarzą mogła skłonić najrozsądniejszego mężczyznę do złożenia jej takiej propozycji, a trzydziestoletnia różnica wieku nie miałaby żadnego znaczenia. Uniósł pytająco brwi, jakby chciał powtórzyć słowa prawnika: „Wszyscy pozostali zainteresowani?”.

Marsbury nie dał się zbić z tropu.

- Pański kuzyn, Henry Bennington.

Zimne podejrzenie wkradło się do umysłu Ashe'a.

- A cóż kuzyn Henry ma wspólnego z tym wszystkim?

- W ostatnich miesiącach był wielkim wsparciem dla rodziny - przemówiła piękność ze swego miejsca pod oknem.

Ashe'owi zdawało się, że w głębi jej szarych oczu dostrzegł srebrzysty błysk gwałtownych emocji. Czyżby piękna pani podkochiwała się w kuzynie Henrym, mężczyźnie o błękitnych oczach, włosach blond i nienagannych manierach?

Ashe spojrzał w jej kierunku ponad głowami pozostałych.

- Pani wybaczy, ale trudno mi w to uwierzyć. Jediną cechą wyróżniającą kuzyna Henry'ego, oprócz upodobania do literatury, jest cierpliwość, z jaką czekał jako najbliższy męski krewny na bezpotomną śmierć mojego ojca i zapewniam panią, że tą nadzieją żywił się od dawna.

Szczególnie w ostatnich latach, kiedy brat Ashe'a, Aleks, zachorował, a on sam prowadził styl życia, któremu w każdej chwili mogła położyć kres kula z pistoletu jednego z zazdrośnych mężów londyńskich piękności.

Marsbury skrzyżował ramiona na szerokiej piersi i chrząknął, by dać wyraz dezaprobaty dla ostatniej uwagi Ashe'a.

- Pan Bennington dołączy do pani Ralston i nas obu w gabinecie, gdzie omówimy sprawy spadkowe.

Ashe zauważył, że pani Ralston spojrzała w górę, jakby była zdziwiona. Nieźle udaje, pomyślał.

- Więc chodźmy - powiedział władczym tonem.

A więc odczytanie testamentu wymaga obecności ich trojga... Nie w takich trójkątach dotychczas uczestniczył, chociaż skład bywał podobny: ich dwóch, a ona jedna. Ashe zastanawiał się, czy powabna pani Ralston i Henry nie wykombinowali czegoś razem. Podejrzenie skwapliwie go broniła.

Jakiegolwiek intrygi snuł kuzyn podczas jego nieobecności, Ashe chciał, żeby jak najprędzej zrozumiano, że Henry Bennington nie ma nic do gadania w Bedevere. Piękne, ciemnowłose Amerykanki również.

Prawowity dziedzic Bedevere wrócił bowiem do domu.

TLR

ROZDZIAŁ DRUGI

Tak jak przewidział stary hrabia, młody Bedevere wrócił do domu, jak zawsze wprowadzając zamęt. Genevra czuła jego obecność, nawet wtedy gdy zamknęli się z Marsburym w gabinecie. Denerwował ją jak mało kto.

Potrzebowała chwili na zebranie myśli. Skupiła wzrok na widoku za oknem i zamyśliła się. Należał do ludzi, którzy wywołują poruszenie, gdziekolwiek się pojawiają. Imponowała jej jego pewność siebie, ale bardziej niepokoiła ją silna zmysłowość. Był uwodzicielski, a diabelsko czarne, zawadiacko rozwiane włosy i zielone, jaszczurcze oczy dodawały mu nieodpartego uroku. Każdym spojrzeniem zdawał się przeświecać jej najskrytsze myśli.

Postanowiła, że jeśli przetrwa odczytanie testamentu, będzie wszelkimi sposobami unikała pana Bedevere'a. Najchętniej wróciłaby do Seaton Hall, gdyby odnowiono już chociaż część pokoi.

- Powinnyśmy wydać przyjęcie, aby powitać pana Bedevere'a! - wykrzyknęła Lawinia. - Kucharka upiecze bażanta, a my ubierzemy stół w jadalni kwiatami.

Genevra ponownie odwróciła się od okna. Nadzieja na uniknięcie spotkania ulatniała się.

- Ale czy wypada? - zaniepokoiła się Melisanda. - Jesteśmy przecież w żałobie.

- Nie zaprosimy wielu gości i nie będzie tańców... Nikt się nie dowie - trwała przy swoim Lawinia. Wyciągnęła szczupłą dłoń ku Genevrze. - Musisz przyznać, że nasz siostrzeniec jest zabójczo przystojny! Czyż nie miałam racji?!

Genevra z uśmiechem chwyciła dłoń Lawinii. Pomyślała, że jeśli starsze panie chcą przyjęcia, ona je im zorganizuje. Ostatnie miesiące, podczas których chorował stary hrabia, odbiły się na ich zdrowiu, a każda przekroczyła już siedemdziesiątkę. Pomagała im, jak tylko mogła. Odwiedzała je codziennie, a z nastaniem zimy przeniosła się do Bedevere na stałe. W tym czasie rozpoczęły się prace renowacyjne w Seaton Hall. Henry sprowadził się do Bedevere już wcześniej i był bardzo pomocny w odróżnieniu od fruującego po świecie Ashe'a, którego dopiero wizja odziedziczenia majątku sprowadziła do domu.

Tak czy inaczej, musiała zachować dystans. Niedawno poskładała wreszcie swoje życie i nie pozwoli, by ponownie jakiś przystojniak zawrócił jej w głowie.

Obecność tylu osób w gabinecie drażniła Ashe'a. Ledwo zdążył usadowić panią Ralston, wszedł Henry z wyciągniętą na powitanie dłonią i uśmiechem na twarzy.

- Kuzynie! Dobrze, że wróciłeś.

Ashe nie dał się nabrać na ten uśmiech. Większość kłopotów, w jakich kiedykolwiek znalazł się z bratem, zawdzięczał kuzynowi Henry'emu, bowiem on jak mało kto miał w zwyczaju przerzucać na innych odpowiedzialność za swoje złe uczynki.

- Tak samo powitała mnie ciotka Letycja - odpowiedział Ashe oschle.

Czyżby naprawdę wątpili, że wróci? Nie wykonał najdrobniejszego gestu, by uścisnąć wyciągniętą ku niemu prawicę. Z zadowoleniem zauważył, że ta nieuprzejmość zgasła entuzjazm Henry'ego, który bez słowa zajął puste krzesło i nerwowo pocierał dłońmi o nogawki spodni.

- Powitałbym cię wcześniej, ale zatrzymały mnie pewne sprawy związane z majątkiem.

- To mój dom, kuzynie, nie muszę czekać na twoje powitanie. - Ashe nie miał zamiaru pozwolić, aby traktowali go jak gościa.

- Panie Marsbury, zaczynajmy. - Czas przejąć kontrolę.

Prawnik włożył na nos okulary i położył dłonie na biurku.

- Pani Ralston, panowie. Jak państwu wiadomo, mamy do czynienia z nieco niezwykłą sytuacją. Hrabia zmarł, a jego najstarszy syn przeżył załamanie nerwowe, które czyni go niezdolnym do objęcia schedy. Niezależnie jednak od jego stanu umysłowego jest on parem Anglii i Aleksander Bedevere pozostanie oficjalnie piątym hrabią Audley. Jeśli umrze, nie pozostawiwszy syna z prawego łoża, tytuł przejdzie na pana, panie Ashe. To wszystko jest oczywiste, ale pozostaje jeszcze sprawa zarządzania majątkiem ziemskim. - Marsbury spojrzał uważnie na zgromadzonych i dokończył: - Nowy hrabia bowiem nie może decydować o swoich finansach i posiadłościach.

Ashe spojrzał zaintrygowany na Marsbury'ego. Wiedział, że nie odziedziczy tytułu i wcale tego nie pragnął. Czuł się doskonale w skórze zwykłego pana Bedevere'a, ulubieńca londyńskich dam. Teraz jednak zaczynał przeczuwać, że wolność od obowiązków wymyka mu się z rąk.

Obserwował reakcję siedzących po obu jego bokach pani Ralston i Henry'ego. Henry z trudem ukrywał niecierpliwość. Pani Ralston zacisnęła nerwowo dłonie na oparciu fotela. Henry wydawał się podekscytowany.

- Poprzedni hrabia - kontynuował Marsbury - zwrócił się do Korony o udzielenie zgody na ustanowienie regencji. W swojej formie podobnej do regencji sprawowanej podczas choroby króla Jerzego III. Zgodę uzyskał na kilka miesięcy przed śmiercią.

- Co to znaczy, do wszystkich diabłów? - warknął Ashe.

- To znaczy, mówiąc wprost, że Bedevere może wpaść w każde łapy, kuzynie - odezwał się nonszalanckim tonem Henry.

Marsbury chrząknięciem przywołał go do porządku.

- Niezupełnie, panie Bennington. Pozwolą państwo, że odczytam stosowny fragment ostatniej woli hrabiego. - „Ja, Richard Thomas Bedevere, czwarty hrabia Audley, będąc w pełni władz fizycznych i umysłowych, w dniu dwudziestym czwartym stycznia roku tysiąc osiemset trzydziestego czwartego...”

Kodycył, który odczytywał Marsbury, nie był fragmentem głównego dokumentu. Ojciec sporządził go na dzień przed śmiercią. Ciekawe, pomyślał Ashe i obrzucił pytającym spojrzeniem Henry'ego. Czyżby udało się mu przekonać ojca do jakiegoś głupstwa? A może to pani Ralston? Ludzie przed spotkaniem ze Stwórcą bywają podatni na manipulacje.

Pierwsza część dokumentu dotyczyła tytułu, ale treści drugiej nikt się nie spodziewał.

- „Za życia Aleksandra Bedevere'a zarządzanie majątkiem powierzam następującym osobom: w czterdziestu pięciu procentach mojemu synowi, Ashtonowi Bedevere'owi - z którym pokłóciłem się przed laty i którego od tamtej pory nie widziałem - w nadziei, że zainspiruje go to do odpowiedzialności; mojemu siostrzeńcowi, Henry'emu Benningtonowi - w czterech procentach - w nadziei, że zrozumie, że został należycie wynagrodzony; wreszcie w pięćdziesięciu jeden procentach wartości ordynacji Genevrze Ralston, która była mi jak córka w ostatnich dniach życia i która zainspirowała mnie swoją wizją rozwoju majątku”.

Ashe nie posiadał się ze zdumienia. Nie kwapił się do zarządzania, ale kiedy ten ciężar został nagle zdjęty z jego barków, nie poczuł ulgi, tylko gniew i rozżalenie. Ojciec chyba nie sądził, że takie rozporządzenie było tym, czego pragnął! W tej chwili to nieistotne, pomyślał. Później zajmie się odgadywaniem intencji. Teraz jego umysł rozważał wszystkie możliwe konsekwencje tej szczególnej trzyosobowej regencji. Czy miał się sprzymierzyć z Henrym?

Cztery procent z pewnością nie urządziło go. To dodatkowy dowód na to, że ojciec wiedział, jakim jest nicponiem, a sądząc po buraczkowym zabarwieniu twarzy Henry'ego, on też świetnie zdawał sobie z tego sprawę.

- Cztery procent! To wszystko? Po tym, co zrobiłem przez ostatni rok? - wybuchnął nagle. - Oddałem rok życia, aby się nim opiekować.

- Nikt pana o to nie prosił - spokojnie powiedział Marsbury. - Zapewne opiekował się pan wujem powodowany poczuciem rodzinnego obowiązku, a nie chciwością. Czyż nie?

Brawo. Marsbury zyskał punkt w oczach Ashe'a. Henry spojrział na starego prawnika wilkiem i wstał. Poinformował, że musi wyjść, bo ma umówione spotkanie gdzie indziej. Pani Ralston pozostała na swoim miejscu. Siedziała ze spuszczonego wzrokiem, skutecznie ukrywając myśli, jakie kłębiły się jej w głowie. Właśnie odziedziczyła, przynajmniej na jakiś czas, dużą część wspaniałego angielskiego majątku. Trudno było zgadnąć, czy czuła się zaszokowana, czy usatysfakcjonowana, że plan się ostatecznie powiódł.

- Pani Ralston, chciałbym zamienić kilka słów z panem Marsburym - powiedział Ashe, zakładając, że dobre wychowanie podpowie jej, żeby wyszła. Nie zawiodła go.

- Ależ naturalnie. Do widzenia, panie Marsbury. Mam nadzieję, że spotkamy się w przyszłości w radośniejszych okolicznościach.

Wyglądało na to, że pani Ralston z ulgą skorzystała z okazji, by wyjść. Może spieszyło się jej na górę, gdzie w swoim pokoju będzie mogła odtańczyć taniec zwycięstwa z powodu tak korzystnego dla niej obrotu spraw? A może dołączy do Henry'ego, by wspólnie celebrować zwycięstwo? Razem mogą rządzić w Bedevere, przynajmniej dopóki będzie żył Aleksander. Ashe z łatwością wyliczył, że ich wspólne pięćdziesiąt pięć procent zapewni im absolutną przewagę.

Wszystko zatem stało się jasne. Ktokolwiek chce kontrolować Bedevere, musie się sprzymierzyć z panią Ralston. Ojciec zaiste wysoko cenił tę kobietę.

Marsbury ze stoickim spokojem składał papiery, jak gdyby na co dzień informował hrabiowskich synów, że zostali zasadniczo wydziedziczeni.

- Panie Bedevere, myślę, że wyszedł pan na tym lepiej, niż pan w tej chwili sądzi. Przejmie pan całość majątku w razie przedwczesnej śmierci brata, podczas gdy posiadanie pani Ralston kiedyś się skończy.

Marsbury powiedział nie to co trzeba. Ashe miał chęć sięgnąć za biurko, chwycić go za poły surduta i nim potrząsnąć.

- I to ma być dla mnie pocieszenie? Zapewniam pana, że nie jest. Wolałbym, żeby mój ojciec nadal żył, a brat odzyskał zmysły.

- Panie Bedevere, widzę, że jest pan rozczarowany...

- Rozczarowany to mało powiedziane, panie Marsbury. Nie owijajmy w bawełnę. Jestem wściekły. Nikt nie odbierze mi mojej ojcowizny, ani kuzyn, ani jakaś amerykańska parweniuszka, która podstępem zbliżyła się do rodziny. - W oczach Ashe'a Henry był zawsze niczym obślizły gad. Nie pozwoli, aby położył łapska na Bedevere. Zrujnowałby majątek w ciągu roku.

Zapewne większość klientów Marsbury'ego reagowała na złe wiadomości nieco spokojniej. Nie wiedząc, co odpowiedzieć, Marsbury znowu chrząknął i znacząco spojrzął na dokumenty. Jeszcze bardziej rozwścieczył tym Ashe'a.

- Niech pan nie myśli, że nie widzę, jaki był zamiar ojca. On mnie wciąga do małżeństwa. Mężczyzna, który ożeni się z panią Ralston, uzyska bowiem kontrolę nad jej częścią.

- To jedynie domysł - stwierdził rzeczowo Marsbury.

- Nie wątpię, że Henry też na to wpadnie. - Na szczęście nigdy nie myślał za szybko. - Zacznie się wyścig, kto pierwszy powiedzie piękną Amerykankę do ołtarza. - Ashe zadumał się chwilę nad naturą ludzką i motywacją ojca. - Czy może mi pan powiedzieć, dlaczego mój ojciec mógł tego chcieć?

Marsbury jeszcze raz chrząknął.

- Bedevere potrzebuje bogatej dziedziczki.

To był ostateczny cios. Te cicho wypowiedziane słowa były jak pchnięcie nożem w serce. Bedevere jest pogrążone w długach? - zastanowił się Ashe. Jak to możliwe? Ojciec bardzo skrupulatnie pilnował rachunków i ostrożnie gospodarował pieniędzmi. Czasami nawet za ostrożnie, jak na jego odczucia, choć kufry Bedevere zawsze były pełne.

- Jest aż tak źle? - Nie spodziewał się tego. Nie dość że ojcowizna okazała się zadłużona, to będzie musiał jeszcze konkurować o nią z Henrym.

- Wszystkie pieniądze znikły - wyjaśnił rzeczowym tonem Marsbury. - Pański brat zainwestował je kilka lat temu w zakup nieruchomości, który okazał się zwykłym szwindlem.

- Chodzi o skandal związany z nazwiskiem Forsythe'a? - zapytał Ashe zdziwiony.

Przed trzema laty Londynem wstrząsnęła afery, która przez długie miesiące była szeroko omawiana na salonach i opisywana w prasie. Kupcom i szlachcicom chętnym do inwestowania w Nowym Świecie oferowano do nabycia parcele na jednej z wysp karaibskich. Problemem okazało się to, że owszem, wyspa istniała, ale pokrywały ją bagna z owadami. Udziały były nic niewarte. Ashe nie przypuszczał jednak, że jego brat dał się na to nabrać. Aleks był inteligentny i nieskory do pochopnych decyzji.

- To główna przyczyna - potwierdził Marsbury.

Niech to wszyscy diabli, zaklął w myślach Ashe.

O czym jeszcze zaraz się dowie?

Nagle wróciło poczucie winy. Gdyby przyjechał do domu, kiedy go wzywano po raz pierwszy, miał szansę ostrzec brata w porę. Ta afera wybuchła tuż przed załamaniem nerwowym. Może już wtedy nie był świadomy, że podjął takie bezprecedensowe ryzyko.

- Jest pan pewny, że nic nie zostało?

- Przejrzałem księgi rachunkowe. Pan Bennington też je przejrzał. Nie zostało nic.

Henry także przeglądał księgi rachunkowe? Znał stan majątku co do ostatniego pensa i nic nie zrobił? Ashe zreflektował się. Przyganiał kocioł garnkowi. Bedevere popadało w ruinę, a on też nic nie zrobił. Przewina Henry'ego była mimo wszystko większa. Ashe nie zdawał sobie z niczego sprawy, a Henry beczynn timer się przypatrywał.

- Czy mogę podważyć testament?

Marsbury z westchnieniem pokręcił głową.

- Może pan oczywiście wnieść sprawę do sądu, ale pański ojciec działał na podstawie specjalnej dyspensy, jakkolwiek niezwykła jest ta sprawa. Sądzę, że byłaby to strata pańskiego czasu i energii.

- Lepiej spożytkować energię na zaloty do pani Ralston? - zapytał sarkastycznie.

- Tak, jeśli chce pan zatrzymać Bedevere.

Ashe ścisnął pięści, żeby nie wybuchnąć. Zrozumiał subtelną aluzję, że nie musi przyjmować Bedevere, jeśli nie chce. Może zostawić majątek pani Ralston i Henry'emu. Pozostanie w rodzinie i być może amerykańska pomysłowość uchroni go przed wrodzoną głupotą Henry'ego.

Westchnął. Czas porozmawiać o Amerykance.

- Co takiego zrobiła pani Ralston, że wkupiła się w łaski mojego ojca? Czy myślała, że wyda się za niego w ostatniej chwili, ale gdy to się nie udało, postanowiła wpłynąć na treść testamentu, mając go rzekomą fortuną? - Jego ton nie pozostawiał wątpliwości, o jaki „wpływ” mogło chodzić. Taki, jaki kobiety wywierają na mężczyzn od czasów Ewy.

Marsbury, który zachowywał spokój podczas całej tej niełatwej rozmowy, wpadł w konsternację. Był dżentelmenem starej daty. Dopóki rozmowa dwóch mężczyzn dotyczyła pieniędzy, mógł słuchać wszelkich insynuacji, ale nie mógł tolerować oszczerstw pod adresem płci pięknej.

- Panie Bedevere, pani Ralston mogłaby wykupić Bedevere, gdyby przyszła jej na to ochota - powiedział zimnym tonem i zabrał się do pakowania dokumentów. - Jej „rzekoma” fortuna jest całkiem namacalna, zapewniam pana.

- Musi pan zrozumieć, jakim to wszystko jest dla mnie zaskoczeniem. - Ashe wytrzymał twarde spojrzenie Marsbury'ego.

Po chwili prawnik zdjął okulary i odchylił się w fotelu.

- Zaskoczony czy nie, powinien pan zrozumieć jedną rzecz. Musi się pan ożenić z dziewczynką wielkiej fortuny i taka właśnie mieszka w najbliższym sąsiedztwie. Ma linię żegludową i sto tysięcy funtów w banku. Na pana miejscu uznałbym, że to pomyślny zbieg okoliczności.

- I tu się różnimy, Marsbury. Ja uważam, że to podejrzane.

Fakty zaczynały się układać w coś w rodzaju spisku. Posiadłość podupadła, pieniądze przepadły w nietrafionych inwestycjach, ojciec zmienia w ostatniej chwili testament, a bogata Amerykanka wraz z Henrym uzyskują decydujący głos w zarządzaniu majątkiem.

Nasuwało się pytanie: kogo za to winić? Panią Ralston? Henry'ego? Zaplanowali to wspólnie? A może jest za bardzo podejrzliwy i wszystko ukartował to nikt inny jak jego ojciec, tak jakby chciał rzucić mu rękawicę z łoża śmierci i podjąć ostateczną próbę sprowadzenia go do domu. Małżeństwo z kobietą wybraną przez ojca miało być ceną za Bedevere, zapłatą za bunt i ucieczkę z domu. Ostatecznie bez znaczenia, czyj to plan. Znaczenie miała jego decyzja. Czy sprzeda się w aranżowane małżeństwo, aby uratować Bedevere?

ROZDZIAŁ TRZECI

Ciotki wcale nie kryły swoich intencji. Genevra nie miała wątpliwości, że chciały ją wyśwatać. Zrobiłaby prawie wszystko dla kochanych staruszek, ale tego jednego nie mogła. Nie zależało jej na zainteresowaniu mężczyzn, nawet jeżeli miał je przejawiać pewien posiadacz szerokich ramion i przepastnych zielonych oczu.

Po raz ostatni wygładziła spódnicę wieczorowej sukni i weszła do bawialni. Szaroniebieska jedwabna suknia należała do jej ulubionych. Dodawała jej pewności siebie, tak potrzebnej, jeśli miała wystawić się na sondujący wzrok Bedevere'a i przeciwstawić romantycznym zapędom starych ciotek.

Kolacja będzie polem bitwy, pomyślała, nawet jeśli w rozmowie nie zostaną poruszone kwestie majątkowe. Zapisy odczytanego po południu testamentu zaskoczyły ją. Stary hrabia nigdy ani słowem nie wspominał o swoich zamierzeniach. Był zaintrygowany amerykańskimi metodami zarządzania, które zamierzała u siebie stosować i o których mu opowiadała. Wiedziała, że miał o niej wysokie mniemanie, ale nie przypuszczała, że powierzy jej decydujący głos w kwestiach zarządzania majątkiem.

Uważała to za zaszczyt i zamierzała jak najlepiej wywiązać się z powierzonego zadania. Stary hrabia był dla niej jak ojciec, jednak zaangażowanie się w sprawy majątku oznaczało także komplikacje. Jedna, bynajmniej nie najmniejsza, czekała na nią po drugiej stronie drzwi do bawialni. Pan Bedevere nie będzie zadowolony z testamentowych zapisów.

Weszła do pokoju z oczami utkwionymi w stojącym przy kominku mężczyźnie. Stary hrabia nie mógł być ślepy na konsekwencje. Wystawiał ją na cel swojego marnotrawnego syna, jeśli on w ogóle zechce zająć się posiadłością. Teraz stał, ogarniając wzrokiem cały pokój. Toalety, której poddał się po podróży, nie zmyła otaczającej go aury siły. Najpierw dostrzegła rękę. Długie, eleganckie palce niedbale oplatające kieliszek z drinkiem w taki sposób, że wywoływały nieprzyzwoite myśli. Genevra mimo woli pomyślała, jak jeszcze mógłby użyć tych smukłych palców.

Na pewno znał różne sposoby na sprawianie przyjemności, jeśli jego oczy mówiły zdrożną prawdę. Zapomniała się i zbyt długo na niego patrzyła. Przyłapał ją, a ona delikatnie zaczerwieniła się. Leniwy uśmiech Bedevere'a mówił, że on czyni ją za to odpowiedzialną. Opuściła wzrok i uzmysłowiła sobie, że zatrzymała spojrzenie tam, gdzie nie powinna patrzeć

żadna szanująca się kobieta. Uniosła z powrotem oczy ku jego twarzy - w końcu normalni ludzie patrzą sobie w oczy.

Odezwał się bez cienia wrogości, zniżonym głosem, raczej pasującym do buduaru niż salonu.

- Pani Ralston, pozwoli pani, że ją we właściwy sposób powitam w Bedevere. Wcześniej nie miałem ku temu okazji.

Równie dobrze mógł powiedzieć: pani Ralston, pozwoli pani, że ją namówię do grzechu. Ile kobiet zwiódł na manowce tym swoim zmysłowym głosem? Genevra nigdy nie miała do czynienia z tak wprawnym uwodzicielem. A jednak rozpoznała jego intencje bezbłędnie. Wiedziała, że wkracza na niebezpieczną drogę, ale ciągnęło ją jak opłuki żelaza do magnesu.

Wieloletnie obycie salonowe uratowało ją. Znalazła właściwe słowa.

- Jestem szczęśliwa, że pana w końcu poznałam, panie Bedevere. Pańskie ciotki często o panu opowiadały.

Wykonała dyg, bowiem chciała sprawić przyjemność ciotkom. Dzisiejszy wieczór miał mieć uroczysty charakter. Starsze panie włożyły swoje najlepsze wieczorowe kreacje, które dawno przestały mieć coś wspólnego z modą. To jednak nie psuło im dobrego nastroju. Ciotki, ona sama i Henry zasłużyli na małą uroczystość.

Henry!

Była tak zajęta widokiem przystojnego przybysza, że nie zauważyła jego nieobecności.

- Czy pan Bennington dołączy do nas dzisiaj wieczorem? - omiotła wzrokiem pokój w poczuciu winy, że nie zauważyła Henry'ego z jego imponującą urodą i burzą złotych loków na głowie.

- Nie, moja droga. Henry został zaproszony na kolację do Browne'ów do wikarówki - poinformowała Letycja.

- Wczoraj na spacerze pan Bennington nie wspominał o zaproszeniu. - Nie wspominał o nim również pastor Browne przy okazji jej wizyty w wikarówce, dokąd Genevra udała się, by przekazać pewne rzeczy dla pań z kółka krawieckiego.

- Powiedział, że dostał zaproszenie dzisiaj po południu - machnęła lekceważąco dłonią Letycja. - Za to nasz Ashe jest z nami.

Nie było czasu na więcej wyjaśnień. Gardener zaanonsował, że podano do stołu. Genevra przez chwilę myślała, że zaoferuje jej ramię do jadalni, ale on zwrócił się do Letycji.

- Pójdziemy, cioteczko?

Letycja zachichotała jak mała dziewczynka.

- Całe wieki nikt nie oferował mi ramienia, żeby mnie poprowadzić do jadalni, nicponiu. Ale masz dwie ręce, nieprawdaż? - puściła oko.

- Pani Ralston, wyświadczy mi pani zaszczyt? - miał nienaganne angielskie maniery i w ciemnym wieczorowym ubraniu był dżentelmenem w każdym calu.

Jednak wzrok, jakim na nią patrzył, bynajmniej nie przystawał do londyńskich salonów. Miała wrażenie, że rozbierał ją oczami, a w każdym razie ona czuła się tak, jakby była naga.

Jadalnia przypominała czasy świetności Bedevere. Na stole lśniła rodowa porcelana i kryształ, środek zajmowała waza ze szklarniowymi kwiatami, wyhodowanymi przez Lawinię. W łagodnym blasku świec nie widać było oznak zubożenia. Tak musiał wyglądać ten dom w lepszych, szczęśliwszych czasach, pomyślała Genevra. Pan Bedevere usadowił damy przy stole, przeznaczając jej miejsce po swojej lewicy, a Letycji po prawicy. Przynajmniej okazał się taktowny, musiała mu oddać sprawiedliwość. Dobre maniery i atrakcyjny wygląd wzmagaly jednak jej czujność. Z Philipem, jej nieżyjącym mężem, było podobnie, a tak fatalnie się skończyło.

- Dobrze się pani czuje w Seaton Hall, pani Ralston? - zagadnął uprzejmie, gdy na stole pojawiły się talerze z kremową zupą z owoców morza.

- Doskonale. Ogrody są nieco zaniedbane, ale mam nadzieję do lata doprowadzić je do pełnego rozkwitu. - Uśmiechnęła się Genevra. Chętnie opowiadała o swoim zauroczeniu Seaton Hall. Prace w ogrodach były pierwszym etapem szerszego planu, którego celem było przekształcenie Seaton Hall w atrakcję turystyczną. Gdyby pan Bedevere zechciał, mogłaby mu pomóc zrobić to samo, wówczas majątek zacząłby przynosić dochód. Właściwie dlaczego nie miałby tego nie zechcieć? Posiadłość wymagała nakładów, a jego dziesięcioletnia nieobecność świadczyła o tym, że nie zamierza w niej zamieszkać. Eksperyment nie wiązałby się z żadnymi niedogodnościami.

- Więc za miesiąc czy dwa nie wybiera się pani na sezon do Londynu? Sądziłbym, że mogłaby pani być zainteresowana atrakcjami wielkiego miasta, zwłaszcza po długiej zimie na wsi. - Uniósł pytająco czarną brew.

Wyjazd do Londynu nie wchodził w grę. Tu było za dużo pracy. Tłumaczyła to sobie tak długo, aż wreszcie w to uwierzyła. Zresztą jedynym uzasadnieniem wyjazdu do Londynu byłoby poszukiwanie męża. W Londynie zwróciłaby na siebie zbyt dużo uwagi i ktoś mógłby dotrzeć do starego skandalu.

- Londyn mnie nie nęci - odpowiedziała nonszalancko.

Nie interesowali jej grasujący w Londynie w poszukiwaniu dobrej partii mężczyźni. Jej niewielkie, ale zdecydowanie złe małżeńskie doświadczenie nie zachęcało do powtórzenia eksperymentu.

Ponad brzegiem kieliszka z winem utkwiał w niej uważne spojrzenie o sekundę za długo, niż wypadało, i dostatecznie długo, by zapanowała krępująca cisza. Kiedy przemówił, jego słowa zwróciły uwagę wszystkich obecnych przy stole.

- Dlaczego, pani Ralston? Londyn jest uważany za jedno z najatrakcyjniejszych miast na świecie. Jeśli chodzi o mnie, przeżyłem w Londynie wiele lat i nigdy nie zdarzyło mi się nudzić.

Genevra czuła, że na jednym pytaniu się nie skończy. Jeśli nie zaatakuje, padną kolejne, na które nie ma ochoty odpowiadać.

- Bardzo mnie to cieszy - uśmiechnęła się - ale wszyscy nie możemy mieszkać w Londynie. Ktoś musi doglądać spraw na wsi.

Zrozumiał przytyk.

- *Touché*, trafiony... - szepnął jej prosto do ucha i Genevrę nawiedziły wątpliwości, czy jej subtelny atak nie wyrządził więcej złego niż dobrego.

Szybko odwróciła się do ciotek i nawiązała rozmowę, która była łatwiejsza niż z ich siostrzeńcem, co nie znaczyło, że przestała czuć na sobie badawczy wzrok Bedevere'a. Patrzył tak, jakby intuicyjnie czuł, że ukrywa ona prawdę i stara się unikać odpowiedzi. To było nie do zniesienia. Przecież dopiero ją poznał! Nie mógł przypuszczać, że przybyła w ten zakątek Anglii, aby się schronić. Głęboka prowincja hrabstwa Staffordshire była jedynym miejscem, gdzie nie mógł jej doścignąć skandal z przeszłości.

Hrabstwo Staffordshire ostatnimi dniami zaskakiwało Ashe'a raz po raz, a powodem jednego z zaskoczeń była elegancka młoda kobieta z wysoko spiętrzonymi czarnymi włosami i kształtnym biustem wylaniającym się z dekoltu wytwornej jedwabnej sukni metalicznego koloru.

Kiedy podawano rybę, Ashe pomyślał, że w innych okolicznościach pani Ralston stanowiłaby miłe towarzystwo. Z przyjemnością obserwował, jak konwersowała z ciotkami na temat ich akwarel i haftów.

Jednak w chwili podawania bażanta jej urok zaczął pracować przeciwko niej. Wczesniejsze wyjaśnienia, skąd się wzięła w tej okolicy, uznał za zbyt wymijające jak na jego gust. Była zbyt doskonała, żeby mogło to być prawdą.

Ukradkiem obserwował, jak kroїła swoją porcję. Piękna, bogata, obdarzona miłym, budzącym zachwyty ciotek charakterem, i mieszkająca praktycznie obok. Co więcej, pojawiła się dokładnie wtedy, gdy on potrzebował bogatej żony, żeby za jej pieniądze uratować Bedevere.

Intencje ojca nie mogły być bardziej czytelne. Ciotek również. Swaty w ich wykonaniu byłyby nawet zabawne, gdyby nie celowały w niego. Kochane staruszki bez najmniejszej żenady przez cały wieczór wychwalały zalety pani Ralston. Ashe natrętnie wracał jednak do konstatacji: jeśli coś wygląda za dobrze, żeby było prawdziwe, to tak dokładnie jest.

Przez całą kolację usilnie szukał defektu i rozczarował się. Mimo amerykańskiego wychowania używała właściwych sztuczków, prowadziła zręczną konwersację i swoim krytycznym okiem nie dostrzegał żadnych brzydkich nawyków.

Narzucalo się więc pytanie: co tak atrakcyjna i majątna kobieta robi na takiej prowincji? Z jego doświadczenia wynikało, że taki wzór cnót kobiecych, na dodatek w stanie niezamężnym, powinien być w Londynie. Niezależnie od tego, czy pochodził z Ameryki, czy nie. Nie znalazł wytłumaczenia dla jej obecności na wsi. Uznał to za intrygujące samo w sobie. Na myśl przychodziły mu tylko dwie odpowiedzi. Ukrywała się, co wzbudzało różnego rodzaju przykre podejrzenia, albo polowała nie na majątek - ale na tytuł. W obecnych czasach Bedevere miało tylko to do zaoferowania i ona była tego w pełni świadoma.

Melisanda powiedziała coś zabawnego, na co urodziwa Amerykanka zareagowała pięknym, głębokim śmiechem, wyjątkowo miłym dla ucha. Przy poruszeniu głową nagłym blaskiem rozbłysły do tej pory niezauważalne diamenty w kolczykach. Musiały być kosztowne. Od dawna nie było go stać na podarowanie takiego prezentu kobiecie. Wabiły i przydawały jej aury wyrafinowania.

Było aż nadto widoczne, w jaki sposób owinęła sobie wokół palca jego ojca. Możliwe, że zamierzała wydać się za niego, zanim umarł, bez względu na to, co Marsbury o tym sądzi. Kiedy pierwotna strategia zawiodła, postanowiła zostać i poczekać, aż tytuł wpadnie jej w końcu w ręce za pośrednictwem drugiego, zdrowego syna. Nie byłby to pierwszy przypadek, że ktoś sprzedał się za tytuł. Poza tym, nie trzeba było być starym i chorym mężczyzną, by ulec czarowi pani Ralston. Jego rosnąca fascynacja jej osobą najlepiej to potwierdzała.

Ashe dopił wino i odstawił kieliszek. Czas najwyższy zabrać się do odkrywania jej sekretów, zanim sprawy posuną się dalej. Sądził, że sprawi mu to ogromną przyjemność.

- Pani Ralston, zrobi mi pani przyjemność i przejdzie się ze mną po oranżerii? Przypominam sobie, że bywało tam pięknie przy blasku księżyca. - Skoro już postanowił działać, to nie ma co zwlekać.

Propozycja wywołała zachwyt ciotek. Ashe przestraszył się, że wszystkie trzy zechcą nagle też się tam udać, co stanowiłoby okoliczność raczej niesprzyjającą małemu śledztwu.

- Genni bardzo nam pomogła w oranżerii - odezwała się Lawinia. - Uratowała róże, kiedy latem zaczęły je zjadać mszyce. Przyniosła mi specjalny roztwór do rozpylania.

- No więc, pani Ralston, nie wiem, jak mogłaby pani odmówić. Idziemy? - wstał i zaferował jej ramię.

Szli tak blisko, że przy każdym kroku jej szeleszcząca spódnica ocierała się o nogawki jego spodni. Pachniała trawą cytrynową i kasją, a nie standardową lawendą lub olejkiem różanym, ulubionymi zapachami wielu londyńskich debiutantek. Ostry, egzotyczny zapach perfum znamionował kobietę wytworną i pewną siebie.

W wejściu do oranżerii położył dłoń na jej plecach, żeby ją przepuścić przodem. Dotyk zachęcał do konfidencji, na której mu zależało.

Intuicja go nie zawiodła. W oranżerii było przepięknie. Wnętrze zalewało przefiltrowane przez szklany dach światło księżyca, nozdrza wypełniał słodki zapach pomarańczowych drzewek, w głębi szemrała woda w fontannie.

- To moje najbardziej ulubione miejsce w Bedevere - powiedziała i wykonała szybki krok do przodu, żeby zrzucić jego dłoń z pleców.

Ashe czujnie skrócił dystans, jego dłoń pozostała na miejscu. Denerwowała się. Dobry znak, pomyślał.

- Rozumiem dlaczego. Rzeczywiście jest bardzo piękne.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Zdecydowanie działał jej na nerwy. Nawet niewinna debiutantka nie mogłaby mieć wątpliwości, że nie po to przyszedł do oranżerii, by napawać się urokiem tego miejsca. Przy stole przez cały wieczór nie spuszczał z niej oka, właściwie prześladował ją wzrokiem, a teraz jeszcze położył rękę na plecach. Co gorsza, jego zainteresowanie robiło na niej wrażenie. Była na tyle uczciwa, by się do tego przyznać, przynajmniej sama przed sobą.

- Szklany dach zatrzymuje ciepło promieniowania słonecznego nagromadzone w ciągu dnia - stwierdziła Genevra, desperacko usiłując zminimalizować rosnące między nimi napięcie.

- Pański ojciec lubił tu przychodzić, gdy się lepiej czuł. Henry i ja spędzaliśmy razem z nim popołudnia, czytając mu...

Urwała, bo uzmysłowiła sobie, że do tej pory nie złożyła kondolencji. W uroczystej atmosferze w towarzystwie ciotek wydawało się to niestosowne.

- Przykro mi z powodu pańskiej straty. Pana ojciec był wspaniałym człowiekiem i silnym mężczyzną.

- Tak pani uważa? - wbił w nią twarde spojrzenie. - Pani wybaczy, ale obca osoba nie musi mi opowiadać o moim ojcu.

Osoba o słabszym charakterze mogłaby się poczuć zbita z tropu tak ostrymi słowami. Genevra jednak miała silny charakter.

- Przepraszam, myślałam, że pański smutek złagodziłaby świadomość, że miał lekką śmierć.

- Dlaczego? Dlatego że mnie przy nim nie było?

Więc o to chodziło, o zbrodnię, jaką mu zarzuciła przy stole - nieobecność w domu, kiedy był tak bardzo potrzebny. Ona, osoba zupełnie obca, w zasadzie tylko sąsiadka, spędziła więcej czasu ze starym hrabią przed jego śmiercią niż rodzony syn.

- Musiał pan wiedzieć, jak poważny był jego stan?

- Zamierza pani bawić się ze mną w dwuznacności? - przystojna twarz Ashe'a przybrała niemły, zacięty wyraz.

Genevra najeżyła się. Przystojny czy nie, nie miał prawa posądzać jej o wszczynanie wojny na słowa, podczas gdy chciała wyrazić tylko swoje współczucie.

- Nie. Nie zamierzam. A pańska nieobecność była zamierzona?

- Muszę panią poinformować, pani Ralston - zaczął niebezpiecznie spokojnym tonem - że temat ten uważam za wysoce niestosowny w rozmowie dwóch osób, które ledwo zdążyły się poznać.

Genevra na moment uniosła wyzywająco brodę, jednak jej odpowiedź nie była prowokująca.

- Przepraszam, jeśli dałam powód do nieuzasadnionych domysłów.

- Nie powinna pani mówić rzeczy, co do których sama nie jest pani przekonana - odpowiedział ze złośliwym uśmiechem.

Prowokował ją, w pełni świadomy, że nie kajała się szczerze.

- A pan nie powinien besztać damy.

- A to dlaczego?

Podszedł bliżej. Działał na jej zmysły, czuła jego zapach. Był bardzo męski, a ona nie miała gdzie przed nim uciec. Oparła się o kamienną ławkę. Zupełnie inaczej czuła się przy Henrym. Henry był bowiem doskonałym towarzyszem, wiedziała, czego się po nim spodziewać i nie narzucał się jej. Przy nim nigdy nie poczuła dreszczyku, który przyprawiał ją o gęsią skórę.

- Bo jest pan dżentelmenem - odparła z pewnym wahaniem.

A przynajmniej z wyglądu. Podziwiała elegancję nienagannie leżącego na szerokich ramionach żakietu, nasyconą ciemną czerwień kamizelki. Do jego ubioru nie mogła mieć zastrzeżeń.

- Jest pani pewna? - zapytał niskim, uwodzicielskim głosem.

Owinał sobie wokół palca jeden lok spływający na jej plecy z wysoko upiętej fryzury. Patrzył na nią wymownie, przesuwając wzrok z twarzy na szyję i niżej. Zadziałało to na Genevrę niebezpiecznie podniecająco.

- Nie... - wydobyła z siebie drżącym głosem.

W tym momencie niczego nie była pewna, a już najmniej tego, jak zmienili przedmiot rozmowy. Z bezpiecznego tematu kondolencji, poza który Genevra nie zamierzała wychodzić, zeszedli na bardziej osobisty poziom. Bez wątpienia uwodził ją.

- To dobrze, bo wyobrażam sobie lepszy sposób spędzania czasu w tak piękną księżycową noc niż na słownych utarczkach... A pani?

To, co zrobił po tych słowach, wprowadziło ją w osłupienie. Przesunął dłoń na jej kark, przyciągnął do siebie i pocałował.

Odpowiedziała, chociaż uznała Ashe'a za zbyt pewnego siebie aroganta. Powinien wiedzieć, że nie wszystko zależy od niego. Tymczasem odszukał językiem jej język i pocałunek przekształcił się w gwałtowny pojedynek. Smakował czerwonym winem. Jego dłonie, których gorąco czuła poprzez materiał sukni, przyciągnęły ją bliżej, tworząc najbardziej grzeszną zachętę. Odśloniła szyję, pozwalając, by jego usta powędrowały w dół, ku dekolтови. To nie był pocałunek romantyka podczas wieczornej schadzki w świetle księżycy, a raczej stanowiąca obietnicę spełnienia zmysłowa pieszczota biegłego w sztuce kochania mężczyzny. Wiedziała, że gdyby przyjęła zaproszenie, nie rozczarowałaby się.

Zarzuciła Ashe'owi ramiona na szyję i upajała się jego zapachem. Pomyślała, że gdyby pokusa miała zapach, byłby właśnie taki: nuta drzewa sandałowego i wanilii połączona z przyjemną wonią czystości.

Genevra ugryzła lekko krawędź jego ucha, a w odpowiedzi usłyszała cichy jęk zachwyty. Nie tylko ona uległa magii chwili.

Odsunął się od niej bez ostrzeżenia, uwalniając z miłosnego uścisku. Zaskoczył ją wyraz jego ciemnozielonych oczu. Nie było to spojrzenie mężczyzny opanowanego przez pożądanie, chociaż ruchy jego ciała o tym właśnie świadczyły.

- Nie wiem, co pani tu robi, pani Ralston... ale się dowiem.

- Dlaczego pan uważa, że coś ukrywam?

- Kobieta tak nie całuje, chyba że czegoś pragnie. I to bardzo.

W pierwszej chwili nie zrozumiała, tak nieoczekiwane były te słowa.

- Gdybym była dżentelmenem, zażądałabym satysfakcji - wybuchła w odpowiedzi.

Nigdy nie czuła się tak upokorzona.

- Ustaliliśmy już, że w chwili obecnej nie ma tu żadnych dżentelmenów. A pani, pani Ralston, nie jest damą...

Genevra zamrugała ze zdziwienia i go spoliczkowała.

Nie mogła w nocy zasnąć, nękana myślami o tym, co się wydarzyło. W końcu doszła do wniosku, że ukarała go nie tylko za jego, lecz również za swoje zachowanie. Powinna być obojętna na pocałunki.

Incydent w oranżerii wyprowadził ją z równowagi. Kazała zaprzęgać do powozu i pojechała do domu, nie bacząc na to, czy renowacja została zakończona, czy nie. Poprzysięgła sobie, że nie spędzi ani jednej nocy pod dachem Ashe'a Bedevere'a.

Przewracając się z boku na bok, czyniła sobie wyrzuty aż do rana. Wreszcie dała za wygraną i o świcie wstała. Wschodzące za oknem słońce ułatwiło uporządkowanie myśli i znalezienie wytłumaczenia dla własnego zachowania.

Powodów okazanej słabości było kilka. Pierwszy - zaskoczenie. Nie spodziewała się, że okaże się taki bezczelny. Drugi - samotność. Z wyjątkiem ciotek Ashe'a i Henry'ego nie widywała od dłuższego czasu nikogo. W tej części Staffordshire nie kwitło życie towarzyskie.

Obie te okoliczności doskonale tłumaczyły jej chwilowe zapomnienie, nie mogły jednak ukryć prawdy. Pozwoliła, by wzięło w niej górę przekonanie, że może sobie pozwolić na będącą przywilejem mężczyzn swobodę ujawniania namiętności. On rzucił jej przynętę, a ona ją połknęła. Nie oparła się wyzwaniu. Testował ją przez cały wieczór, ale nie chodziło mu o to, czego się początkowo spodziewała. Dopiero kiedy wypowiedział te obraźliwe słowa, zrozumiała, że nie chodziło mu bynajmniej o poznanie, jaką jest kobietą. Chciał się dowiedzieć, skąd się wzięła w tym miejscu i dlaczego jego ojciec dał jej decydujący głos w zarządzaniu majątkiem. Odpowiadając na wyzwanie w taki sposób, w jaki to uczyniła, nie rozwiła jego podejrzeń.

Miała nadzieję, że wymierzony policzek mówił o jej intencjach tyle samo, co namiętny wzrok Ashe'a o jego intencjach. Był znanym uwodzicielem, przywykłym do otrzymywania wszystkiego, czego zapragnął. Tym razem zawiedzie się i nie dostanie jej pięćdziesięciu jeden procent. Zagrywka była aż nadto oczywista, nawet jeśli pocałunki zrobiły na niej wrażenie, jak żadne do tej pory. Pieszczoty potrafią przyćmić rozsądek kobiety i sprawić, że zapomina o rzeczywistości. Przerobiła tę lekcję z Philipem, któremu zależało wyłącznie na pieniądzach jej ojca. Bedevere'owi zależało wyłącznie na jej udziale w „regencji”.

Genevra podniosła się z fotela i zaczęła się ubierać. Szkoda czasu na dalsze rozmyślenia. Postanowiła zająć się czymś pożytecznym, by zapomnieć o doświadczeniach poprzedniego wieczoru. Nadzorowanie prac nad nową aranżacją ogrodów jest zajęciem, jakiego potrzebuje.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Henry modlił się w duchu, by coś się wydarzyło - jakiś ptak uderzył w wielką tafłę szyby w drzwiach na taras lub służący rozlał gorącą kawę na czyjeś kolana... Cokolwiek, byleby on przestał być w centrum zainteresowania. Pora śniadania nie należała do jego ulubionych por dnia, zwłaszcza kiedy nie miał żadnych dobrych wieści do zakomunikowania. Tymczasem wszystkie spojrzenia przy bogato zastawionym stole były skierowane ku niemu. Wszyscy dawno już zjedli i nadeszła kolej na interesy, bowiem w tym celu gospodarz, niejaki Marcus Trent, zaprosił ich wszystkich.

- No, Bennington, zjedliśmy już śledzie i szynkę. Powiesz nam, jak się wczoraj odbyło odczytanie testamentu? Zostałeś jedynym powiernikiem majątku? - Trent był rumianym mężczyzną o bezceremonialnym sposobie bycia, często obracał się w kręgach kupieckich.

Jego rozumienie reguł współzawodnictwa i honoru wywodziło się z innego świata - mroczniejszego i bardziej niebezpiecznego, gdzie brano to, co chciano, z nożem w ręku, jeśli taka była potrzeba. Mimo otaczającego go bogactwa i zamiłowania do gustownych drobiazgów, Trent nie był dżentelmenem. Henry pojął już na początku ich znajomości, że nie warto wystawiać na próbę jego cierpliwości, niestety właśnie musiał to zrobić.

- Mam dobrą wiadomość - zaczął radośnie. - Wuj, jak przewidywałem, rzeczywiście ustanowił powiernictwo. - Niech wiedzą, że w niektórych sprawach się nie mylił. Gdyby nie on, nie wiedzieliby nawet o tej możliwości.

- A kto został powiernikiem, Bennington? - Oczy Trenta zwęziły się niebezpiecznie.

Henry obrzucił spojrzeniem pozostałych czterech mężczyzn, wyczuwając ich rosnący niepokój i zniecierpliwienie. Poczul się w tym gronie jak wyrzutek.

- Cała nasza trójka: kuzyn Ashe, ja i Amerykanka, pani Ralston. Każde z nas dostało udział w zarządzaniu.

- I jaki jest ten pański udział? - zapytał ze swojego miejsca na końcu stołu Ellingson, księgowy kartelu.

- Cztery procent - odpowiedział Henry z udawaną dumą.

Przez całą noc nie mógł pohamować wściekłości z powodu zniewagi. Postanowił jednak, że za nic nie dopuści, żeby te sępy ujrzały jego rozczarowanie. Zapisał się w wyjaśnianie detali rozporządzenia, a Ellingson słuchał i analizował w myślach.

- Nie tak miało być - stwierdził Trent, gdy Henry skończył. - Mówiłeś, że Bedevere nie wróci i że będzie chciał sprzedać swój udział, jeśli w ogóle coś dostanie, kiedy ty omotasz wuja.

Obecni zaczęli coś szeptać między sobą. Henry kręcił się na krześle. Przeliczył się co do Ashe'a i stąd jego kłopoty, pomyślał. Był gotów założyć się, że kuzyn nie wróci.

- Jest jedno wyjście - odezwał się Ellingson. - Bennington musi się ożenić z tą Ralston. Małżeństwo zapewni kontrolę nad całością majątku. Po ślubie jej udział przejdzie na niego i będzie miał pięćdziesiąt pięć procent.

- Doskonały pomysł. - Z aprobatą pokiwał głową Trent.

Henry słuchał ze zmrozoną krwią. Dokąd ta rozmowa zmierza, zastanawiał się. Będą decydować o małżeństwie, jego małżeństwie, jakby to było nic, żadna wielka sprawa.

- Zawsze istnieje możliwość, że mi odmówi - zastrzegł się.

Obecni ryknęli śmiechem.

- Tobie, takiemu przystojniakowi? - sąsiad klepnął go po plecach.

Trent rzucił na stół sakiewkę z pieniędzmi.

- Kup jej jakieś świecidełka i miej to z głowy. Od niewyobrażalnego bogactwa dzieli nas tylko kilka słów przysięgi małżeńskiej. Byłoby wstyd cofnąć się w takiej chwili. Panowie, spotkamy się za tydzień i zobaczymy, jak poszło naszemu Romeo.

Henry z uśmiechem wsunął do kieszeni sakiewkę ze złotem, ale nie uszła jego uwagi odprawa, jakiej udzielił mu Trent. Miał tydzień na zdobycie zgody na ślub ze strony kobiety, której z własnej woli nie zamierzał poślubić. Od wczoraj jego widoki na przyszłość przedstawiały się coraz gorzej.

Ruszył w długą drogę do domu, mając nadzieję, że przez ten czas zdąży ułożyć w głowie sensowny plan. Postanowił, że po przybyciu zmieni ubranie i odwiedzi Genevrę. Nie bardzo mu były w smak zaloty. Przyjaźnił się z nią podczas choroby hrabiego, bo to się hrabiemu podobało, bowiem miał słabość do pięknej Amerykanki. Henry dość szybko zauważył, jak bardzo była samodzielna w myśleniu. Doszedł do wniosku, że nie byłaby zgodną i potulną żoną. Nigdy nie oddałaby mu pełnej kontroli nad swoimi pieniędzmi, nawet gdyby przypadkiem zakochała się w nim. Musiałby ją błagać o każdego szylinga. Czułby się zupełnie jak wtedy, gdy siedział w kieszeni swojego ojca. Zdążył już zapomnieć, z jakim trudem wyciągał od niego najdrobniejsze kwoty. Będzie chyba musiał przypomnieć sobie, jak się to robi, bo tym razem gra szła o wielką stawkę.

Znalezione w wielkiej obfitości kawałki lignitu potwierdziły jego podejrzenia, że Bedevere kryje obiecujące złoża węgla brunatnego, być może nawet największe w Audley, części Staffordshire znanej nie tylko z plantacji chmielu, lecz także z zasobów węgla. Dobranie się do takiego bogactwa wymagało nadzwyczajnych wysiłków i ludzie, z którymi się sprzymierzył, nie bali się ryzyka. Do tej pory jednak tylko on je podejmował. Trent i jego kumple inwestowali jedynie pieniądze. Żaden z nich nie spędził całego roku na zabieganiu o łaskę umierającego hrabiego ani nie stawał przed przymusem zawarcia niechcianego małżeństwa.

Nie wolno mu jednak było tracić z oczu celu. Postanowił, że już od dzisiaj zacznie zabiegać o Genevrę, mając na uwadze, że męczarnie, jakie z tego wynikną, będą krótkie.

Miał już dość, a była dopiero druga. Ashe przeczesał dłonią włosy i odchylił się do tyłu w skórzanym fotelu. W zaciszu gabinetu miał przynajmniej warunki do skupienia myśli. A było nad czym się zastanawiać.

Cały ranek zszedł mu na przeglądaniu ksiąg rachunkowych, w których szukał natchnienia, gdzie znaleźć jakieś rezerwy finansowe. Sam nie wiedział, czy powinien zacząć od ogrodów, czy od domu. A może od spotkań z dzierżawcami?

Wsparł głowę na dłoniach. Nie miał pojęcia o gospodarowaniu majątkiem ziemskim i nie znał nikogo, kto mógłby mu poradzić, chyba że Henry. Nie, prędzej piekło zamarznie, niż to zrobi, powiedział do siebie i zamknął oprawny w skórę foliał. Kolumny liczb nie sumowały się i było wiele niezapłaconych rachunków. Niemożliwe, żeby konie wpisane jako sprzedane ubiegłej jesieni poszły za tak niską cenę. Kwota wpisana do księgi sięgała połowy ich wartości. Dlaczego? Przecież ojciec hodował zwierzęta najlepszych ras i znał ich wartość, rozmyślał.

W końcu zrobił jaki taki porządek w rachunkach i mimo wszystko ranek nie był całkowicie stracony. Napisał nawet do wierzycieli, którym należały się największe kwoty, że wkrótce długi zostaną spłacone. Nie miał jednak pojęcia, skąd weźmie pieniądze.

Wysłał też kilka listów do Londynu. W jednym do najbliższego przyjaciela, Jamiego Burke'a, prosił, by spróbował dowiedzieć się czegoś o przeszłości Genevry Ralston, bo może przypadkiem natrafi na kogoś, kto o niej słyszał. Tak wielkie pieniądze nie mogły przejść niezauważone pod okiem socjety. Skoro miał się z nią ożenić, chciał wiedzieć, kim była i czy z jej nazwiskiem nie był związany jakiś kompromitujący skandal. Rzecz taką łatwo utrzymać w tajemnicy przed starym hrabią, ale pani Ralston przekona się, że on jest trochę lepiej osadzony w rzeczywistości.

Drugi list był również o pieniądzech. Ashe sondował możliwość zaciągnięcia pożyczki. Nie miał jednak złudzeń. Żaden bank nie da mu pieniędzy, jeśli nie zdoła udowodnić, że ma decydujący głos w zarządzaniu majątkiem.

- Co się przejmujesz? - zapytał diabełek siedzący na jego lewym ramieniu. - Jeśli to nie twój majątek, co cię obchodzi, że popada w ruinę? Jeśli Henry chce go przejąć, niech przejmuje... od tej chwili będzie to jego zmartwienie. A jeśli go przejmie pani Ralston, tym lepiej. Odprzedaj jej swoją część i będzie po kłopotach.

Kuszące podszepty, ale uważał, że nie powinien się wycofywać. To przecież mój dom, myślał. Nigdy nie starał się swoim zachowaniem wyprowadzić ojca z błędu i przekonywać, że mylił się w ocenie jego osoby. Teraz ma okazję to zrobić, mimo że z ojcem zawsze dzieliły go nieporozumienia i to one wyгнаły go przed laty z domu. Ashe nie mógł jednak uwierzyć, że ojciec tak bardzo go nienawidził i tak mało pokładał w nim wiary, by go wydziedziczyć z Bedevere. Zresztą na pewno nie planował pominięcia w prawach do dziedziczenia Aleksa, więc nie było kwestii pozostawienia majątku właśnie jemu. Szkoda, że nie miał okazji do porozmawiania z ojcem jeszcze raz i wyjaśnienia mu, dlaczego opuścił dom.

Diabełek nie był usatysfakcjonowany.

- Jeśli chcesz ocalić Bedevere - szeptał - przestań ślęczeć nad księgami, z których i tak nic nie zrozumiesz, a zacznij umizgi do urodziwej dziedziczki z Seaton Hall. Potrzebujesz pieniędzy, a ona ma ich całą furę.

Genevra Ralston.

Znowu w myślach do niej wraca. Intrygująca postać. Kobieta mająca coś do ukrycia czy bezczelna łowczyni arystokratycznego tytułu? Bez znaczenia. I jedno, i drugie oznaczało problemy. Ostatni wieczór dowiedział tego bez dwóch zdań. Pozostawało kwestią otwartą, ile kłopotów byłby gotowy tolerować wraz z jej pieniędzmi.

Nie spodziewał się, że ona z taką namiętnością odpowie na jego awanse. Zamierzał ostrzec ją, że ma do czynienia z mężczyzną, z którym nie pójdzie jej łatwo. Kochał kobiety, co nie znaczy, że im dowierzał.

Znał dobrze ich gierki i wiedział, że potrafiły być równie brutalne jak mężczyźni, gdy chciały postawić na swoim.

Rozboleła go głowa, a sprawy majątkowe nie były jedynymi, które wymagały rozwiązania. Pragnął dowiedzieć się, co tak naprawdę działo się w Bedevere podczas jego nieobecności

i co przydarzyło się jego bratu. Powinien w najbliższej przyszłości znaleźć czas na odwiedzenie Aleksa, chociaż, prawdę powiedziawszy, bał się.

Naraz ktoś zapukał, drzwi uchyliły się i w szparę wsadziła głowę Melisanda.

- Tu jesteś, Ashtonie. - Tak zwracały się do niego tylko ciotki. - Zniknąłeś, a ja cię szukam od wielu godzin. Powinieneś przejechać się konno. O tej porze roku w każdej chwili można się spodziewać załamania pogody.

Weszła i usadowiła się w fotelu po drugiej stronie biurka. Fotel był tak wielki, że sprawiał wrażenie, jakby ją pochłoniął. Na starość wydawała się jeszcze drobniejsza, niż Ashe ją zapamiętał z dawnych lat, ale ani trochę mniej inteligentna. Zauważyła porozkładane księgi rachunkowe i zapytała:

- Udało ci się dojść do jakichś wniosków?

Miała chyba nadzieję, że usłyszy potwierdzenie. Z pewnością chciała usłyszeć, że wszystko będzie dobrze; że znajdzie ukrytą rezerwę pieniężną albo błąd, po którego wyjaśnieniu okaże się nagle, że znowu są bogaci. Nie miał jej tego za złe. Sam bowiem miał taką nadzieję, gdy rano zabierał się do przeglądania dokumentów, i wciąż nie mógł uwierzyć, że olbrzymie bogactwo Bedevere po prostu rozplynęło się.

- Nie widać żadnych cudów w tych księgach. - Uśmiechnął się do niej życzliwie. - Ale obiecuję cioci, że sami go dokonamy.

Znajdzie sposób, żeby dotrzymać obietnicy. Miał za co się rehabilitować i teraz dopiero zaczął rozumieć, że konsekwencje jego wyboru dotknęły całą rodzinę.

- Genni będzie naszym cudem, Ashtonie - powiedziała Melisanda z prostotą. Ashe ze smutkiem pomyślał, że nie podziela przekonania kochanej cioteczki. Wzruszył na pozór obojętnie ramionami. Nie chciał się sprzeczać z ciotką. Nie wiedział, czy ciotki były świadome treści rozporządzeń testamentowych; czy Melisanda pchała go w objęcia pani Ralston z zamiłowaniem do swatania, jakie często przejawiają starsze panie, czy dlatego że w jej pieniądzech widziała jedyny ratunek dla Bedevere.

Obojętne wzruszenie ramion nie zniechęciło ciotki.

- Bardzo lubimy Genni. Twój ojciec miał o niej wysokie mniemanie. Tak jak my. Chcemy jej dla ciebie.

Pierwszy raz zazwyczaj taktowna ciotka bez ogródek postawiła mu żądanie, ale dzięki temu przynajmniej odkryła swoją motywację. Bawiła się po prostu w swatkę i nie miała pojęcia o decyzjach ojca.

- Nie wiadomo tylko, czy ona mnie zechce - odparł lekko prowokacyjnie Ashe.

- Zechce, zechce. Potrafisz być ujmujący, jeśli się postarasz, Ashtonie. Trudno ci się oprzeć.

Zawstydził się. Ciotka powiedziała to w najlepszej wierze, bowiem pamiętała, jakim był uroczym dzieckiem i nastolatkiem. Nie miała jednak pojęcia, że wyrósł na mężczyznę, który nagminnie wykorzystywał swój urok.

Melisanda położyła na biurku paczuszkę owiniętą w brązowy papier pakowy.

- Skoro wybierasz się na przejażdżkę konną, może byś wstąpił do Seaton Hall i zawiózł to. Możesz to wykorzystać jako pretekst usprawiedliwiający wizytę. Będziesz miał okazję przeprosić Genni.

- Za co, ciociu?

- Za to, co jej zrobiłeś wczoraj wieczorem. Jest za dobrze wychowana, by coś powiedzieć, ale tak pospiesznie wyjechała, że wiemy, że coś musiało się zdarzyć. Nie miałam nawet czasu, by jej to oddać. Nigdy nie zaszkodzi przeprosić. - Poglaskała go po dłoni. - Mój mąż, a twój wuj wiedział, że to na mnie działa. Kobiety są zdolne wiele wybaczyć, jeśli mężczyźni poproszą o wybaczenie.

- A jeśli nie poprosimy? - droczył się, ale wziął paczuszkę.

- Wtedy możemy być zdolne do wielu innych rzeczy. Powiem stajennym - wstała i skierowała się ku drzwiom - żeby konia przygotowali do drogi za dwadzieścia minut.

Kiedy zamknęła za sobą, Ashe wybuchnął śmiechem. A więc został wymanewrowany przez siedemdziesięcioletnią ciotkę. A taka niby była drobna i krucha, powiedział w myślach.

Dwadzieścia minut później Ashe dosiadł Rekxa. Po wczorajszym wieczorze sam z własnej woli nie wybrałby się do Seaton Hall. Swoją drogą, pomyślał nie bez przekory, będzie interesujące zobaczyć, jak zachwycająca pani Ralston zachowa się po wczorajszym wymierzeniu mu policzka.

Ruszył galopem przez łąki, przeskoczył kamienny płot. Upajał się owiewającym twarz wiatrem. Przeskoczył kolejny płot i aż krzyknął z zachwytem. W Londynie nie było takich przeszkód. W Hyde Parku mógł sobie pokłusować byle kto, tymczasem takie rajdy przez otwarte pola wymagały nie lada jeździeckich umiejętności.

Wjechał na drogę wiodącą do Seaton Hall i zwolnił do stępa. W Londynie nikt o nim nie myślał jako o wiejskim szlachcicu, choć taka była prawda. Modny ubiór i eleganckie maniery

nie zmieniały faktu, że dorastał w cichej prowincji hrabstwa Staffordshire, które zawsze zadziwiało go swoimi kontrastami. Rozwijały się tu górnictwo i przemysł, a jednak wielka część powierzchni zachowała swój wiejski charakter. Niestety, Bedevere podupadło w ostatnich latach, w odróżnieniu od Seaton Hall, które jak łatwo było zauważyć, odzyskiwało dawne piękno. Role odwróciły się. Dzięki pieniądзом i gospodarskiemu oku Genevry Ralston Seaton Hall stawał się chlubą hrabstwa, podczas gdy w niegdyś wypielegnowanych ogrodach Bedevere panoszyły się chwasty.

Ashe skręcił w aleję wjazdową, z uznaniem odnotowując utrzymane w doskonałym stanie trawniki i starannie rozplanowane rabaty kwiatowe, na których wschodziły już pierwsze wiosenne kwiaty. Za kilka miesięcy zakwitną orgią kolorów. Bedevere kiedyś też tak wyglądało, pomyślał Ashe i poczuł ukłucie zazdrości. Nie mógł jednak sobie pozwolić na utrzymanie ogrodu, gdy miał niezapłacone rachunki i kilka gęb do wyżywienia. Może gdyby dostał pożyczkę... Wszystko zależało od pieniędzy, nawet jego przyszłość. Bez nich miał związane ręce.

Po ślubie z panią Ralston otworzyłyby się przed nim nieskończone możliwości. Jeszcze jeden powód, by wprząc głowę w jarzmo małżeńskie, zgodnie z pośmiertną wolą ojca.

Ashe westchnął. Powody do ożenku były liczne. Jego ambicje, by zachować wolność do czasu, aż będzie mógł dokonać samodzielnego wyboru, zaczynały blednąć w zestawieniu z korzyściami, jakie mogło mu przynieść małżeństwo zaplanowane przez ojca.

Lokaj powiedział, że pani Ralston jest w ogrodzie. Zaprowadził Ashe'a do świeżo odnowionego saloniku we frontowej części domu i poprosił, by tu na nią zaczekał. Gdyby wygląd pokoju miał świadczyć o kondycji Seaton Hall, to należało przyznać, że Amerykanka poczyniła sobie całkiem dobrze. Kremowożółta farba była świeża, białe gipsowe sztukaterie w nienagannym stanie. Długie okna wychodzące na podjazd obramowano nowymi zasłonami w ciemnoniebieskim kolorze. Puszyste poduszki na żółto-niebieskiej kanapie zachęcały, by się na nich oprzeć, ale uwagę Ashe'a przykuł fortepian pod ścianą.

Przesunął palcami po klawiaturze. Instrument wydał pełny, soczysty dźwięk. Musiał być nowy i chyba został zbudowany przez Babcocka, słynnego amerykańskiego wytwórcę fortepianów.

Ciekawość zwyciężyła.

Ashe delikatnie uniósł wieko i zajrzał do środka. Krzyżowa rama, powiedział do siebie. Bez chwili wahania usiadł i zaczął grać. Wspaniałe uczucie. Nikt go nie oceniał, nie musiał nikogo olśnić. Grał dla siebie...

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Ashe Bedevere tutaj?! - pomyślała z niepokojem Genevra. Co się mówi do mężczyzny, któremu poprzedniego wieczoru dało się w twarz? Przepraszam?! Mam nadzieję, że nie piecze pana dzisiaj policzek?

Najwyraźniej nie przyniosło to zamierzonego efektu. Nie odstraszyła go. A teraz wywołana z ogrodu w starej sukni i z nieułożonymi włosami, czyniła w pośpiechu wysiłki, by przyzwoicie wyglądać, gdy wyjdzie go przywitać.

Włożyła jedną ze swoich ulubionych popołudniowych sukien z zielono-białego muślinu w gałązki. Wygładziła szczotką włosy, nie chciała bowiem, by ten zielonooki nicpoń dotknął jej włosów pod pretekstem usunięcia z nich jakiegoś listka.

Schodząc z góry, usłyszała muzykę. Ktoś bardzo ładnie gra, pomyślała. Dużo ładniej niż ona. Służba nie wspominała, by pan Bedevere przyprowadził gościa.

Stanęła w drzwiach zaskoczona. Poza Bedevere'em nikogo w salonie nie było. Siedział plecami do drzwi i miała okazję, by mu się przyjrzeć. Faliste, czarne włosy nonszalancko opadały na szerokie ramiona. Były za długie jak na panującą modę, ale jemu pasowały.

Utwór skończył się, Genevra mimowolnie zaklaskała w dłonie. Drgnął i odwrócił się.

- Niech pan kontynuuje - zachęciła go.

Weszła do pokoju i usiadła na kanapie zadowolona, że w naturalny sposób nie nawiązuje do niefortunnych wydarzeń poprzedniego wieczoru.

- Obawiam się, że instrument stoi bezużytecznie - ciągnęła. - Przywiozłam go, bo myślałam, że przyda się, gdybym miała urządzać wieczorki muzyczne. Niestety, mimo najlepszych chęci nie zorganizowałam jeszcze żadnego.

- Piękny instrument i zupełnie nowy, poznaję po strunach. Pani też gra, pani Ralston?

- Trochę. Cieszę się, że instrument się panu podoba.

- Proszę podejść, wytłumaczę pani, na czym polegają jego zalety.

Podeszła, nie potrafiła zdobyć się na odmowę. Nachylili się nad otwartym pudłem. Ashe pachniał wiatrem i wanilią. Co za odurzająca kombinacja u mężczyzny, pomyślała.

- To są struny Babcocka. Opatentował je kilka lat temu. Są grubsze niż w instrumentach starego typu i rozpięte na krzyżowej żeliwnej ramie, co daje mocniejszy dźwięk.

Zwłaszcza jeśli dotyczą instrumentu takie palce, pomyślała.

- Jest pan znawcą, nie wiedziałam, panie Bedevere - powiedziała.

- Proszę mówić do mnie po imieniu. Spraw mi tym pani przyjemność.

Genevra rozpoznała niebezpiecznie niski ton zapamiętany wczorajszego wieczoru.

- Naturalnie - zgodziła się, nie chcąc psuć przyjaznej atmosfery. - Zostanie pan na herbatę? - Nie czekając na odpowiedź, podeszła do dzwonka. W końcu są w Anglii. Herbata jest dobra na wszystko.

- Muszę panią przeprosić za niespodziewaną wizytę, ale coś pani przywiozłem. - Usiadł i podał jej paczuszkę.

Podarunek? Chciałby przeprosić za wcześniejsze zachowanie? Zapewne tak postąpiłby dżentelmen. Czowała niepokój w żołądku, gdy rozwiązywała sznureczek. W dziennym świetle Ashe wydawał się całkiem cywilizowany.

- Melisanda poprosiła mnie, żebym to pani przywiózł.

- Naturalnie. - Niepokój w żołądku zniknął.

Naturalnie. On nie był dżentelmenem. Spoliczkowani mężczyźni nie przywożą podarunków. Genevra uśmiechnęła się do siebie. Cóż za głupia pomyłka.

- To jej ostatnio wyhaftowana chusteczka. - Wyjęła z paczuski kawałek materiału. - Proszę jej powiedzieć, że to bardzo ładny wzór. Będzie miał wzięcie na wiosennym kiermaszu.

- Co takiego? - zapytał zaskoczony.

Ciemne brwi powędrowały pytająco w górę.

- Nie wspominały panu? Melisanda i pozostałe pańskie ciotki sprzedają wyroby swojego rękodzieła na lokalnych kiermaszach. Kucharka zaś wysyła własnej roboty dżemy. Znalazły wielu amatorów ubiegłego lata.

- Moje ciotki sprzedają coś na kiermaszach? - Twarz Ashe'a wykrzywiły irytacja i niezrozumienie. - Jak pierwsze lepsze...

- Tak - nie pozwoliła mu dokończyć, ale głos miała spokojny. - Jak kupcowe i większość normalnych ludzi. Nie wszyscy żyją w takim oderwaniu od realnego świata jak brytyjscy dżentelmeni uganiający się po Londynie w poszukiwaniu rozrywek.

Zazgrzytał zębami. Zawarty nad muzyką wąty rozejm ulatniał się.

- Czyj to pomysł? - wydusił z siebie, pomijając na szczęście milczeniem insynuacje, które tak niebacznie wypowiedziała.

- Mój - oznajmiła, zadowolona, że właśnie wniesiono tacę z zastawą do herbaty, co pozwalało skierować rozmowę na inny tor.

Ashe jednak nie był gotowy taktownym milczeniem zakończyć temat.

- Co pani przyszło do głowy, żeby zaproponować coś takiego? - Odebrał z jej rąk filiżankę, którą ona podawała tak, aby ich palce nie dotknęły się.

- Nie miały pieniędzy, a pan był nieuchwytny. - Genevra dała ujście swemu niezadowoleniu. - Musiały się czymś zająć, a to było bardzo dobre zajęcie. Duma nie pozwalała im, by zaakceptować pieniądze ode mnie. Powinien pan wiedzieć, że ludzie chętnie kupują przedmioty z arystokratycznych rezydencji. To znakomita reklama. Fakt, że chusteczkę wyhaftowała prawdziwa dama, podnosi jej wartość.

- Cena była zapewne odpowiednio wysoka? Mimo wszystko, ile trzeba było sprzedać tych chusteczek i dżemów, żeby utrzymać Bedevere?

Genevra zmarszczyła brwi. Nie rozumiał, co było w tym wszystkim najważniejsze.

- Nie chodzi tylko o pieniądze. Tego lata zamierzamy wyjść poza najbliższą okolicę i pańskie ciotki są tym zachwycone.

- Nic z tego, już wróciłem i tego rodzaju aktywność nie będzie konieczna - oznajmił stanowczo.

Genevra odstawiła filiżankę i utkwiała w nim wzrok. Nie chciała się sprzeczać i starała się zachować dobrze.

- Nie zgadzam się z panem. Ta aktywność jest konieczna, nawet jeśli nie chodzi o pieniądze. Panie powinny czuć się użyteczne. To daje im cel, poprawia ich samopoczucie.

- To angielskie damy, pani Ralston. Nie wiem, czy pani rozumie, co pani mówi.

- To ludzie. Nie wiem, czy pan rozumie, co to znaczy.

Odgłos kopyt końskich na podjeździe przerwał milczenie, jakie zapadło po tej wymianie zdań. Genevra spojrzała w okno ponad ramieniem Ashe'a i poczuła ulgę.

- Przyjechał Henry. Zadzwońię po dodatkową filiżankę herbaty.

On będzie zapewne wiedział, jak rozmawiać ze swoim drażliwym kuzynem. Dla niej rozmowa okazała się zbyt wymagająca. Prawdopodobnie ma to coś wspólnego z parą przenikliwych zielonych oczu i złośliwym uśmieszkiem, który pojawiając się na tych arystokratycznych wargach, wywołuje w niej mimowolnie wspomnienia skradzionego pocałunku. Jak tu logicznie myśleć w takich warunkach, pomyślała i pokręciła głową.

Henry wszedł do salonu i obdarzył Genevrę promiennym uśmiechem, który jednak znikł, gdy zauważył kuzyna.

- Nie spodziewałem się, że cię tu zastanę. Wstąpiłem dowiedzieć się, czy Genevra nie wybrałaby się ze mną do miasteczka - odwrócił się frontem do niej, wyłączając tym samym

Ashe'a z rozmowy. - Dotarła moja comiesięczna przesyłka książek z Londynu. Myślałem, że zechce je pani ze mną obejrzeć... ale widzę, że ma pani gościa.

Jeśli Genevra myślała, że Henry będzie naturalnym buforem między nią a Ashe'em, szybko zrozumiała, że pomyliła się. Jego niechęć do kuzyna była tylko lekko zawoalowana. W ciągu wielu miesięcy zdążyła poznać Henry'ego i aż do wczoraj nie zdarzało mu się zachować niegrzecznie w jej obecności. Dzisiaj przydarzyło mu się to po raz drugi.

- Mam gościa, ale zapraszam pana na herbatę, zanim pan pojedzie. Już zadzwoniłam na służbę.

- Genevra lubi romantyczne powieści z dreszczykiem - wyjaśnił z porozumiewawczym mrugnięciem oka w jej stronę Henry i usiadł w fotelu. - Staram się zawsze sprawić jej niespodziankę przy okazji każdej dostawy.

- Więc lubi pani dobry romans, pani Ralston? - Ashe utkwiał w niej swoje badawcze spojrzenie.

Nawet ta uprzejma, salonowa rozmowa miała zmysłowy podtekst. Genevra odczytała aluzję i na jej policzkach wykwitł rumieniec.

- Owszem, od czasu do czasu - powiedziała obojętnym tonem.

Niech on sobie myśli o jej odpowiedzi, co chce.

- Pani Ralston? Po co te ceregiele między przyjaciółmi? - zaśmiał się Henry do Ashe'a. - To jest Genni lub jeśli wolisz, Genevra. Ja przestałem się do niej zwracać „pani Ralston” wieki temu. W ostatnich miesiącach praktycznie się nie rozstawaliśmy, kiedy razem opiekowaliśmy się wujem. - Henry uśmiechnął się przyjaźnie do Genevry i wyciągnął rękę, by przykryć jej dłoń swoją dłonią.

Miał to być przyjacielski gest, ale Genevra wyczuła, że coś się pod nim kryło i niekoniecznie był całkiem spontaniczny. Jak na Henry'ego uznała go raczej za niezwykły. Genevra nienawidziła myśli, że u podłoża tego niecodziennego świadectwa czułości i przyjaźni może leżeć czteroprocentowy udział w zarządzaniu majątkiem zmarłego wuja.

- Tragedie zbliżają ludzi - zauważył sentencjonalnie Henry i spojrzał jej w oczy na krótką, znaczącą chwilę.

Albo ich rozdzielają, pomyślała Genevra wyraźnie zażenowana. Ona i Henry byli bardzo dobrymi przyjaciółmi do wczoraj, bowiem nigdy nie dawał po sobie poznać, że spodziewa się czegoś więcej po ich znajomości. Przede wszystkim to czyniło go dla niej sympatycznym. Był dokładnie tym, kogo szukała: inteligentnym towarzyszem, który nie zażąda więcej, niż ona

chciała dać. Już raz wyszła za mąż i małżeństwo nie przypadło jej do gustu. Nie spieszyło się jej, żeby spróbować ponownie, nawet z tak sympatycznym panem Benningtonem, i z całą pewnością nie z jego o wiele mniej sympatycznym kuzynem, panem Bedevere'em. Bez względu na to, jak dobrze całował.

- Godzinami czytaliśmy pańskiemu ojcu na głos - Genevra zwróciła się do Ashe'a, uświadomiwszy sobie, że już po raz drugi Henry wyklucza go z rozmowy.

- Jak miło - odpowiedział obojętnie.

- Lubi pan książki? - nie dawała za wygraną.

- Obrazkowe. - Uśmiechnął się szelmowsko, nie pozostawiając wątpliwości, o co może chodzić.

- Na Boga, kuzynie! Jesteś gorszy, niż cię zapamiętałem - zganił go Henry.

- Ty również - odgryzł się Ashe.

Jeśli Genevra liczyła na jakiegokolwiek rodzinne ciepło między dwoma krewniakami, to ta krótka wymiana zdań rozwiała jej złudzenia. Atmosfera zagęszczała się z sekundy na sekundę. Rozejrzała się bezradnie po pokoju, licząc, że znajdzie neutralny temat do uprzejmej konwersacji. Jej wzrok padł na instrument pod ścianą.

- Pański kuzyn grał na fortepianie, zanim pan przyszedł - poinformowała Henry'ego. - Pięknie gra.

- Ciągle grasz? - Henry spojrzał pytająco na Ashe'a. - To przynajmniej coś. Twoja banicja nie poszła kompletnie na marne.

Ashe znowu zazgrzytał ze złości zębami. Czas wyprawić Henry'ego tam, dokąd zmierzał, zanim w jej salonie dojdzie do bójki na pięści, pomyślała Genevra. Obecność Benningtona nie poprawiła atmosfery, przeciwnie - bardzo ją pogorszyła.

- Zaproponowałabym panu drugą filiżankę herbaty, ale obawiam się, że i tak zatrzymałam pana za długo. - Genevra wstała, wyciągając do Henry'ego dłoń. - Dziękuję za propozycję wyprawy do miasteczka. Miło, że pan o mnie pomyślał.

- Staram się być miły. - Henry schylił się do jej dłoni i skierował się ku drzwiom.

Ashe wywrócił oczami i westchnął. W fotelu z wysokim oparciem i zagłówkiem, z założonymi nogami jedna na drugą, czuł się jak u siebie w domu. Nie było nadziei, że zbierze się do wyjścia.

- Nie słyszałem czegoś podobnego. Mój kuzyn ma iście poetycką fantazję. To śmieszne - oznajmił.

- Wcale nie śmieszne, lecz słodkie. - Zaczęła ustawiać filiżanki na tacy.

Może Ashe domyśli się, że przerwa na herbatę skończona.

- Tak pani myśli? Lubi go pani? - zapytał.

- Jesteśmy tylko przyjaciółmi. - Filiżanka omal nie wypadła jej z ręki, tak zdziwiła ją obcesowość pytania.

- Wydaje się, że on chciałby być kimś więcej.

- A pan? - Ona także potrafi być zuchwałą. - Czego pan tutaj szuka? Przykro mi, jeśli z mojego powodu odniósł pan wczoraj niewłaściwe wrażenie.

- Zapewniam panią, że odniosłem właściwe wrażenie. Nie stać mnie na pomyłkę. Mam tylko dwa policzki do spoliczkowania. - Powiódł za nią wzrokiem, gdy wstała i zadzwoniła na służącą, żeby zabrała tacę. - Czy nadeszła już ta chwila, w której poinformuje mnie pani z żalem, że powinienem wyjść, bo pani musi wrócić do swoich zajęć, czy też wyprosi mnie pani, bo wyrażałem się zbyt odważnie i wprowadziłem panią w zakłopotanie? - Prowokował ją swoim zuchwałym uśmiechem.

- Tylko wtedy, jeśli pan sam nie zauważy, że czas wyjść... Bez czekania, aż pana wyproszą.

- Cóż, zabolęła mnie pani odpowiedź... A ja liczyłem na spacer po pani słynnych ogrodach. Po wczorajszej rozmowie, w której przechwalała się pani postęпами w ich porządkowaniu, miałem nadzieję, że uda mi się rzucić na nie okiem.

Rybka połknęła haczyk. Genevra miała słabość do swoich ogrodów i lubiła je pokazywać.

- Proszę poczekać, zmienię obuwie. - Uznała, że nadarza się znakomita okazja, by mu udowodnić, że jego wczorajsze przypuszczenia są pozbawione podstaw. Miała słuszne powody, by nie palić się do wyjazdu do Londynu, a najważniejszym były właśnie ogrody.

Najpierw pokazała Ashe'owi zakątek bukszpanowy z krzewami udającymi zwierzęta. Żyrafa, koń i słoń stały otoczone bratkami, które jeszcze nie zdążyły zakwitnąć. Nawet bez ich kolorów ogród zachwycał. Między „zwierzętami” rozmieszczono wielkie drewniane donice z przyciętymi w spiralne kształty cedrami.

- Skopiowałam niektóre włoskie wzory, jakie widziałam na ilustracjach z ogrodów Boboli - wyjaśniła Genevra.

Szli obok siebie, ale ona nie unikała bliskości i wzięła go pod ramię. Nie chciała ryzykować, więc postanowiła kontrolować sytuację.

Ashe zatrzymał się przy spiralnym drzewku w donicy.

- Udało się pani. Tak to dokładnie tam wygląda.

- Był pan we Florencji?

- Zwiedziłem całe Włochy. Pojechaliśmy z grupą przyjaciół po studiach w Oksfordzie.

Byliśmy rozmiłowani w sztuce Renesansu, a ja dodatkowo interesowałem się fortepianami Cristoforiego. - Zamilkł. Genevra wyczuła jego wahanie, zanim dodał: - Ojciec nie chciał, żebym jechał. Kochał Anglię i nie widział sensu w podróżowaniu tak daleko od domu.

Kawałek układanki trafił na miejsce, pomyślała Genevra. Krótkie wejrzenie w nieznaną, tajemniczą przeszłość Ashe'a Bedevere'a. Czekwała na więcej, ale nie kontynuował.

- Marzę o podróżach - powiedziała, żeby wypełnić chwilę ciszy.

Przyjechała do Anglii, bo tego wymagały okoliczności po śmierci męża. Gdyby sytuacja nie rozwinęła się w złym kierunku, nigdy nie opuściłaby Bostonu.

- Co stoi na przeszkodzie?

Genevra nie była pewna, czy chciał wyrazić zrozumienie dla jej marzenia, czy zasugerować, by zaczęła je jak najszybciej realizować. A może po prostu chciał ją wyprowadzić z Anglii, żeby przejąć kontrolę nad majątkiem?

Doszli do alejki, w której wciąż trwały prace porządkowe.

- To będzie korytarz między sadem owocowym a labiryntem. Prowadzi do fontanny - wyjaśniła, wolną ręką wskazując miejsce.

Była świadoma, że on wciąż nie puszcza jej drugiej dłoni, chociaż nie musiał już jej pomagać utrzymać równowagę na drodze. Uścisk był gorący i mocny.

- Ogrody wymagają wielkiego zaangażowania, trudno pogodzić to z pasją do podróży - zauważył.

- Nigdy nie wiadomo, co przyniesie przyszłość. Nie ma sensu siedzieć beczynnie w teraźniejszości... Przyszłość i tak zaoferuje coś zupełnie innego, niż myślimy. Jeśli nie zaoferuje, czas spędzony na oczekiwaniu będzie czasem straconym.

Dotarli do wielkiej fontanny. W pobliżu nie było nikogo, a ciszę przerywał jedynie szum wody. Zaczął powoli kreślić palcem kółka na wierzchu jej dłoni. Wczorajszego wieczoru zachowywał się podobnie, zanim ją pocałował.

- Zdaje mi się, pani Ralston, że dobrze pani wie, co znaczy strata.

Zachęta do zwierzeń była oczywista. Genevra czuła silną pokusę, by odpowiedzieć. Ten mężczyzna wiedział, jak dotykać kobiety, pomyślała. Jego oczy badały jej twarz, a ona, wbrew

wszelkiej logice, chciała, by ją pocałował i zwolnił z odpowiedzi. Ale nie pocałował. Czekał. Usta zatrzymał w odległości zaledwie kilku centymetrów od jej ust. Czuł, że pragnęła bliskości.

- Owszem, wiem - szepnęła.

Przynajmniej tyle mogła powiedzieć.

- I dlatego tu pani przyjechała, pani Ralston? Aby schwytać okazję, jakie daje terazniejszość, czy uciec przed przeszłością?

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Szare oczy Genevry utkwione w punkt nad ramieniem Ashe'a skoncentrowały się po chwili na jego twarzy. Na jej ustach pojawił się uśmiech.

- Czy to dlatego pan się tu znalazł?

- Nie uciekam przed przeszłością, pani Ralston.

- Słusznie, źle się wyraziłam, pan za nią pokutuje. - Powiedziała to bez złośliwości, tak po prostu, jakby sama doznała nagle objawienia.

Jej usta były blisko, takie różowe i kuszące. Ktoś mógłby sądzić, że ma do czynienia z wyrachowaną kokietką, ale Ashe widział, jak te lśniące jak rtęć oczy potrafią wyrażać autentyczny gniew... i inne gwałtowne uczucia. Z tak bliska trudno było nie zauważyć subtelnych niczym z porcelany rysów twarzy. Jednocześnie nie mógł ująć uwagi niezaprzeczalny fakt, że pani Ralston wcale nie należała do filigranowych i słabych kobiet.

Ashe cofnął się. Postanowił, że nie pocałuje jej, w każdym razie nie dzisiaj. Mogłaby dojść do przekonania, że całowanie weszło mu w nawyk i że będzie nagminnie próbował się zbliżyć. Gdyby tak miało być, jego plan uwiedzenia jej wziąłby w łeb.

- Nic pani o mnie nie wie, pani Ralston.

- A pan o mnie - przybrała obojętnie uprzejmy wyraz twarzy - co panu nie przeszkadza spekulować.

Nie mogła wyrazić się jaśniej. Miała go za hipokrytę. Nie była tchórzliwa, musiał jej to oddać. Wiedziała, co to jest cięta riposta. Niełatwo było ją pokonać.

- Wszystkie Amerykanki są jak pani?

- Wszyscy Anglicy są jak pan?

Choćby raz mogłaby nie odpowiadać pytaniem na pytanie. Jej taktyka zaczynała drażnić Ashe'a.

- Mój kuzyn nie jest do mnie podobny.

- Z całą pewnością.

Zabrzmiało to dwuznacznie. Czy to kuzyn mu nie dorównywał, czy on kuzynowi? I znowu wrócili do Henry'ego, pomyślał. Rozmowa zatoczyła krąg.

Ashe wyciągnął z kieszeni zegarek i ostentacyjnie sprawdził, która godzina.

- Ponieważ nie zanoszę się na to, że zaczniemy zwierzać się sobie ze swoich sekretów, czas najwyższy, bym poszedł i pozwolił pani wrócić do swoich obowiązków. Dziękuję za przechadzkę po pięknych ogrodach. Było to bardzo pouczające. - Niech teraz ona zastanawia się, o co mu chodzi. - Proszę się nie fatygować, znajdę drogę do wyjścia.

Nie zdążył odejść więcej niż dwadzieścia kroków kiedy zawołała:

- Kiedy wraca pan do Londynu?

Odwrócił się.

- Nie planuję powrotu do Londynu w najbliższym czasie, pani Ralston. - Uśmiechnął się, sprawiając, że pożałowała swojego nieprzemyślanego pytania. - Boi się pani, że za mną zatęskni?

Roześmiała się, tym samym głębokim śmiechem, który usłyszał w czasie kolacji.

- Zatęsknię? Ja? Bynajmniej.

- Zobacz pani, że pani zatęskni - zawołał przez ramię. - *Adieu*, pani Ralston, do następnego spotkania. Jest nieuniknione. W końcu będzie pani musiała wziąć pod uwagę moje czterdzieści pięć procent się to pani podoba, czy nie.

Wyprostował ramiona i kroczył dumniej niż zwykle. Wiedział, że na niego patrzy, i zdążył się już zorientować, że lubiła to robić. Przyłapał ją na tym wielokrotnie. Dobry początek, pomyślał. Przynajmniej nie ignorowała go.

Gdyby nie chodziło o wysoką stawkę, chętnie popłirtowałby jeszcze, a potem zrobił kolejny krok. Stawka była naprawdę wysoka. Nie mógł ryzykować porażki. Nie ma się co oszukiwać, znalazł się w sytuacji bez wyjścia. Sprzedaż jego części majątku i wycofanie się nie wchodziły w grę. Nie mogło też być mowy o zaakceptowaniu w pokorze obecnej sytuacji.

Kobiety, które uwodził, chciały być uwiedzione. Jego partnerki od początku rozumiały zasady gry.

Wiedziały, kiedy gra się skończy, zanim jeszcze się na dobre zaczęła. Ashe nie był pewny, czy Genevra Ralston zagra według tych reguł, jeśli w ogóle do gry przystąpi. Postanowił, że go nie zwiodą jej gorące pocałunki i przyspieszony puls.

W przypadku tej kobiety nie wystarczało, by go zapragnęła. Miała dość wewnętrznej siły, by rozsądek hamował porywy serca. Aby zatriumfować, Ashe potrzebował strategii wykraczającej poza przypadkowe spotkania i skradzione ukradkiem pocałunki. Weźmie to pod uwagę. Nie może być tak, że jedyną kobietą, której nie udało mu się uwieść, okaże się ta, z którą musiał się ożenić.

Teraz jednak miał co innego na głowie. Plan uwiedzenia pani Ralston musi poczekać. Teraz czas zaplanować najbliższy wieczór. Ashe dotknął kieszeni zakietu. Miał w niej dowody damskich uczuć i pamiątki po licznych przygodach miłosnych w Londynie: szpilki do krawata z rubinem i z kryształem górskim oraz szmaragdowe spinki do mankietów. Wystarczy na kilka partyjek bilardu w miasteczkowym pubie. Zacznie gromadzić pieniądze na utrzymanie Bedevere. Znajdzie środki na konieczny remont i nie poprosi Genevry o zaliczkę, bo to równałoby się przyznaniu do tego, jak bardzo potrzebuje jej pięćdziesięciu jeden procent.

Nic bardziej nie poprawia samopoczucia mężczyzny, jak atmosfera przesiąknięta zapachem piwa i potu. Może nie był to zapach najprzyjemniejszy, ale za to dobrze znany i w tej chwili tylko to się liczyło. Gra w bilard dobrze wpływała na myślenie Ashe'a. Podobnie jak gra na fortepianie. Kiedy koncentrował się na grze, jego umysł pracował nieskrępowanie i pozwalał mu patrzeć na rzeczy z większym obiektywizmem. Potrzebował teraz czasu na przemyślenia i trochę pieniędzy. Jeśli szczęście dopisze, dzisiaj wieczorem będzie miał i jedno, i drugie.

Jak Anglia długa i szeroka, w większości pubów stał stół do bilardu i Audley nie było pod tym względem wyjątkiem. Jak zauważył Ashe, ten egzemplarz był, delikatnie mówiąc, mocno wysłużony. Ale jemu to nie przeszkadzało, chciał dzisiaj się zatracić w grze. Obrzucił wzrokiem sąsiedztwo stołu i dostrzegł ofiarę. Nie musiał się specjalnie wysilać. Ten człowiek dosłownie wystawiał się na żer.

- Nikt nie zagra? - głośno zapytał.

Stojący wokół stołu pokręcili przecząco głowami, widząc, jak została rozgromiona jego ostatnia ofiara. Ashe widywał już takich graczy. Temu brakowało finezji. Poza tym chwalił się umiejętnościami, a trik polegał na tym, by ich nie ujawniać do chwili, gdy nadejdzie czas do ataku.

Ashe wystąpił do przodu i wystrzelił pierwsze salwy w swojej wojnie o przywrócenie świetności Bedevere.

- Ja zagram.

Miał zamiar zdobyć pieniądze w jedyny sposób, jaki znał. Byłoby lepiej, gdyby byli z nim dwaj kumple, Merrick i Riordan. Pomogliby mu ograć tego faceta, pozorując wspólną grę przeciwko Ashe'owi. Bez nich też sobie jednak poradzi.

Mężczyźni rozstąpili się, żeby zrobić mu miejsce. Gracz obrzucił go lekceważącym spojrzeniem, jakby w wyobraźni już widział się zwycięzcą. Ashe nie miał nic przeciwko temu. Tak właśnie miało być. Chciał wyglądać jak młody elegancik z kieszeniami wypchanymi złotymi gwineami. Ot, kolejny kogucik do oskubania.

- O co zagramy?

- O to. - Ashe położył na obramowaniu stołu złotą szpilkę do krawata z imitującym diament kryształem górskim. Ludzie wokół stołu wydali przeciągłe westchnienia. Szpilka nie była przesadnie kosztowna, ale rzucała się w oczy kunsztownym wykonaniem, a kryształ w świetle wiszącej nad stołem lampy rozsiewał blaski jak prawdziwy diament. Przeciwnik wlepił wzrok w klejnot. Doskonale, pomyślał. Gap się na nagrodę zamiast koncentrować się na grze. - Wygrywa zwycięzca trzech partii z pięciu?

Rozpoczęli. Ashe grał w skupieniu. Przegrał dwie pierwsze partie, żeby wzmocnić przekonanie przeciwnika, że łatwo padnie jego ofiarą, a następnie wygrał trzy kolejne, a po nich jeszcze trzy. Przeciwnik wycofał się, ale znalazł się kolejny. Po kilku godzinach jeden z gapiów wpadł na pomysł, żeby zbudzić mistrza gry w bilard z sąsiedniej wioski i przed świtem sprowadzić go do pubu.

Partia trwała nieco dłużej, ale w końcu Ashe wygrał i wypchał sobie kieszenie plikami banknotów.

Wygrał wystarczająco dużo, by starczyło na opłacenie przez miesiąc każdego, kto chciałby zatrudnić się na przychodne w Bedevere.

Grał dłużej, niż zamierzał, ale wiedział, że kiedy rozejdzie się, co potrafi, nikt już z nim więcej nie zagra. Na szczęście było jeszcze wiele pubów w innych miejscowościach wokół Audley, dokąd przez jakiś czas wieść nie dojdzie.

To wciąż jeszcze za mało. Zastanawiał się, co więcej mógłby zrobić, by zdobyć pieniądze. Naraz przyszła mu do głowy nowa myśl. Skoro nie może grać w miejscach publicznych, to może mógłby założyć dom gry w Bedevere, naturalnie po zakończeniu okresu żałoby. Po powrocie do domu postanowił obejrzeć, w jakim stanie jest stół bilardowy. Podejrzał, że nie używano go od lat.

Choć pomysł wydał mu się sensowny, to na zysk trzeba dłużej poczekać, a on potrzebował rozwiązania na teraz. Zawsze może zorganizować aukcję, jakkolwiek byłoby to bolesne.

Do głowy zaczęły mu przychodzić kolejne pomysły. Uporządkuje Bedevere, żeby sprawiało dobre wrażenie, i będzie zapraszał dżentelmenów na wieczory gry w bilard przy lampce brandy - w karty też, czemu nie. W okolicy jest mnóstwo szlachty - dziedziców, ich synów, siostrzeńców i bratanków. Letycja zrobi listę, poprosi ją o to.

Oznaczało to, że w pierwszej kolejności należy uporządkować ogrody, co teraz nie wydawało mu się stratą pieniędzy. Postanowił też przejrzeć zawartość strychów, gdyż tam na pewno znajdą się meble, które można by wystawić na aukcję...

Z głową nabitą pomysłami, z rozwiązany krawatem i żakietem przewieszonym przez ramię wyszedł na ulicę. Światło dzienne poraziło go. Na dobitkę poślizgnął się na obluzowanym kamieniu bruku.

- Och! Proszę uważać!

Za późno. Ashe wpadł wprost na przechodzącą z paczkami zakupów kobietę, przewracając ją na ziemię.

Pozbierał się, uświadamiając sobie, że oprócz tego, że sytuacja była dość zabawna, to na dodatek los zakpił sobie z niego porządnie. Spośród wszystkich kobiet chodzących po ulicach Audley musiał wpaść akurat na panią Ralston.

- Przepraszam. - Zaśmiał się, chcąc obrócić w żart ów nieszczęśliwy wypadek. Co mu pozostało?

Pani Ralston nie podzielała jednak jego wesołości, o czym świadczyły gromy z jej szarych jak burzowa chmura oczu. Instynkt podpowiadał Ashe'owi, że powinien pokornie położyć uszy po sobie i cierpliwie przyjąć reprimendę.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Ależ on miał zielone oczy, pomyślała. I był tak blisko, że bliżej już nie można. Cóż za upokorzenie!

I nie chodziło wcale o to, że leżał na niej bezwstydnie na środku ulicy. Powinna być zagniewana, a na pewno nie podniecona. Jednak, jak nakazywała przyznać uczciwość, jej ciało ożywiło się i czuła to doskonale. On zresztą zareagował podobnie. Oczywiście, dla niego to jedynie element gry, tak samo jak ów nieszczęsny pocałunek w oranżerii.

Wstał, nie przestając się śmiać.

- Pani Ralston, jest pani cała? Proszę... Pomogę pani wstać.

Wydawał jej się wyższy niż zazwyczaj. Wyciągnął do niej rękę, ale duma nie pozwoliła jej skorzystać z pomocy. Da sobie radę sama i zyska na czasie, żeby zastanowić się, jak sensownie się zachować, pomyślała.

- Niech pan trzyma ręce przy sobie. - Podnosiła się, dbając o to, by zachować się z gracją, jakby zderzenia z przystojnymi, aroganckimi mężczyznami na ulicach były dla niej chlebem powszednim.

Odrzucił do tyłu grzywę czarnych włosów i znowu się roześmiał.

- Niechże pan się uspokoi i pomoże mi pozbierać pakunki - zbeształa go słodkim tonem.

Wokół nich zaczęli gromadzić się gapie. W sennym miasteczku takie wydarzenie musiało wzbudzić zainteresowanie. Bóg wie, co ludzie będą sobie o nim opowiadali wieczorem przy kolacji.

- Po drugiej stronie ulicy jest przyzwoita gospoda. Chodźmy tam, napije się pani herbaty i dojdzie do siebie - zaproponował.

Nie miała wyjścia, zdała się na niego. Pozwoliła zaprowadzić się do gospody, na szczęście innej niż ta, z której wyszedł.

- Dobrze się pani czuje, pani Ralston? - zapytał, gdy na stoliku postawiono filiżanki z herbatą.

Nie brakowało mu tupetu, pomyślała.

- W ciągu dwóch dni, odkąd pana poznałam, zdążył pan mnie pocałować, przyjść do mojego domu nieproszony i przewrócić się na mnie na ulicy. Doprawdy, panie Bedevere, zaczynam się zastanawiać, co jeszcze może mnie spotkać z pana strony.

Właściwie nie powinna się zastanawiać, bo wystarczyło jedno spojrzenie, by dokładnie przewidzieć jakiego rodzaju był człowiekiem - przebiegłym uwodzicielem, z którym lepiej nie mieć do czynienia.

Domyślała się już tego od pierwszej chwili, gdy przyjechał. Jego zachowanie w oranżerii potwierdziło najgorsze domysły. Nie powinna się dziwić, że napotyka go w chwili, gdy chwiejnym krokiem wyłania się z podejrzanej szulerni ubrany w to samo ubranie, które miał na sobie poprzedniego dnia po południu. Jak każda mądra kobieta, ona także wiedziała, że jeśli mężczyzna wygląda na hulakę, mówi jak hulaka, to hulaką jest.

- Przepraszam za ten niefortunny wypadek. - Uśmiechnął się w rozbrajająco chłopięcy sposób, który miał ją oczarować.

Nie da się na to nabrać, pomyślała, ale co to był za uśmiech! Jego oczy, bystre i zielone jak oczy kota, zabłyszczały przekorą i szczerością.

- Po pierwsze, nie musiałby pan przeproszać, gdyby nie znalazł się pan w tym miejscu - powiedziała tonem przygany. Prawdę powiedziawszy, chętnie dowiedziałyby się, co go zatrzymało całą noc poza domem.

- Albo gdyby pani się tam nie znalazła - odbił argument, podsuwając jej talerzyk z ciasteczkami. - Żeby doszło do kolizji, trzeba dwóch osób.

Czyżby bezczelnie obarczał ją winą?!

- Ja robiłam zakupy, a pan wychodził o jedenastej z pubu.

Znowu się zaśmiał i Genevra miała wrażenie, że tym razem z niej.

- Czy to zbrodnia? Mówi pani takim tonem, jakby było w tym coś złego.

- Bo jest. Niech pan na siebie spojrzy. Niech się pan powącha.

Ku jej przerażeniu zrobił to, nie przestając się śmiać. Był rozbrajający. Stwierdziła z jeszcze większym przerażeniem, że czar jego uśmiechu zaczyna działać.

- Hm... co czuję?... Cygara, whisky... Zapach rzeczywiście trochę nieświeży - stwierdził rzeczowo.

Genevra odnosiła wrażenie, że aż za dobrze się bawi, i postanowiła to przerwać. Poza tym nie jej sprawa, jak spędził noc, choć jego oczy miały czerwone obwódki świadczące o braku snu. Niezmienione ubranie to osobna historia.

- Panie Bedevere, pan wybaczy... - Nie była świętoszką, ale on przekraczał wszelkie granice.

- A no właśnie... „panie Bedevere”, „pani Ralston”... Nie wydaje się pani, że mamy to już za sobą? - pochylił się nad stolikiem, skracając dystans.

Genevrze przeleciało przez głowę, że chce ją znowu pocałować.

- Chcę się z czegoś wypowiedzieć. - Miał chyba niejeden grzech do wyznania, chociaż nie sprawiał wrażenia człowieka szczególnie pobożnego. - Zazwyczaj do kobiet, na których, by tak rzec, łąduję, zwracam się po imieniu. - Co do tego Genevra nie miała wątpliwości. Nie uszła też jej uwagi liczba mnoga. - Już drugi raz proszę, by zwracała się pani do mnie Ashe. - Nie czekał, żeby zaproponowała to samo na zasadzie wzajemności. - Ja będę się do pani zwracał Neva - dodał, patrząc jej w oczy.

- Pańskie ciotki i Henry nazywają mnie Genni - skontrowała pośpiesznie.

Neva brzmiało zbyt zmysłowo. Nie powinna na to pozwolić dla własnego dobra, nie ze względu na konwenanse. Była w Anglii dostatecznie długo, by o tym wiedzieć. Żadna przyzwoita angielska kobieta nie pozwoliłaby na to.

- Mało oryginalnie, ale czego się spodziewać po Henrym - orzekł bezceremonialnie.

Wbrew sobie Genevra roześmiała się.

- Dlaczego nie lubi pan kuzyna?

- Niech pani przestanie odpowiadać pytaniami na pytania. I nie zmienia tematu rozmowy. Rozmawiamy o pani, nie o Henrym.

Genevra spoważniała.

- Panie Bedevere...

- Ashe.

- Ashe, no dobrze... Widzę, że jest pan zaprawiony we flirtach z kobietami i przyzwyczajony do sukcesów na tym polu. Pańskie zainteresowanie pochlebia mi. - Wstała. Najlepszym sposobem zakończenia tej rozmowy była ucieczka. - Ja jednak nie jestem zainteresowana niczym, co mógłby mi pan zaoferować.

Westchnął. Gdyby tylko wiedziała, że miał jej do zaoferowania znacznie więcej, niż mogła się spodziewać - małżeństwo. Domyślał się też o co go podejrzewała; że chce ją uwieść, bo chodzi mu o jej część spadku. Była niedaleka od prawdy, ale on przy okazji chciał z niej uczynić przyzwoitą kobietę. Nie był takim draniem, żeby niczego w zamian nie zaproponować.

Wstał i zastawił jej drogę.

- Jest pani pewna? - spytał cicho. - Nie wie pani, co mam do zaoferowania, bo jak dotąd, nie złożyłem jeszcze żadnej propozycji.

Spojrzała zimno z ukosa. Każda stawiająca wygórowane warunki kurtyzana byłaby dumna z takiego spojrzenia.

- Doskonale wiem, co ma pan do zaoferowania, Ashe.

- Naprawdę? I odmawia pani? Muszę stwierdzić, że przejawia pani albo wyjątkowo silny charakter, albo wyjątkowy brak wyobraźni. - Zauważył przelotny uśmiech, który rozchylił jej wargi, po czym na powrót przywołała powagę. - Bez obaw... może się pani śmiać. Jestem znany z celnego dowcipu.

- O, jestem pewna, że nie tylko z tego... - Spojrzała mu śmiało w oczy. - Ale nie jestem panem zainteresowana i muszę odrzucić pańską propozycję. A teraz, pan wybaczy, wolałabym wyjść sama, panie Bedevere.

- Ashe - poprawił ją znowu. - Uzgodniliśmy to już kilka minut temu.

- Do widzenia, panie Bedevere - powtórzyła dobitnie.

- Do widzenia, Nevo.

Cóż za kobieta! - zachwycił się w myślach Ashe, odprowadzając ją wzrokiem. Wiedział jednak, że wróci i będzie jego. Oczywiście, on od razu nie zaproponuje jej małżeństwa. Dałaby mu kosza, bowiem zorientowałaby się, czym w istocie jest ta propozycja: próbą odzyskania kontroli nad majątkością.

Należało zacząć od rzeczy drobnych. Początkową przynętą będą ogrody. Ona ma słabość do ogrodów. Dobrze się składa, bo w związku z jego najnowszymi planami ogrody Bedevere muszą i tak zostać uporządkowane.

Ashe z powrotem usiadł i dokończył herbatę. Po nieprzespanej nocy zaczęła go boleć głowa. Poweselał na myśl, że pierwszą reakcją pięknej i cnotliwej Genevry Ralston na jego umizgi była myśl, że on proponuje jej coś rzeczywiście zdrożnego.

Niestety, mało pokrzepiające było odkrycie, że jedyna kobieta, którą musiał pojąć za żonę, dała mu kosza, zanim jeszcze wyartykułował jakąkolwiek propozycję.

Ashe przeczesał dłonią włosy. Miała rację. Musiał się odświeżyć i wziąć kąpiel, ale najpierw postanowił wynająć robotników i zamówić materiały.

Z dnia na dzień poczuł się zupełnie inaczej. Wczoraj jeszcze nie miał pomysłu, czym się zająć, a dzisiaj realizuje plan, do którego powodzenia z pewnością przyczyni się Genevra Ralston; czy jest tego świadoma, czy nie.

Ze swojego miejsca przy frontowym oknie w gospodzie Henry miał doskonały widok na główną ulicę handlową w Audley. Jadł wczesny lunch. Przynajmniej potrawka z królika była

smaczna, chociaż dzień już od rana nie zaliczał się do udanych. Wpadł do miasteczka, żeby „przypadkowo” natknąć się na Genevrę robiącą codzienne zakupy, ale szczęście mu nie dopisało. W żadnym sklepie jej nie było.

Gdyby wszystko szło po jego myśli, jadłaby z nim teraz lunch w wyższej klasy pubie po drugiej stronie ulicy. Stąd jednak rozciągał się lepszy widok na ulicę. Gdyby Genevra pokazała się w miasteczku, na pewno by ją zobaczył.

Naraz powiedział do siebie: „Oto i ona”. Ręka Henry'ego zatrzymała się w połowie drogi do ust. Kobieta wyszła z gospody z koszykiem pełnym pakunków, więc już zdążyła zrobić zakupy. Skrzywił się. Jeśli to prawda, nie będzie chciała pochodzić z nim po sklepach i wszystko wskazywało na to, że herbatę też już piła. Miał ograniczone możliwości, mimo wszystko musiał spróbować. W najgorszym razie będzie mógł towarzyszyć jej w drodze do domu. Henry wyłowił kilka monet z kieszeni, zostawił je na stole i pospieszył za nią. Nie zaszedł jednak daleko. Z drzwi gospody wyłoniła się inna, aż za dobrze znajoma twarz. Ashe.

Henry od razu zrozumiał, co się wydarzyło. Nie spotkał Genevry w trakcie jej zwyczajowej rundki po sklepach, bo uprzedził go kuzyn. Cofnął się z powrotem do gospody. W tej sytuacji nie było sensu za nią iść. Jeśli spotkała się z Ashe'em, jego towarzystwo byłoby zbędne.

- Zna pan tego faceta? - zapytał ktoś burkliwym głosem.

Obok Henry'ego stał wielki, zwalisty mężczyzna.

- Grał tu całą noc w bilard - nowo poznany poinformował Henry'ego nad kuflem piwa. - Ograł mnie. Do ostatniej nitki. Przez kilka partii udawał, że nie umie grać, potem zaczął wygrywać, a jak zaczął, to nie mógł skończyć. Przegrałem wszystko. Potem sobie poszedłem, słyszałem jednak, że grał całą noc i wszystkich puścił w skarpetkach.

Henry uśmiechnął się. Biedny Hammond Gallagher. Można to wykorzystać.

- To Ashe Bedevere, syn zmarłego hrabiego. Szlachetny Ashe Bedevere, dla nas, zwykłych śmiertelników.

Hammond zdziwił się, a Henry odgadł, co sobie pomyślał. Został pokonany przez syna hrabiego, więc nic w tym uwłaczającego. Ba, nawet swego rodzaju zaszczyt, ale czas wyprowadzić go z błędu.

- Bedevere mało przebywa w Anglii. Ostatnio większość czasu spędził na kontynencie... Na rozpuście, pijaństwie i hazardzie. - Henry uniósł ramiona w geście dezaprobaty dla takiego trybu życia. - Przyjechał do domu, bo umarł mu ojciec, a on zamiast żałobie oddaje się hazardowi i nie myśli zając się losem swoich starych ciotek.

- Wygląda na to, że potrzebuje nauczki - mruknął Gallagher.

Henry ukrył uśmiech w kuflu. O to chodziło, a nawet nie musiał się specjalnie wysilać. Przyjrzał się Gallagherowi. Mężczyzna miał posturę kowala; szerokie ramiona i klatkę piersiową oraz wielkie i ciężkie dłonie. Ashe z pewnością sobie z nim nie poradzi.

- Bedevere nie jest szczególnie lubiany przez niektórych - zaczął Henry. Nie było to zresztą kłamstwem. Jego kartel na pewno za nim nie przepadał. - Mam przyjaciół, którzy byliby gotowi zapłacić, gdybyś ty z kilkoma kolegami miał ochotę zabawić się trochę kosztem Bedevere'a. W końcu on twoim kosztem już się zabawił.

Gallagher zastanowił się krótką chwilę i Henry wiedział, że się nie omylił. Oprych chętnie wzięłyby mały rewanż za przegraną, jedynym, co go powstrzymywało, była myśl, że Bedevere to syn para Anglii. Henry tymczasem położył na stole kilka monet, które dostał od Trenta. - Dostaniesz więcej, kiedy będzie po robocie. Gallagher schował monety do kieszeni, ze zrozumieniem pokiwał głową i wyszedł. Henry uśmiechnął i doszedł do wniosku, że dzień nie okazał się całkiem zmarnowany. Dobre lanie co prawda nie wygna kuzyna z majątku, ale zapewne wystarczająco go spowolni, a w zaistniałej sytuacji Henry najbardziej potrzebował czasu.

Ashe okazał się trudniejszym przeciwnikiem, niż się zdawało, i Henry był mocno zawiedziony. A wszystko przecież tak dobrze obmyślił. Odczekałby stosownie długo i zaczął zalecać się do Genevry, ożenił się i osiadł w Bedevere, a ona nie miałaby szansy domyślić się prawdziwych motywów, jakie nim kierowały. Po wspólnie spędzonej zimie taki bieg wydarzeń wydawał się całkiem naturalny. Przez cały czas miał nadzieję, że wuj przekaże mu pieczę nad całym majątkiem. W połączeniu z fortuną Genevry, która dostałaby mu się po ślubie, byłby niekwestionowanym panem sytuacji. Nic jednak nie szło po jego myśli.

Warunki testamentu okazały się takie, że jego starania o rękę Genevry przestały zachowywać pozory bezinteresowności. Jeśli jednak zaszkodziły jemu, to zaszkodziły również Ashe'owi i to może nawet bardziej.

Henry dopił piwo. Obiecał sobie, że ciotki, które chcą wyswatać Ashe'a, nie pokrzyżują mu planów. Za daleko zaszedł, zbyt długo czekał. Od lat patrzył pożądlivym okiem na Bedevere i jego zasoby. W ostatnich miesiącach nieustannie nadskakiwał staremu hrabiemu. Nie pozwoli, żeby poszło to na marne. Jeśli zdobędzie Genevrę, będzie miał wszystko.

Oczywiście, istnieje szansa, że ona odmówi, ale nie zamierzał teraz się tym martwić. On także znał sposoby, żeby zmusić kobietę, aby powiedziała „tak”.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Wiesz, Melisando, bardzo mi się spodobał nowy wzór chusteczki z wyhaftowanym herbem Bedevere'ów. Dziękuję, że mi go przysłałaś. - Genevra uniosła wzrok znad robótki, jej uwagę przykuł widok za sięgającym podłogi oknem wychodzącym na ogród.

Dzień był pochmurny i ogród tonął w błocie. Sznurki rozciągnięte pomiędzy wbitymi w ziemię kołkami wyznaczały zarysy przyszłych klombów. Uwagę przyciągał nie tyle sam ów widok, co mężczyzna krążący między pracującymi ogrodnikami. Co rusz poklepywał któregoś po plecach, zatrzymywał się, by porozmawiać, pokazywał i gestykulował.

Dzień nie był przesadnie ciepły. Jadąc tu, stwierdziła, że jest dość wietrznie. Ashe'owi to nie przeszkadzało, był tylko w bryczesach i w koszuli z podwiniętymi rękawami, bez kamizelki. Brak kamizelki wykluczał wszelkie domysły, co mogłoby się pod nią kryć. Nic nie przeszkadzało dostrzec szczupłej talii i smukłych bioder w uwalanych błotem bryczesach.

Widok młodego Bedevere'a przy pracy był upajający. Sama nie wiedziała, czy może dlatego że była to niezwykła sytuacja jak na syna hrabiego, czy dlatego że była to ostatnia rzecz, jaką Genevra potrafiła sobie wyobrazić w związku z Ashe'em.

- Genni, kochanie, coś się tak zamyśliła? - Lawinia odwróciła się od sztalug, przy których malowała wazon z pierwiosnkami.

- Zastanawiałam się, co wasz siostrzeniec robi w ogrodzie. - Genevra wołała się przyznać niż wymyślać wymówki. Nie chciała się tłumaczyć, wszak kto się tłumaczy, ten się oskarża.

- Stwierdził, że chce nim nadejście wiosna, doprowadzić do porządku ogród przed domem - poinformowała Melisanda tonem, z którego wynikało, że pochwała wysiłki siostrzeńca.

- Przyjemnie będzie cieszyć wzrok kwiatami w czasie spacerów. Jak za dawnych czasów... Odałabym wszystko za ostatnie lato w prawdziwym ogrodzie.

- Nie roztkliwiaj się, Melly, wiele jeszcze lat przed nami - rzuciła jej ostre spojrzenie Lawinia.

- Naturalnie - potwierdziła Genevra. - Mamy tyle planów w związku z kiermaszami. Jeśli nie macie nic przeciwko temu, wyszłabym do ogrodu, bo może mogłabym udzielić rad waszemu siostrzeńcowi. - Jeśli zamierzał cokolwiek zmieniać bez konsultowania z nią, to czas o tym porozmawiać. Niech nie traktuje jej, jakby była niemym partnerem.

Letycja pokraśniała z zadowolenia. Intencje wyzierające z jej błękitnych oczu były aż nadto czytelne. Nie miały nic wspólnego z pracami w ogrodzie.

- Ależ oczywiście, Genni, jestem pewna, że Ashton będzie ci wdzięczny za każdą sugestię.

Genevra wzięła z fotela podbitą futrem pelerynkę, którą położyła tam po wejściu do salonu, i wyszła bez oglądania się za siebie z obawy, że zobaczy zadowolone uśmiechy czterech starszych pań, usilnie starających się wyswatać ją ze swoim krewniakiem. Nie miała zamiaru wychodzić naprzeciw ich oczekiwaniom i nie czuła się z tego powodu ani trochę winna.

Czuła, że nie jest w porządku, że nie powiedziała im o swojej nowej roli w zarządzaniu posiadłością, ale mogła sobie wyobrazić, z jaką dodatkową energią babrałyby się do dzieła. Nie mówiąc już o tym, jak Ashe wykorzystywałby naiwność ciotek i manipulował nimi z jak najgorszym dla niej skutkiem.

Genevra zatrzymała się przed stertą rozmokłej ziemi. Zarówno ona, jak i Ashe mieli dość czasu, by oswoić się z sytuacją powstałą po odczytaniu testamentu, i będą musieli uzgodnić między sobą zasady współpracy. On tymczasem przystąpił do prac w ogrodzie bez jej zgody. Jeśli nie zareaguje, kto wie, jakie inne jeszcze, większe przedsięwzięcia zechce podjąć bez konsultacji z nią.

Uniosła spódnicę, żeby nie umoczyły się w kałuży. Podziwianie Ashe'a z odległości było o wiele łatwiejsze, a poddawanie się czarowi jego męskiego uroku bezpieczniejsze. Z każdym krokiem czuła się bardziej niespokojna. Jego piękna twarz, uwodzicielski głos, przenikliwe spojrzenia zielonych oczu stanowiły dla niej poważne zagrożenie. Stanowczo zbyt wiele tajemnic otaczało tego intrygującego mężczyznę. Dlaczego nie wrócił do domu wcześniej? Dlaczego w ogóle wyjechał? Co zaszło między nim a jego ojcem? Co robił przez długie lata nieobecności? Jak to wszystko wpłynęło na decyzję hrabiego o pozostawieniu mu tylko czterdziestu pięciu procent udziałów w zarządzaniu majątkiem?

Co pchało ją na spotkanie z nim w ogrodzie - nadzieja na uzyskanie odpowiedzi na te pytania czy też może chęć doświadczenia dreszczu emocji, który zawsze jej towarzyszył w jego obecności?

Rozmowa z nim nie była łatwa, wibrowała w nim jakaś energia, która tylko jakby czekała na uwolnienie. Mimo otaczającej go aury hulaki, Ashe Bedevere był najbardziej intrygującym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek poznała, i treść testamentu nie miała nic do rzeczy.

Zauważył ją i ruszył jej na spotkanie, machając.

- Dzień dobry, Nevo, pomogę pani, żeby się pani nie poślizgnęła.

- Nie zimno panu? - przyjęła pomoc.

Sama zdążyła już zmarznąć.

- W ruchu nie czuje się zimna. Co panią sprowadza?

Oby tak dalej, a będzie to najprzyjemniejsza rozmowa, jaką kiedykolwiek mieli okazję prowadzić.

Genevra wzdrygnęła się na myśl, że będzie zmuszona popsuć ją nawiązaniem do kwestii zarządzania.

- Wyszłam, bo zaciekało mnie, dlaczego zmienił pan zdanie. Ostatnim razem, gdy rozmawialiśmy o ogrodach, pan twierdził, że zajmowanie się nimi to strata czasu.

- Zmieniłem nastawienie, ot i wszystko. Nie mogę przyjmować ludzi w Bedevere, gdy ogrody wyglądają tak jak teraz.

Odpowiedź była co najmniej wymijająca. Zanim Genevra zdążyła otworzyć usta, wziął ją pod ramię i ruszyli.

- Chodźmy, pokażę pani, co zrealizowaliśmy. Nic wielkiego, w porównaniu z tym, co pani robi w Seaton Hall, zaledwie kilka klombów z kwiatami i ozdobnymi krzewami. Cóż, wiosna jest już praktycznie za pasem. W przyszłym roku zrobię więcej. Teraz zamierzam skoncentrować się na podjeździe do domu i tym fragmencie ogrodu, który widać z okien bawialni, bo to się rzuca w oczy gościom.

- Chciał pan powiedzieć, że „my” powinniśmy skoncentrować się na podjeździe... - zrobiła przerwę, by dać mu czas na przetrawienie tego krótkiego, ale jakże wymownego słówka. - To ja mam decydujący głos w zarządzaniu posiadłością, czy się to obojgu nam podoba, czy nie.

- Do czego pani zmierza? Dlaczego mi o tym pani przypomina?

- Nie może pan podejmować samodzielnie decyzji w sprawach dotyczących posiadłości, nie mówiąc już o kwestiach finansowych. Ja muszę aprobować wszelkie wydatki. Zorientował się pan już chyba, że środki finansowe Bedevere są ograniczone. Powinniśmy rozważnie gospodarować funduszami, razem.

- To mój dom - powiedział.

Na jego twarzy pojawił się nerwowy tik. Było jasne, że nie będzie tolerował reprimend, jakby był niesfornym uczniakiem, ani też nie pozwoli narzucać sobie zdania.

Genevra złagodniała i położyła mu dłoń na ramieniu.

- Ja się o to nie napraszałam, Ashe. Siedzimy w tym obydwójce.

- Czego pani chce, Nevo? - zapytał jedwabistym głosem.

- Chcę panu pomóc w urządzeniu ogrodów. - Gdyby udało się z nim porozumieć, mogliby znacznie posunąć prace do przodu. - Niech mi pan opowie o swoich planach. Pańskie ciotki z góry cieszą się perspektywą spacerów.

Skręcili za narożnik domu. Wiatr złagodniał.

- Chcę w tym miejscu urządzić ciotkom rozarium i postawić kilka kamiennych ławek, żeby mogły siedzieć sobie ze swoimi robótkami.

Genevra słuchała zdumiona. Czy to ten sam Ashe Bedevere, który uwodził ją dwuznacznymi słówkami i prowokował cynizmem?

- Co pani o tym myśli? Spodoba im się?

- Tak, myślę, że tak.

- A pani? Czy będzie im pani dotrzymywała latem towarzystwa i robiła to, co zazwyczaj robi pani wraz z nimi? To chyba oczywiste, że liczę na pani pomoc.

Genevra była świadoma, że ją uwodził. Wolną dłonią przykrył jej dłoń spoczywającą na jego ramieniu.

- Zamierzałem zapytać pani o to tamtego dnia w gospodzie, ale pani była już na wstępie nastawiona negatywnie do mojej propozycji. Doszedłem do wniosku, że lepiej zaczekać.

Więc taka miała być ta propozycja? Genevra nagle poczuła się głupio. Obsztorcowała go, bo uważała, że miał jej do zaproponowania coś skandalicznego, tymczasem on chciał się tylko jej poradzić.

Roześmiała się, kręcąc głową. Nie odważyła się spojrzeć mu w oczy.

- Musiał pan pomyśleć, że jestem niewdzięczną jędzą.

- Pomyślałem, że czuje się pani bardzo samotna. Przybiera pani defensywną postawę, bo nie ma nikogo, kto by pani bronił, i podziwiam panią, że tak wspaniale sobie pani radzi. - Mówił cicho, kreśląc palcem kółka na grzbiecie jej dłoni.

Spojrzała w górę, tym razem ich oczy spotkały się.

- Od dawna nikt nie powiedział mi czegoś tak miłego. Zaprzyjaźnimy się, Ashe'u Bedevere?

- Mam nadzieję, że nie. - Roześmiał się. - Kobiety i mężczyźni nie przyjaźnią się, przynajmniej nie na długo.

- Dlaczego nie?

- Na przeszkodzie stoi namiętność.

Ashe, jakiego znała, powrócił. Cóż, dzięki Bogu nie odszedł za daleko.

- Szkoda. Miałam nadzieję, że zostaniemy przyjaciółmi.

- Wcale nie - zaprzeczył. - Przyjaźń jest bezpieczna. To pośredni stan między brakiem świadomości, że jest się atrakcyjnym dla płci przeciwnej, a korzystaniem w pełni z tej atrakcyjności. Gdybym był panią, pragnąłbym czegoś więcej. Dobrze, dobrze, zanim mnie pani zbeszta za to, co powiedziałem... a widzę, że ma pani na to ochotę... chodźmy obejrzeć starą fontannę. Powie mi pani, co o niej myśli.

No i znowu miała do czynienia z przyjaźniejszym, bezpieczniejszym wcieleniem Bedevere'a. Niestety, Genevra musiała przyznać, że miał rację. Bezpieczny, współczujący Ashe mówił o swoich planach i ogrodach, z kolei niebezpieczny Ashe mówił o uczuciach i wygłaszał prawdy, których ona nie chciała uznać.

Fontanna była pełna nieczystości i nie działała. Na dnie basenu zalegały od lat nieusuwane liście.

- Wygląda źle, mam jednak nadzieję, że wystarczy ją porządnie oczyścić. - Schylił się, podniósł z dna misy garść zbutwiałych liści.

- W Seaton Hall mieliśmy podobną sytuację. Fontanna nie działała. Po oczyszczeniu i sprawdzeniu rur uruchomiliśmy ją.

- Będąc chłopcem, bawiłem się w niej. - Nostalgiczny ton Ashe'a zaskoczył Genevrę. Spróbowała wyobrazić sobie tego dorosłego mężczyznę jako małe dziecko.

- Miał pan łódkę? - Musiało mu być ładnie w marynarskim ubranku.

- Nawet statek. Czteromasztowy szkuner. Byłem bardzo z niego dumny. Nieustannie spuszczałem go na wodę. Kiedy było ciepło, moczyłem w wodzie nogi. - Znowu sięgnął po garść liści. - Nie myślałem o tym od wielu lat. Aleks też miał łódkę. Stacaliśmy bitwy morskie. - Głos mu się załamał i nie powiedział nic więcej, ale Genevra potrafiła zgadnąć, o czym myślał. O tych szczęśliwych momentach, kiedy bawili się z bratem w rodzinnym majątku, nieświadomi problemów świata na zewnątrz.

- Co się stało z pana łódką?

- Henry ją połamał.

- Przypadkowo?

- Nie, celowo. Aleks podbił mu za to oko.

Genevra machinalnie zaczęła zbierać zgniłe liście z dna fontanny.

- I dlatego nie lubi pan kuzyna? Bo zniszczył panu łódkę? - Uśmiechnęła się przekornie, ale Ashe odpowiedział śmiertelnie poważnie.

- To nie jedyna rzecz, po której zniechęciłem kuzyna. Było ich wiele. Na szczęście Aleks i ja zawsze dawaliśmy sobie z nim radę.

- Jest pan bardzo podobny do brata - wyszeptała. - On też często wracał do dzieciennych lat. - Wahala się, czy to powiedzieć. Był to nowy temat. Ashe okazał się bardzo uczulony na wzmiankę o ojcu, którą uczyniła w oranżerii. Tym razem jego reakcja była odmienna.

- Mój brat tu był?

Pokiwała głową.

- Nie wiedział pan? Pański ojciec trzymał go w domu po załamaniu nerwowym, kiedy przyjechałam w te strony w czerwcu ubiegłego roku. Dowiedziałam się od ciotek, że fizycznie był kompletnie zdrowy, tylko jego umysł powędrował gdzieś i nie powrócił.

Zauważyła ból w jego oczach.

- Alex ciągle opowiadał historie o was, kiedy byliście mali. - Wbiła wzrok w niewidzialny punkt nad ramieniem Ashe'a, dzięki czemu nie musiała na niego patrzeć.

Skoro nikt mu tego nie powiedział, to ona musi to zrobić.

- Wydaje mi się, że jego umysł tkwi teraz w dzieciństwie, przy panu. Ciągle wspominał, jak raz wspięliście się na jabłonkę i przez cały dzień objadaliście jabłkami, aż rozboleł was brzuch.

Przez twarz Ashe'a przemknął błysk wesołości.

- Kazano nam zbierać jabłka, ale nam się nie chciało, więc postanowiliśmy je zjeść. Wydawało się nam, że chodzi o to, żeby na drzewie nie pozostały żadne owoce. Nie mieliśmy pojęcia, jak to się skończy. Byliśmy potem bardzo chorzy, Gdzie jest teraz Aleks?

- Został umieszczony w zakładzie opiekuńczym niedaleko Bury St. Edmunds. Bardzo przyjemne miejsce, gdzie zajmują się ludźmi w takim stanie jak on. Henry myślał, że tak będzie lepiej. Przykro mi, że pan nie wiedział. - Zauważyła, że był naprawdę zaskoczony.

Ogarnęło ją współczucie. Był arogancki, bezczelnie ją uwodził, ale nie należało spisywać go na straty. Kochał brata.

- Mogę pana zawieźć do niego, jeśli pan zechce - bezwiednie położyła dłoń na jego ramieniu.

Nie odpowiedział, tylko pokiwał głową.

- Czy Aleksa przywieziono na pogrzeb?

- Nie. Proponowałam, że po niego pojedę, ale było tyle innych rzeczy do załatwienia i Henry myślał...

- Nie chcę więcej słuchać, co myślał Henry - wybuchnął Ashe. - Aleks powinien być w domu. Powinien móc pożegnać się z ojcem. W ogóle nie powinien być wywieziony do obcych i trzymany tam, jakby go w ogóle nie było. Tu jest jego dom. Tu byłby bezpieczny.

Spuścił głowę i zamknął oczy. Próbował opanować nerwowy tik, który zniekształcał mu twarz.

- Pani Ralston, proszę wybaczyć. - Nie czekał na odpowiedź, tylko odwrócił się i oddalił szybkim krokiem.

Genevra walczyła z sobą, żeby za nim nie pobiec. Dwa razy udało się jej wejrzeć w jego duszę i zaczynała rozumieć, że Ashe Bedevere nie był taki, jak się na pozór wydawało. Tym gorzej, pomyślała. Odkrycie to czyniło go w jej oczach jeszcze bardziej pociągającym. Hulaka z wrażliwą duszą - prawdziwa rzadkość.

TLR

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Jak do tego doszło? - Zadał sobie to pytanie po raz pierwszy od powrotu. Był na siebie wściekły, miał ochotę coś kopnąć, kogoś uderzyć. W zasięgu wzroku nie dostrzegł jednak niczego, na czym mógłby wyładować frustrację. Mógł jedynie pobiec, co zrobił, gdy tylko zniknął z pola widzenia Genevry. Buty do konnej jazdy nie za bardzo nadawały się do biegania, ale to mu nie przeszkadzało. Wiatr targał włosy, owiewał twarz. Ashe wyrzucał przed siebie rytmicznie nogi w nadziei, że wysiłek fizyczny pomoże mu opanować emocje.

Wszystko, co tak doskonale tłumił w sobie od przyjazdu do Bedevere, mogło wymknąć się spod kontroli. Do diabła, już się wymknęło.

Biegł po prostu przed siebie, nie mając pojęcia, dokąd zmierza. Biegł, by jak najdalej uciec od Genevry i jej szarych oczu, które spostrzegły tak wiele; od żyjących w nieświadomości ciotek, które oczekiwały od niego opieki, od zawiści Henry'ego; od Bedevere wreszcie i odpowiedzialności, jaka wiązała się z posiadłością.

Biegł bez celu, ale nie był zdziwiony, kiedy znalazł się w jedynym miejscu w całym majątku, którego dotychczas nie odwiedził - przy rodzinnym mauzoleum. Oparł się ręką o kamienną ścianę budowli i zgiął w pół, by złapać oddech. Dawno nie biegał tak jak dzisiaj, ostatnim razem chyba gdy był nastolatkiem. On i Alex lubili się tu bawić, a potem ścigali się w stronę domu.

Usiadł na kamiennej ławce i popatrzył na mauzoleum. Była to ładna budowla z kopułą i kolumnami w stylu palladiańskim. Iście królewskie miejsce spoczynku wielu generacji panów na Bedevere. Ashe czuł dumę ze swojego nazwiska. Rodzina nosiła je od niepamiętnych czasów i od niepamiętnych czasów zamieszkiwała w obecnym domu, chociaż z tytułem hrabiowskim związane były inne rezydencje. Tytuł hrabiego Audley pojawił się w rodzinie względnie niedawno, dopiero od czterech generacji. Bedevere'owie byli natomiast tak odwieczni jak Anglia. On i Alex lubili wyobrażać sobie, że ich ród wywodzi się od Sir Bedevere'a, który był jednym z legendarnych Rycerzy Okrągłego Stołu króla Artura. Prawdopodobnie to tylko legenda, ale kto wie? Wspomnienia zaczęły działać kojąco na rozedrgane emocje.

Nie dojrzał jeszcze do tego, by wejść do środka. Schylił się po leżący na ziemi patyk, wyciągnął nóż. Siedział i strugał, podczas gdy jego myśli krążyły swobodnie w przestrzeni. Wszystkiemu winna duma, powiedział do siebie cicho. Prawdziwym dziedzictwem Bed-

evere'ów była nadmierna duma. To ona sprawiła, że jego pradziadek sięgnął po tytuł hrabiowski, i ta sama duma wygnała Ashe'a z domu, gdy miał dwadzieścia lat.

Bez wątpienia również jego ojciec kierował się dumą, kiedy stawiał na jedną kartę przyszłość Bedevere. Nie mogąc pogodzić się z tym, że jego marnotrawny syn nie powrócił na czas, by uratować majątek od ruiny, i nie mogąc przyznać się do porażki w obliczu ekonomicznej klęski, znalazł sposób, by ominąć prawo i zachować majątek w rękach rodziny, chociaż był to sposób niepewny i wielce ryzykowny.

Rozbolała go prawa dłoń, w której trzymał nóż. Ashe otworzył ją i obrócił spodem do góry. Przecinała ją w poprzek cienka, biała linia blizny. Prawie niewidoczna po ośmiu latach, ale wciąż pamiętał okoliczności. Też zawiniła duma.

Wziął kilka głębokich oddechów. Ciało przenikał chłód popołudniowego powietrza. Był w samej koszuli. Otarł dłonie o spodnie i wstał. Czas najwyższy zrobić to, co odkładał od chwili przyjazdu do Bedevere. Wejść do środka i złożyć pośmiertny hołd ojcu.

Stanął przed ścianą, na której wyryto dla potomności informacje o spoczywających w mauzoleum przodkach. Życie każdego z nich sprowadzało się do trzech linijek zawierających imię, tytuł oraz datę urodzin i śmierci. Ashe odszukał najświeższy zapis. Na tablicy z wypolerowanego marmuru znajdowały się daty: 7 lutego 1775 - 25 stycznia 1834. Wzruszony, przesunął palcami po zagłębieniach liter i cyfr. Nie dlatego nie przyszedł tu wcześniej, że był obojętny, ani nawet dlatego że był zbyt zajęty innymi ważnymi dla majątku i dla żywych sprawami. W końcu umarli mogą czekać, nigdzie nie uciekną. Nie przyszedł tu, bo wiedział, że się rozklei. Nie omylił się.

Usiadł na ławie wykutej z marmurowego bloku. Pod powiekami poczuł palące łzy i po raz pierwszy od lat zapłakał. Nad ojcem, którego nie zdążył pożegnać, nad Alekssem, nad zaniedbanym domem i nad tymi wszystkimi sprawami, które mogły się wydarzyć w doskonałym świecie, gdzie ojcowie i synowie znajdują wspólny język.

Kiedy obeschły łzy, był gotowy znowu stawić czoło niedoskonałemu światu, w którym musiał żyć.

Kiedy Ashe wyszedł na zewnątrz, zapadał zmrok. Lubił tę porę, kiedy dzień spotykał się z nocą. Na horyzoncie majaczył jeszcze wąski pas światła, ale na ciemnym niebie już rozbłyskiwały gwiazdy. Spojrzał w górę, wziął głęboki, ożywczy oddech i zastygł w bezruchu. Ktoś był w pobliżu.

Z szybkością wyćwiczoną w ciemnych alejkach wiodących do jaskiń hazardu Ashe wyciągnął nóż z cholewy buta.

- Jest tu ktoś?

- To ja. - Z ławki podniosła się kobieca postać.

- Neva. - Ashe schował nóż. - Przestraszyła mnie pani. Nie spodziewałem się spotkać nikogo.

- Naturalnie. - Zauważyła, gdzie schował nóż. - Przyniosłam panu to. - Podała mu zakiet.

- Długo pan nie wracał, pomyślałam, że pan zmarł.

Ashe włożył zakiet, doceniając troskę.

- Dziękuję. Skąd pani wiedziała, gdzie będę?

- Nie było trudno się domyślić. - Szare oczy znowu widziały więcej, niż Ashe chciałby ujawnić. - Pański ojciec cieszyłby się, gdyby mógł pana zobaczyć.

Szli z powrotem do domu razem. Genevra wzięła go pod ramię, żeby w gęstniejących ciemnościach nie potknąć się na nierównym gruncie.

- Nie jestem tego pewien. Mógłbym przyspieszyć jego śmierć. Myślę, że czasami żywi bardziej potrzebują przebaczenia niż umierający.

- Przebaczenie może przybrać wiele form.

Ashe przystanął. Przyszło mu do głowy, że potrafiłaby zrozumieć, co to znaczy strata i przebaczenie. Konflikt wywołany testamentem ojca niejako ją odczłowieczył. Stała się ucieleśnieniem „pięćdziesięciu jeden procent”, ograniczenia, na które trzeba było znaleźć jakiś sposób lub je wyeliminować.

- Dlatego się tu pani znalazła? Staffordshire jest pani czyśćcem?

Była młodą wdową, kobietą, która przedwcześnie straciła męża, prawdopodobnie w nieoczekiwanych okolicznościach, uniemożliwiających pożegnanie. Przypomniawszy sobie jej wcześniejsze słowa o jego potrzebie pokuty. Czyżby były podyktowane własnymi doświadczeniami?

- Możliwe, że tak - odpowiedziała cicho. - Seaton Hall jest czymś więcej niż miejscem pokuty, będzie miejscem swego rodzaju zbawienia, zbawienia dla innych kobiet. - Zamilkła, a Ashe cierpliwie czekał na ciąg dalszy. - Nikomu jeszcze o tym nie mówiłam, ale planuję przekształcenie Seaton Hall w biznes, a także w dom dla kobiet, które nie mają się gdzie podziać i za co się utrzymać. Po zakończeniu prac renowacyjnych poszukam takich kobiet. Będą oprowadzały zwiedzających, dbały o ogród i częstowały herbatą. Myślę, że to uczciwy sposób zarabiania na życie.

- Jak sprzedawanie wyrobów rękodzieła na lokalnych kiermaszach? - Uśmiechnął się Ashe.

- Tak - potwierdziła z przekonaniem. - Każdy potrzebuje celu w życiu, chce być użytecznym. Nikt nie lubi być traktowany przedmiotowo i nie lubi czuć się bezradny.

Dla Ashe'a było to wymowne oświadczenie. I bez tego nie potrafił sobie wyobrazić, by Genevra tolerowała sytuację, w której byłaby traktowana przedmiotowo.

- Kochała go pani? Swojego męża?

Zamyśliła się. Philip Ralston, piękny niecnota, który wmówił młodej dziewczynie, że jest w niej po uszy zakochany. Genevra rzadko o nim rozmawiała, ale może Ashe zobaczy, czego może się spodziewać. Philip skutecznie zniechęcił ją do małżeństwa. Nie zaryzykuje ponownie.

- Myśle, że na początku, zanim odkryłam, jaki był, kochałam go.

- A jaki był?

- Był mężczyzną, który bardziej niż mnie kochał moje pieniądze, a ja byłam za młoda, by to zrozumieć. - Nawet upływ czasu nie sprawił, że łatwiej uznać tę bolesną prawdę. - Ojciec próbował mnie ostrzec, ale ja nie chciałam słuchać. Historia jak z romansu, prawda? - Zaśmiała się. - Majętna dziewczyna pada ofiarą łowcy posagów. Mało oryginalne.

Było jeszcze coś więcej, naturalnie, ale Genevra nie była gotowa podzielić się z Ashe'em tymi smutnymi detalami. Nie chciała litości. Czas najwyższy zmienić temat rozmowy. Doszła do granicy tego, co chciała ujawnić.

- Przyznam się, że jest jeszcze inny powód, dla którego wyszłam panu na spotkanie. Henry zostaje na kolacji. Pomyślałam, że zechce być pan o tym uprzedzony.

Wystarczyło kilka słów i nagle prysł czar wieczoru.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Mogło być gorzej. Tyle tylko dało się powiedzieć o atmosferze panującej podczas kolacji. Ashe, poza słowem, nie rzucił niczym w Henry'ego i vice versa. Po kolacji Genevra z przyjemnością zaszyła się w jednym z zacisznych saloników z zamiarem spędzenia reszty wieczoru z książką.

Nie planowała zostać w Bedevere na noc, zwłaszcza po incydencie w oranżerii, ale pogoda pokrzyżowała jej szyki. Umiarkowany wiatr nasilił się znacznie z zapadnięciem zmierzchu i uległa pod namowami ciotek. Miała nadzieję, że reszta wieczoru upłynie w spokoju, który był rzadkością w Bedevere od śmierci starego hrabiego i przyjazdu jego syna.

Genevra podwinęła nogi na kanapie i otworzyła książkę, pośmiertne wydanie *Gastona de Blondeville* Ann Radcliffe.

- Tu pani jest, Genni. Wszędzie pani szukałem - odezwał się przyjacielskim głosem Henry.

Genevra zdążyła dojść zaledwie do piątej strony i z trudem powstrzymała westchnienie zniecierpliwienia.

- To pan, Henry? - Oderwała wzrok od książki i uśmiechnęła się, odsuwając na bok niechętnie myśli.

Biedny Henry, nic nie zawinił, pomyślała. Schroniła się w Staffordshire przed okiem mężczyzn i oto stała się dysponentką pięćdziesięcioprocentowego udziału w posiadłości ziemskiej, a dwaj kuzyni krążą wokół niej jak sępy w oczekiwaniu, żeby się zdecydowała, którego z nich woli.

- Nie przeszkadzam?

- Nie, skądże. - Zastanowiła się, co by zrobił, gdyby powiedziała prawdę.

Henry postawił krzesło tuż przy kanapie.

- Od dawna już chciałem z panią porozmawiać, ale nie miałem okazji być z panią sam na sam. - Miał chłopięcy uśmiech, przeczesał dłonią blond włosy. - Pojechałem nawet do miasteczka w dniu targowym, mając nadzieję panią spotkać... Okazało się, że mój kuzyn mnie uprzedził. Czy jest bliższy twojemu sercu, Genni? Popelnilem błąd, zbyt długo zachowując dystans?

Genevra przelekła się, dokąd prowadzi ta rozmowa, ale od kiedy został odczytany testament, wiedziała, że kiedyś do niej musi dojść.

- Pański kuzyn ma ważniejsze sprawy na uwadze niż flirtowanie z sąsiadką - powiedziała żartobliwym tonem. Byłaby to prawda, gdyby nie przeczył temu pocałunek w oranżerii i incydent w miasteczku.

Henry przysunął się bliżej z bardzo poważną miną.

- Muszę panią przed nim ostrzec, Genni. Nie zna go pani tak dobrze jak ja. Wiem, że była z nim pani tamtego dnia w miasteczku. Widziałem, jak pani wychodziła z gospody, a on po pani parę chwil później.

- Ludzie mogą napić się razem herbaty w miejscu publicznym, Henry - odparła niewinnym tonem.

- Z nim może się na tym nie skończyć, Genni. Czy pani wie, co robił całą noc poprzedzającą wasze spotkanie? Grał na pieniądze w bilard.

To tłumaczyłoby zapach dymu tytoniowego i piwa, którym był przesiąknięty, pomyślała. Cóż, nie powinna być zdziwiona, ale potwierdzenie rozczarowało ją.

- Przyjechał na kilka dni do domu, żeby odbyć żałobę po ojcu i zająć się majątkiem, a zamiast tego oddaje się hazardowi. Jest zepsuty do szpiku kości, Genni. - Henry wydawał się naprawdę zgorzony. Może nawet za bardzo.

Genevra pomyślała, że z tą ekspresyjną twarzą nadawałby się do teatru.

- Henry, nie przesadza pan? - zapytała. Nie była do końca przekonana o kompletnym zepsuciu Ashe'a. Pod maską hulaki kilka razy dostrzegła przebłyski szlachetniejszych uczuć. - Myślę, że źle go pan osądza. Nie posiada się ze smutku po stracie ojca.

- Niech się pani nie da zwieść, Genni - zachnął się Henry. - Mógł wrócić wcześniej, a wszystko ułożyłoby się inaczej. Teraz chciałby zdobyć pełną kontrolę nad majątkiem, podczas gdy my dźwigaliśmy cały ciężar podczas jego nieobecności.

Genevrę zaskoczyła zapalczywość Henry'ego. Był zazdrosny.

- A pan, Henry? Czego pan chce? Nie wierzę, by tylko Ashe miał jakiś ukryty plan. Wyglądał pan na zdenerwowanego w dniu odczytania testamentu. Spodziewał się pan więcej?

- Ja chcę pani, Genni. - Spojrzał na nią wymownie. - Nie dbam o majątek. Chcę pani, a jeśli pani wydaje się, że jestem zły, to dlatego, że czuję, iż ma się pani ku Ashe'owi. Wiem, że powinienem odczekać, zanim poproszę o rękę, ale uważam, że nie mogę ryzykować. Jeśli poczekam dłużej, Ashe skradnie mi panią. - Dramatycznie zawiesił głos.

Genevra zaczynała mieć tego dość, tymczasem on kontynuował.

- Już raz skradł mi dziewczynę, musi pani wiedzieć. Była tu pewna dziewczyna, córka szlachcica. Dzisiaj ta rodzina nie mieszka już w tej okolicy. Miałem siedemnaście lat i byłem w niej zakochany. Robiliśmy to, co zazwyczaj robią młodzi, którzy się kochają: chodziliśmy latem do miasteczka, uczestniczyliśmy w spotkaniach towarzyskich. Ashe przyjechał na wakacje z Oksfordu. Był starszy i bogatszy... - Zawiesił na chwilę głos. - Będę nad panią czuwał, Genni, żeby nie została pani jego kolejną ofiarą. Nie dopuszczę, żeby porzucił panią, kiedy się nią nacieszy.

- Nie potrzebuję ochrony, Henry. Sama o siebie zadbam, ale dziękuję panu za troskę. - Wzięła na powrót książkę, sygnalizując, że chce wrócić do lektury - ewidentny znak odprawy.

- Nie proszę, żeby pozwoliła mi pani chronić siebie, Genni. Proszę panią o rękę. To miałem na myśli, mówiąc, że pani pragnę. Bardzo panią polubiłem w tych miesiącach, kiedy razem opiekowaliśmy się hrabią... Żadna kobieta nie może się z panią równać. Mam dwadzieścia siedem lat i czas, żebym pomyślał o przyszłości. Chcę, żeby pani była moją przyszłością.

Była to zgrabna przemowa, zawierająca wszystkie elementy wymagane od uczciwej propozycji - deklarację uczucia, szczerość i aluzję do widoków na przyszłość - jakkolwiek oboje wiedzieli, że jedynym widokiem na jego przyszłość był jej majątek.

- Proszę wybaczyć moje zdziwienie, Henry - zaczęła delikatnie Genevra, poszukując właściwych słów. - Nie zdawałam sobie sprawy z tego, że pana uczucia wykroczyły poza przyjaźń.

- Potrafię panią uszczęśliwić, Genni. Jest pani za młoda, aby przez resztę życia iść samotnie. Przecież nie zamierza pani pozostać wdową na zawsze.

- Pochlebia mi pan, Henry, naprawdę. Ale ja na razie nie myślę o małżeństwie. Muszę przynajmniej dokończyć renowację Seaton Hall - broniła się.

Henry uśmiechnął się dobrotliwie.

- Odnoszę wrażenie, że nie jest pani pewna swych uczuć. - Sięgnął po jej rękę. - Mamy czas. Możemy ogłosić nasze zaręczyny i poczekać, aż będzie pani gotowa. I tak powinniśmy poczekać, bo dopiero co odbył się pogrzeb, więc nie musi pani czuć się ponaglana.

Gdyby Genevra była inną kobietą, której zależałoby na pozycji i bezpieczeństwie, jakie dawało małżeństwo, przyjęłaby propozycję. Był przystojny i niepozobawiony uroku. Pewnie jakaś kobieta chętnie wyszłaby za niego, ale nie ona i wątpliwe, by to się zmieniło.

- Szlachetna propozycja, nie mogę jej jednak przyjąć - powiedziała Genevra.

Przy drzwiach usłyszeli jakiś hałas. Odwrócili się i zobaczyli Ashe'a z zachmurzoną miną. Nic dziwnego. Henry z powagą siedział blisko i na dodatek trzymał ją za rękę.

- Szedłem do biblioteki. - Ashe wbił w nią przenikliwe spojrzenie. - Gardener poinformował mnie, że późnym popołudniem przyszedł ważny list z Londynu.

Czy ona powinna wiedzieć o tym liście? Jego mina świadczyła o tym, że spodziewał się, iż wiedziała. Genevra nie miała siły, by bawić się z nim w kotka i myszkę. Rozmowa z Henrym zmęczyła ją wystarczająco. Wstała i wzięła książkę.

- Pójdę się położyć. Dobranoc panom.

Wychodząc, czuła na sobie gorący wzrok Ashe'a.

Dobrze, że ten wieczór tak się skończył, bo mogło być gorzej.

Mimo wszystko Genevra nie mogła zasnąć. Wiatr wył za oknem, w głowie huczało od myśli. Północ dawno minęła, a ona wciąż nie spała.

Co chciał osiągnąć stary hrabia, pozostawiając jej decydujący wpływ na zarządzanie majątkiem? Genevra chętnie podzieliłaby się pomysłami na zwiększenie produktywności majątku, byłaby również skłonna zaoferować pożyczkę. Stary hrabia z pewnością to wiedział. Mimo to musi uszanować jego wolę i zabiegać o to, by Ashe nie umniejszał jej wpływu na decyzje dotyczące majątku.

Tyle że nie tylko o majątek chodzi. Genevra czuła, że wbrew rozsądkowi coraz bardziej ciągnie ją do Ashe'a. Łatwo było odmówić Henry'emu. Był świetnym kompanem, ale nikim więcej. Nie wzbudzał w niej żadnych gorętszych uczuć. Nie pragnęła jego pocałunków, nie próbowała poznać, co kryło się w jego umyśle. Ale wystarczyło, by Ashe wszedł do pokoju i cała jej uwaga skupiała się na nim, o czym doskonale wiedział i co zademonstrował dzisiejszego wieczoru.

Genevra wiedziała aż nadto dobrze, jak taki stan może przyćmić jej zdolność racjonalnej oceny sytuacji. Ashe był nicponiem, co normalnie powinno ją zniechęcić. Jednak spod maski nicponia wyzierała niekiedy twarz lepszego człowieka, a to czyniło go jeszcze w dwójnasób atrakcyjnym: szlachetny nicpoń.

Czuła się rozerwana. Genevra odrzuciła kołdrę. To już druga bezsenna noc, którą mogła zapisać na konto Ashe'a Bedevere'a. Włożyła szlafrok. Książka Ann Radcliffe nie odegrała swojej roli. Postanowiła poszukać w bibliotece bardziej odpowiadającej jej obecnemu stanowi ducha. Wzięła lichtarz ze świecą i zeszła na dół.

W bibliotece było ciemno. Genevra zapaliła od świecy lampę. W jej świetle ukazały się grzbiety stojących na półkach książek. Wyjmowała jedną po drugiej, ale żadna nie przypadła jej do gustu. Wreszcie trafiła na *Waverly* sir Waltera Scotta. Odwróciła się i zamarła w bezruchu. Nie była sama.

Okrzyk przestraszenia zamarł jej na ustach, gdy rozpoznała postać stojącą w otwartych drzwiach.

- Przestraszył mnie pan, Ashe. Jak długo pan tu stoi?

- Wystarczająco długo, by zauważyć, że nie mogła się pani zdecydować.

I chyba wystarczająco długo, by zauważyć, jak nieprzyzwoicie była ubrana, a raczej nieubrana, na wypadek takiego spotkania, dodał w myślach.

- Nie mogła pani zasnąć? - zapytał, wchodząc do środka.

- Owszem. - Przełknęła z trudem ślinę, zadowolona, że nie zadrzał jej głos.

W świetle lampy wyglądał jak wygłodzony wilk.

Wyjął z jej dłoni książkę.

- *Waverly*? On w końcu żeni się z córką barona. Tchórz. - Ashe odłożył książkę na stolik.

- Czytałam to wcześniej.

- Więc zna pani jego motywację. Wybrał bezpieczeństwo z Różą, a odrzucił gorące uczucie Flory.

Genevra zamierzała bronić rozsądnego wyboru bohatera powieści, ale Ashe uciszył ją, kładąc jej palec na ustach.

- Nie przyszedłem, by dyskutować o literaturze. Oboje wiemy, że nie zeszła pani po północy do biblioteki po książkę. - Prowokował ją, by zaprzeczyła.

- A pana zdaniem, jaki miałam powód? - zapytała wyniosłym tonem.

- Propozycja Henry'ego wytrąciła panią z równowagi - obserwował ją uważnie, by dostrzec wszelkie oznaki żalu bądź radości.

- Niepotrzebnie panu o tym powiedział. - Machinalnie głaskała grzbiet leżącej na stoliku książki. - Nic z tego nie będzie.

- Powiedział, bo chciał mnie odstraszyć. Mówił pani, jakim jestem nikczemnikiem? Budził pani grozę opowieściami o moim zepsuciu? - Zaśmiał się głębokim, zmysłowym głosem.

- Owszem, wspominał, że nie ma pan nieskazitelnej reputacji.

Był blisko i działał na jej zmysły. Czowała jego zapach. Podniecał ją.

- Nie zrewanżuję się, rzucając cień na reputację Henry'ego. Niech sam pokaże, ile jest wart, co na pewno się stanie w stosownym czasie. - Genevra nie miała wątpliwości, że był sceptyczny co do zalet charakteru kuzyna.

- Nie szukam męża ani w osobie Henry'ego, ani nikogo innego. - Uznała, że to pierwsza sprawa, którą należałoby wyjaśnić Ashe'owi.

- W każdym razie nie dzisiaj w nocy. - Roześmiał się. - Co nie znaczy, że nie moglibyśmy zbadać innych interesujących dróg ku wzajemnemu poznaniu. Chyba że jest pani już zaangażowana uczuciowo? Niech się pani przyzna, Nevo. Jesteście sekretnymi kochankami? Wspólnikami?

Ashe nie lubił Henry'ego i wyciągał niczym nieuzasadnione, pochopne wnioski. Prowokował ją, by zaprzeczyła, że nie jest tak, jak sugerował.

- Sama o sobie decyduję. Ani Henry, ani pan nie ma wpływu na mój los - stwierdziła stanowczo, chociaż jej ciało zadawało kłam przynajmniej drugiej części zapewnienia.

Ashe interesował ją i to bynajmniej nie jako wspólnik.

- I jaka jest pani decyzja, Nevo? - Poglądził palcami jej policzek. - Postanowiła pani pozwolić sobie na jedną noc zapomnienia? Niech pani nie przeczy. Za późno. Widzę pożądanie w pani oczach, nie pierwszy raz. Zauważyłem je już wcześniej, w oranżerii. Intryguję panią, a pani intryguje mnie. Chętnie podaruję pani jedną noc, której doprasza się pani ciało.

Genevra zacisnęła usta, wążąc odpowiedź. Skorzystać z zaproszenia czy się oburzyć? W czasie tej krótkiej sprzeczki jej ciało jednak dokonało wyboru. Pragnęła go, a insynuacje Henry'ego na temat reputacji Ashe'a jako kochanka jeszcze rozbudziły jej ciekawość.

Jak by to było przeżyć jedną noc z takim mężczyzną jak Ashe Bedevere, który dawał rozkosz, nie oczekując nic w zamian? Obiecywał chwilę zapomnienia od życia, które tak starannie sklejała w całość, kiedy rozpadło się po śmierci Philipa.

Ashe uniósł jej brodę i pocałował słodko i subtelnie. Genevra bez wahania uległa pieśczości i zapomniała o długo wybieranej książce. Zresztą, pomyślała, na co komu papierowy bohater, jeśli ma się do czynienia z żywym Ashe'em Bedevere'em!

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Przecucie, że przeżyje coś wspaniałego, nie opuściło go tym razem tak szybko jak zazwyczaj. Trwało i był szczęśliwy, że ten cudowny stan się nie kończy.

Obok, przytulona do niego, drzemała Genevra, naga i zaspokojona. Nie podnosząc się, Ashe ściągnął z fotela przykrycie i otulił ją delikatnie.

Zaskoczyła go. Okazała się uosobieniem zmysłowości, odurzającą mieszanką odważnej eksperymentatorki i nieśmiałej obserwatorki. Takiej kombinacji nie mogłyby wymyślić nawet najbardziej wyrafinowane kurtyzany.

Jednocześnie mówiło to wiele o jej mężu, który ewidentnie nie dorósł do swojej roli.

Nie była dziewicą, ale nie należała do kobiet doświadczonych. Ashe założyłby się o ostatniego funta, że nie miała wielu kochanków. Jej wiedza nie dorównywała dobrym chęciom. Gorliwie jednak przyjmowała jego sugestie. Tym bardziej mu schlebiała, że jako pierwszy wprowadził ją w świat rozkoszy cielesnych. Żaden mężczyzna z jej przeszłości nie mógł się z nim równać. Ashe miał mocny atut w rękę w grze o jej ponowne zamążpójście. Dzisiejsza noc nie musi być jedyną.

Związek z bogatą dziedziczką był trudny dla biednego mężczyzny. Takiej nie zaimponuje się świecidełkami. Sama może ich kupić, ile zechce. Jedyne, co mógł jej dać, to rozkosz.

Ashe odrzucił te niegodne myśli. Oczywiście musi ułożyć plan, w jaki sposób ją częściej widywać, ale dlatego że znalazł przy niej rozkosz, która odsunęła na dalszy plan wszelkie kalkulacje i przyćmiła wspomnienia fizycznych doznań w ramionach bezpruderyjnych londyńskich pań.

Przyciągnęła jego uwagę od pierwszej chwili, kiedy ją zobaczył. Teraz, po zaspokojeniu swojej ciekawości, wiedział, że jej pragnie i będzie próbował skłonić ją, by mu się znowu oddała. Co nie powinno być trudne, bowiem ona również tego chciała.

Niestety, kwestia Bedevere pozostawała nadal nierozwiązana.

Zawstydził się. Czy rzeczywiście upadł tak nisko, żeby przez łóżko ciągnąć kobietę do ołtarza i zmuszać do małżeństwa bez miłości? Czy aż tak bardzo się zmienił?

Genevra poruszyła się niespokojnie. Śniła i na szczęście nie mogła wiedzieć, jaki zamęt panuje w jego głowie. Ashe usprawiedliwiał się, że chociaż cel jest dobry. Ale czy cel może uświęcać środki?

- Genevra, nie wybrałyby się pani ze mną dzisiaj rano na objazd majątku? Pogoda okazała się lepsza, niż się na to zanosilo wczoraj wieczorem.

Znieruchomiała, zatrzymując widelec w połowie drogi do ust. Czy tylko tyle ma do powiedzenia mężczyzna po szalenie namiętnej nocy z kobietą?

- Muszę odwiedzić dzierżawców i ustalić, czego potrzebują przed wiosennym sezonem prac polowych - ciągnął Ashe jak gdyby nigdy nic, nakładając sobie na talerz jajka i kielbaski z półmisków ustawionych na kredensie.

Lepiej niż ona udawał, że w ciągu nocy nic się nie zdarzyło, jednak to nie on obudził się rano na kanapie w bibliotece. Kiedy otworzyła oczy, już go nie było. Nie miała pretensji. Dobrze zrobił. Anglicy są przewrażliwieni na punkcie tego, co wypada, a co nie. Ashe nie mógł sobie pozwolić na to, żeby służba zastała go śpiącego przy niej na podłodze. Wtedy w żaden sposób nie mogliby tego wytłumaczyć.

- Genni jest właściwą osobą, Ashtonie - odezwała się Letycja ze swojego miejsca przy stole. - Zna wszystkich. Wprowadzi cię w krąg naszych dzierżawców. Będą szczęśliwi, że życie w Bedevere toczy się stałym rytmem.

- Chętnie pojedę - odpowiedziała Genevra, bo tylko to jej pozostawało, jeżeli nie chciała okazywać niezadowolenia.

Letycja miała rację. Rzeczywiście była najwłaściwszą osobą, bo podczas choroby starego hrabiego kilkakrotnie odwiedzała dzierżawców, jednak nie uśmiechało się jej spędzenie dnia w powoziku obok Ashe'a.

Bała się wspominać ostatnią noc. Nawet teraz nie potrafiła bez zakłopotania patrzeć na niego i nie przypominać sobie, jak nieprzyzwoicie się zachowała pod jego wpływem. Była jednak sama sobie winna. W końcu ciekawość to pierwszy stopień do piekła. Zaspokoila ją i teraz już wie, jak to jest, gdy kobieta zadaje się z Ashe'em Bedevere'em. Pomyślała, że spędzone z nim chwile wryły się w jej świadomość i pozostaną w niej do końca życia.

- A ty co zamierzasz dzisiaj robić? - zagadnęła Henry'ego, kierując uwagę obecnych przy stole w inną stronę.

- Jestem umówiony - odpowiedział ogólnikowo. Ostentacyjnie wyciągnął zegarek i sprawdził, która godzina. - O, już jestem prawie spóźniony. Proszę wybaczyć, muszę iść.

- My także musimy wcześniej zacząć. - Ashe odłożył serwetkę. - Każę zaprzęgać. Wyruszamy za dwadzieścia minut.

Genevra zauważyła porozumiewawcze uśmiechy ciotek, gdy wychodziła, by się przebrać. Cieszyły się, że mają okazję być ze sobą sam na sam. Chyba pomyślały, że propozycja wspólnego objazdu majątku świadczyła o tym, że nareszcie zainteresował się jej osobą. Kochane, byłyby takie zszokowane, gdyby znały prawdę.

- Musimy porozmawiać o ostatniej nocy - odezwał się Ashe ledwie skręcili na drogę. Dwór wciąż jeszcze był widoczny.

- Oboje wiemy, co się stało. - Genevra patrzyła wprost przed siebie, na drogę.

- A zatem co się stało? - zapytał obojętnie.

- Dwoje ludzi zaspokajało wzajemną ciekawość, jak sędzę.

- Czego rezultatem może okazać się dziecko...

- Bardzo wątpię. Zanim mój mąż umarł, pogodziliśmy się z faktem, że będziemy bezdzietni. To wielce nieprawdopodobne.

- Uwielbiam amerykańską bezpośredniość - powiedział z lekką irytacją.

Wpadli w koleinę na drodze, kabriolet przechylił się. Genevra złapała Ashe'a za ramię.

- Nie ma sensu ukrywać prawdy, nie zamierzam dyskutować o czymś, co się nie zdarzy.

- Mimo wszystko, trzeba to wziąć pod uwagę. Bezpłodność nie zawsze jest zawiniona przez kobietę. Oczywiście, mężczyźni nie lubią, gdy się o tym mówi. Gdyby twoja hipoteza okazała się błędna, Nevo, chciałbym się o tym dowiedzieć.

Genevra miała na końcu języka odpowiedź w stylu: „po to, żebyśmy oboje znaleźli się w pułapce małżeństwa, którego żadne z nas nie chce”. Intuicja podpowiedziała jej jednak, że należy ugryźć się w język.

Zastanowiła się, czy tak bardzo pragnął odzyskać kontrolę nad Bedevere, że ryzykował powołanie na świat dziecka, które zmusiłoby ich do ślubu? Czy skazywał się na relację, której nie pragnął? Pewnie dla niego to niewielkie poświęcenie. Ożeniłby się, zostawił ją w Bedevere, a sam wrócił do Londynu do swoich kochanek i rozrywek.

- Wczoraj zapewniałeś, że wspólna noc nie będzie oznaczała niczego poza jednorazową przyjemnością.

- Owszem, tak mówiłem.

Genevrze przyszło do głowy, że było to zapewnienie, którego Ashe Bedevere od początku nie zamierzał dotrzymać.

Nie odpowiedziała, bo podjeżdżali do pierwszej chaty.

Czas gnał do przodu i Ashe wciąż spotykał nowe twarze i nazwiska. Ścisnął dłonie farmerów, poznawał ich żony i dzieci, objeżdżał pola. Robił listę spraw do załatwienia, z każdą minutą coraz bardziej przygnieciony świadomością potrzeb. Dachy do naprawy, płoty do wzniesienia, narzędzia rolnicze do wymiany, Wszyscy byli mili, ale w Ashe'u narastało przekonanie, że w Bedevere od lat brakowało prawdziwego gospodarza. Poczucie winy wróciło. To on powinien być tym gospodarzem.

Teraz musi to naprawić i zapomnieć o poczuciu dumy. Nie zdobędzie na to środków z wygranych w bilard. W całym hrabstwie nie ma dość stołów bilardowych. Potrzebował pieniędzy Genevry.

Na szczęście spotkanie ze sklepikarzami w miasteczku miało lepszy przebieg. Ashe rozstawił przed gospodą prowizoryczny stół z deski na dwóch beczkach i zamówił piwo dla każdego, kto miał chęć usiąść i porozmawiać.

Ciągle wracał jeden temat rozmowy. Interesy były w nie najlepszym stanie, bo farmerzy nie mieli pieniędzy. Poruszono temat dorocznego jarmarku na dzień św. Bertrama. Jedni byli zdania, że będzie on doskonałą okazją do zarobku dla mieszkańców miasteczka, inni zastanawiali się, czy nie odłożyć go na kolejny rok z powodu żałoby po zmarłym hrabim.

Ashe wiedział, że jarmark odbywał się w Audley od niepamiętnych czasów. On i Alex lubili brać w nim udział, kiedy byli dziećmi.

- To ma być w pierwszym tygodniu czerwca? - zapytał, ucinając dyskusję.

- Tak, i to największy jarmark w tej okolicy - odpowiedział właściciel gospody.

Ashe spojrzał ponad głowami zgromadzonych przy prowizorycznym stole na Genevrę, która siedziała otoczona grupką kobiet z czymś dzieckiem na kolanach. Uniosła wzrok, słyszała bowiem dyskusję na temat jarmarku. Ashe zaśmiał się w duchu. Pewnie kalkulowała, ile chusteczek i słoików dżemu zdoła sprzedać. Jej amerykańska żyłka do interesów niezmiernie go śmieszyła.

- Uważam, że jarmark powinien się odbyć w zwyczajowym terminie - powiedział w końcu. - Lato jest czasem odnowy i Bedevere jest gotowe na odnowę - zdecydował.

Nieważne, że jego odpowiedzialność ograniczała się do czterdziestu pięciu procent. Nikt o tym nie wiedział oprócz spadkobierców.

Genevra uśmiechnęła się z aprobatą. Ashe doświadczył miłego i zaskakującego uczucia: był zadowolony, że ją zadowolił. Od dawna nie zdarzyło się, by zależało mu na czyjejś opinii i teraz to się zmieniło. Zdecydowanie nowe, ale przyjemne odczucie.

- Podjąłeś dobrą decyzję - orzekła Genevra, kiedy po zakończeniu objazdu wracali do Bedevere. - Jarmark wiele znaczy dla tutejszych ludzi, a termin jest dobry. Wszyscy zdążą zakończyć wiosenne prace na polach i w ogrodach.

Ashe pokiwał głową, słuchał Genevry jednym uchem. Wydawało mu się, że kabriolet przechyla się na jedną stronę. A może to tylko iluzja po wypiciu piwa, zastanowił się. Śmieszne, przecież wypił raptem cztery kufle. Chyba za długo siedzi na wsi. W Londynie mógł pić całą noc bez żadnych odczuwalnych efektów.

A może to jednak wina drogi? Koleiny były dość głębokie po zimowych opadach śniegu i deszczu.

- Aleks i ja uwielbialiśmy chodzić na jarmark. Braliśmy udział we wszystkich konkursach. Alex znakomicie strzelał. Nie przegrał żadnych zawodów na strzelnicy, od kiedy skończył czternaście lat. Ojciec był z niego bardzo dumny.

- A ty? Też strzelałeś?

- Nie, ja rzucałem nożem. - Po raz pierwszy od powrotu rozmawiał z kimś o przeszłości i o rodzinie. Dopiero teraz uzmysłowił sobie, że w Londynie rzadko o niej wspominał. - Aleks wygrywał na strzelnicy, a ja rzucaniem do celu. Nie byłbym zdziwiony, gdyby na strychu znalazło się pudło zdobytych przez nas trofeów. Nasza matka wszystko skrzętnie przechowywała.

- Matka?

- Owszem, my także mieliśmy matkę - zażartował.

- Nikt o niej nigdy nie wspominał.

- Umarła dawno temu. - Rozmowa zeszła na bolesny temat. O wiele przyjemniej było wspominać jarmark. - Utopiła się, kiedy miałem siedemnaście lat, a Aleks dziewiętnaście. Odwiedzała przyjaciół w Trentham. Pływali po jeziorze.

Po śmierci matki zaczęły się jego nieporozumienia z ojcem. Odgrywała rolę mediatora, a gdy jej zabrakło, już nie potrafili się dogadać. Nawet obecność ciotek nie zapobiegała ich kłótniom.

- Nie chciałam poruszać tego smutnego tematu. - Kabriolet przechylił się tak gwałtownie, że Genevra omal z niego nie wypadła. - Co się dzieje? Musieliśmy wpaść w wyjątkowo głęboką dziurę.

- Zauważylibyśmy ją. Nie wydaje ci się, że przechylamy się coraz bardziej?

Zdążył wypowiedzieć te słowa, gdy coś pękło.

Pierwszą myślą Ashe'a było ratować Genevrę. Ona może ucierpieć najbardziej, bo powozik przewrócił się na jej stronę. Zanim jednak uderzyli w ziemię, zdążył pochwycić ją w ramiona i osłonić własnym ciałem. Dzięki temu, że koń się nie spłoszył, tylko stał przy dyszlu, kabriolet zachował równowagę i nie przygniótł ich.

- Jesteś cała? - zapytał Ashe, podnosząc się.

- Nic mi nie jest - odpowiedziała drżącym głosem.

Zauważył, że miała trudności z poruszaniem się.

- Nie ruszaj się. Ja zajmę się koniem. - Stój spokojnie, kobyłko - przemówił łagodnym głosem do zwierzęcia, przytrzymując je przy pysku za uprząż.

Z tego miejsca miał dokładny obraz sytuacji. Od kabrioletu odpadło tylne koło. Leżało połamane na drodze niedaleko od przechylonego pojazdu. Kabriolet nie nadawał się do dalszej jazdy. Ashe wyprzągnął konia i odprowadził na bok.

- Mamy środek transportu - zawołał do Genevry, starając się zbagatelizować sytuację. Uśmiechnęła się i powoli wstała. - Mogłabyś przytrzymać konia? Obejrzę kabriolet.

Wydawało się, że koło odpadło bez powodu. Ashe chciał zbadać piastę i oś zanim zrobi się ciemno. Pochylił się i natychmiast stwierdził przyczynę wypadku. Koło zostało obłuzowane i po prostu zsunęło się z osi.

- Nevo, kiedy ty lub ciotki ostatnio używałyście tego kabrioletu?

- Jeździliśmy nim latem i jesienią na kiermasze, ale od grudnia stał w wozowni.

- Nigdy nie było z nim żadnych kłopotów?

- Nigdy. A o co chodzi?

- Koło spadło.

Samo w sobie nie było to niczym nadzwyczajnym. Nie powinno jednak wydarzyć się z ekwipażem, który regularnie używano bez żadnych awarii i który stał nieużywany zaledwie przez dwa miesiące. Koła same z siebie nie spadają i Ashe miał podejrzenia, kto mógł maczać w tym palce, i wcale nie był z tego zadowolony.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Po przybyciu do Bedevere Genevra oznajmiła, że ma zamiar wrócić do Seaton Hall.

- Sądzę, że powinnaś zostać - odpowiedział krótko i obrzucił ją wymownym, nieustępliwym spojrzeniem. Przez całą drogę powrotną niewiele mówił. Pytał się jedynie od czasu do czasu, czy się dobrze czuje. - Muszę porozmawiać krótko ze stajennym, a potem chciałbym omówić z tobą pewne sprawy.

Genevrze nie podobał się sposób, w jaki na nią patrzył, ani tym bardziej jego ton.

- A ja sądzę, że powinnam jechać.

Gdyby została, oznaczałoby to kolejną noc w Bedevere w ramionach Ashe'a. Kusząca perspektywa, ale nie to sobie obiecała. Noc z Ashe'em miała się nigdy nie powtórzyć.

- Idź do domu i odśwież się. Ja zaraz przyjdę. Postaraj się nie niepokoić ciotek.

- Nie pozwolę się odprawiać w taki sposób - odparła, rozdrażniona.

- Nie sprzeciwiaj mi się. Jeśli chcesz mnie krytykować, możesz to zrobić za pół godziny w moim gabinecie.

Trudno było z nim wygrać. Genevra głęboko odetchnęła, żeby się opanować. Postanowiła, że tym razem ustąpi, ale poczeka na stosowny moment.

Ashe dotrzymał słowa i po trzydziestu minutach czekał na nią w gabinecie. Siedział za wielkim politurowanym biurkiem i prezentował się jak prawdziwy syn para. Choć miał niewiele czasu, zdążył się przebrać. Patrząc na niego, nikt nie domyśliłby się, że dwie godziny wcześniej zdarzył się im wypadek. Genevra miała nadzieję, że i ona doprowadziła swój wygląd do ładu, chociaż czasu na to miała niewiele. Udało jej się jednak zmienić suknię i poprawić włosy.

- Jesteś zadowolony z rozmowy ze stajennym? - Usiadła w fotelu po drugiej stronie biurka, czując się w znacznej mierze jak suplikant, który przyszedł prosić o resztki z pańskiego stołu.

Nie pozwól się onieśmielić, powiedziała do siebie w myślach. Wielkie biurko i mężczyzna zajmujący miejsce po przeciwnej stronie nie zrobią na niej wrażenia. Na Boga, przecież wciąż jest kobietą niezależną.

Mimo wszystko w obecności Ashe'a czuła się niespokojna.

- Do pewnego stopnia - odrzekł enigmatycznie zimnym i wyniosłym tonem. Rozmowa będzie trudna, wiedziała to. - To nie był przypadek, Genevro.

Och, to brzmi poważnie. Nie nazywa jej Nevą. Zapowiada się awantura, pomyślała.

- Stajenny powiedział, że kabriolet jest w dobrym stanie. Potwierdził to, co mówiłaś, że używałyście go dość regularnie. Ponoć nikt poza nim nie zbliżał się dzisiaj rano do niego. Ma to sens - zaśmiał się szyderczo - bo nie zatrudniamy w stajniach zbyt wielu ludzi.

- To raczej dowodzi, że to był rzeczywiście przypadek, i nie rozumiem, dlaczego przed chwilą twierdziłaś coś przeciwnego.

- Wy, Amerykanie, jesteście niecierpliwi. Pozwól mi dokończyć. To dowodzi, że ktoś majstrował przy kole podczas naszego pobytu w miasteczku. Na dłuższy czas pozostawiliśmy powóz w miejscu postoju. Nikt go nie pilnował, bo wszyscy udali się z nami.

- W porządku. Ale dlaczego ktoś miałby to zrobić? - Genevra sądziła, że Ashe dopatruje się złoczyńców tam, gdzie ich nie ma. Wniosek, który przedstawił, wydał jej się grubo przesadzony.

- To ty odrzuciłaś czyjeś zaloty i masz decydujący głos w sprawach majątku. Ty mi powiedz dlaczego.

- Henry? Myślisz, że zrobił to Henry? - nie dowierzała. - Przecież nie było go przez cały dzień. Wątpię zresztą, by znał się na tyle na mechanice, by to zrobić. Twój kuzyn to mól książkowy. On nie należy do tych, co lubią sobie brudzić ręce.

- On należy do tych, co płacą, by nie brudzić sobie rąk. Nie sądzę, by Henry zrobił to sam, ale jestem przekonany, że on za tym stoi.

- Dopatrujesz się w nim wszystkiego, co najgorsze, bo go nie lubisz.

- Czasami zmysł wzroku nas zawodzi. Zapomnij o złocistych lokach i chłopcym uśmiechu. Pomyśl o faktach. Widziałaś, jaki był zły, kiedy Marsbury odczytywał testament. Jego oczekiwania były znacznie większe. Oczekiwał więcej, oświadczając się tobie. Odmówiłaś mu, tym samym odcinając ostatnią drogę do uzyskania nominalnej kontroli nad posiadłością...

- To czysty wymysł, Ashe - przerwała mu Genevra. - Dlaczego miałby starać się o kontrolę nad majątkiem, który i tak nie będzie jego po śmierci Aleksa? Cokolwiek zyska, będzie tymczasowe. Ty będziesz w końcu hrabią.

- Chyba że umrę pierwszy. W tej chwili Henry potrzebuje Aleksa żywego, bo dopóki Aleks żyje, dopóty on zachowa kontrolę. Nie chciałby, żebym ja odziedziczył tytuł, bo wtedy jego kontrola nad majątkiem, chociaż niewielka, zniknie. Innymi słowy, dopóki ja żyję, Aleks jest bezpieczny.

- Bo wraz z twoją śmiercią Aleks przestaje być użyteczny - szybko wyciągnęła wniosek Genevra.

- Nie, Aleks staje się wtedy zbędny, a nawet więcej, jest jedyną przeszkodą na drodze do tytułu i do pełnej kontroli nad majątkiem.

Ashe wstał ze swojego fotela i otworzył szufladę w jednej z przeszklonych szaf bibliotecznych, ustawionych pod ścianą. Wyciągnął z niej zrolowany pergaminowy dokument, który rozwinął na biurku, przytrzymując oba jego końce przyciskami do papieru.

- Chodź, popatrz, Genevra, to będzie twoja pierwsza lekcja angielskiego prawa spadkowego. Tu jest mój ojciec - wskazał miejsce na drzewie genealogicznym - Richard Thomas. Ma dwie siostry, Lawinię i Mary. Lawinia jest bezdzietna. Mary, matka Henry'ego, wyszła niezbyt fortunnie za mąż, za sąsiada, Stevena Benningtona. Oboje zmarli przed laty, pozostawiając Henry'emu niewielką posiadłość. Oto linia mojego ojca. W niej dziedziczony jest tytuł hrabiowski. Mój ojciec żeni się i ma dwóch synów. Wszystko zapowiada się dobrze. - Ashe zatrzymał się na odnogach opatrzonych imionami jego i Aleksa. - Aleks ma problemy ze zdrowiem psychicznym. Pozostają ja. Henry jest najbliższym męskim krewnym linii hrabiowskiej jako jedyny siostrzeniec mojego ojca. Jak widzisz, wszystko zależy od zachowania ciągłości naszej linii.

- Wcale mnie to nie przekonuje, że Henry jest mordercą. Widzę jedynie, że panuje u was zasada primogenitury.

- Życie człowieka jest zdeterminowane w momencie urodzenia. - Ashe zwinął pergamin i odłożył na bok. - Pozycja człowieka wynika z porządku dziedziczenia. - W stwierdzeniu tym pobrzmiwała nuta rezygnacji. Na moment pewny siebie arystokrata ustąpił zagadkowemu człowiekowi, którego Genevra już kilkakrotnie dopatrzyła się pod powierzchownością światowca.

- W Ameryce wierzymy, że człowiek może być tym, kim chce być. - Uśmiechnęła się łagodnie.

- I mimo to opuściłaś tę ziemię obiecaną... - odparł ironicznie. Znowu stał się nieprzyjemny. Gestem poprosił, by wróciła na swój fotel. - Wydaje mi się, że nie wyciągnęłaś wniosków z tej rozmowy. Pozwól, że wyrażę się wprost. Jestem w niebezpieczeństwie, ponieważ stoję Henry'emu na drodze. Odrzuciłaś jego oświadczenia i w ten sposób zagroziłaś mu jedyną zgodną z prawem drogą do uzyskania kontroli nad majątkiem. Dlatego ty też jesteś w niebez-

pieczeństwie. Jeśli oboje zostaniemy wyeliminowani, Henry odziedziczy wszystko. Czego nie udało mu się osiągnąć poprzez małżeństwo, będzie mógł osiągnąć tylko poprzez morderstwo.

Genevra wzdrygnęła się na te słowa.

- Jestem szczęśliwa, że nie mam tak chorej wyobraźni. Czy wszyscy Anglicy podejrzewają członków swoich rodzin, że planują ich zgładzić? Czy jesteście aż takimi paranoikami?! - Wstała. Miała dość tej dziwnej rozmowy.

Ashe również wstał i ponad biurkiem położył dłoń na jej ramieniu.

- Nie skończyliśmy, Genevro. Usiądź.

- Chcę dotrzeć do domu, zanim się ściemni - zaprotestowała.

Wolną ręką Ashe wyciągnął z szuflady biurka kopertę i przesunął ją w stronę Genevry.

- Może zmienisz zdanie, kiedy to przeczytasz.

Genevra usiadła, patrząc sceptycznie na list. Był to ten sam list, który poprzedniego dnia przyszedł z Londynu. Poczula niepokój.

- Masz szuflady pełne interesujących rzeczy - zauważyła, otwierając list. - Drzewa genealogiczne, listy z Londynu...

- Jesteśmy bardzo skrupulatni - stwierdził oschle.

- Widzę - odparła równie oschle i przebiegła wzrokiem kilka linijek.

Już sam początek nie zapowiadał niczego dobrego. To o niej, bez wątpienia. Kazał zbadać jej przeszłość.

Doczytała do końca z trudną do opanowania wściekłością.

- Nie mam się czego obawiać. Mój mąż nie żyje, a od tamtej pory upłynął kawał czasu.

- Niczego z wyjątkiem poważnego skandalu, który wybuchnie, gdy światło dzienne ujrzaliby pewne fakty. Okoliczności jego śmierci wcale nie są takie jednoznaczne. Nie wiadomo, jak znalazł się pod kołami tej wielkiej platformy z ponad półtonowym koniem pociągowym w zaprzęgu.

To prawda, pomyślała. Ashe miał rację. Wieczorem przyszedł do domu pijany i wściekły, oskarżając ją o kolejne nieudane przedsięwzięcie. Thukł szkło i porcelanę. Złękła się i uciekła do ojca. Kiedy wróciła rano, on był skacowany, nieumyty i w nieświeżym ubraniu. Błagał ją znowu o pieniądze. Wtedy zagroziła mu rozwodem i zawołała dwóch lokajów ojca, by go wyrzucili z domu. Stała na ganku i patrzyła, jak to robią. Nie cackali się. Kiedy próbował się podnieść, przeklinając ją i jej rodzinę, stracił równowagę i zatoczył się w tył na drogę, wprost pod koła najeżdżającego wozu.

Jego rodzina oczywiście twierdziła, że to ona zawiniła i przez nią utracił zdolność do racjonalnej oceny sytuacji.

- Więc znasz już prawdę - powiedziała lodowatym tonem i odłożyła list na biurko. - Chciałeś wiedzieć, co tu robię, więc już wiesz. Jesteś zadowolony?

Reakcja Genevry nie spieszyła Ashe'a. Siedział i ją obserwował.

- Masz rację, tego listu nie masz się co obawiać. Nie ma w nim mowy o żadnej zbrodni, ale o skandalu. Ten skandal jednak może potencjalnie okazać się dla ciebie zgubny, jeśli wyjdzie na jaw.

Genevra zacisnęła pięści.

- Jeśli zamierzasz mnie szantażować, to jesteś gorszym łajdakiem, niż początkowo sądziłam.

- Nie zamierzam. Chcę, żebyś zdała sobie sprawę z tego, że jeśli ja mogłem zdobyć tę informację, Henry też może. Nie spodziewaj się, że nie spróbuje tego wykorzystać.

- Niewinna? - Uniosła brwi. - Może zechcesz mi bliżej to wyjaśnić, bo w twoich intencjach nie dopatruję się niczego niewinnego.

- Daj spokój, Genevro. Nie zamierzałem cię obrazić ani zaszantażować.

- Nie, nie dam spokoju. Kazałeś mnie szpiegować i chcę wiedzieć dlaczego.

- Chciałem wiedzieć, czy zagrażasz Bedevere i czy w jakikolwiek sposób nie zbałamuciłaś mojego ojca, w nadziei na wykrojenie dla siebie kawałka z tego tortu.

Genevra pobladła.

- Myślałeś, że jestem łowczynią majątków! - przykryła usta z przerażenia.

To samo insynuował w oranżerii pierwszego wieczoru. To był najgorszy zarzut, jaki mógł przeciwko niej wytoczyć.

- Nie chciałem cię urazić - zapewnił ją.

- Nic nie rozumiesz, Ashe - odezwała się cicho Genevra, odzyskując spokój. - Właśnie mnie oskarżyłeś o coś, co zrobił mój zmarły mąż.

Poszło źle. Ashe przeczesał włosy dłońmi. Genevra teraz pewnie się pakuje przed wyjazdem do Seaton Hall, nie zważając na toczące się tam prace remontowe i zapachy świeżej farby. Nie winił jej. Jak na mężczyznę biegłego w sztuce uwodzenia, z całą pewnością wszystko ze-psuł.

Chciał jej tylko uzmysłować, jak niebezpieczne bywają sekrety. Gdyby Henry się o tym dowiedział, mógłby ją zmusić szantażem, by za niego wyszła. Skandal mógłby zaszkodzić jej

interesom jako właścicielki linii żeglugowej i z całą pewnością nie pomógłby wejść do londyńskiej socjety, gdyby kiedyś tego zapragnęła.

Tyle że Genevra nie wierzyła w to, co mówił o Henrym. Nie widziała zagrożenia z jego strony i to uważał za największy problem. Oby nie musiała się sparzyć, by uwierzyć.

Na podjeździe przed domem zachręcił żwir. Ashe spojrzął za okno. Podjechał powóz, do którego po chwili wsiadła Genevra i odjechała. Szkoda, pomyślał. Ostatnia noc była nadzwyczajna, daleko donioślejsza niż czysto fizyczne doznania. O niczym innym nie myślał przez cały dzień. Nawet wówczas gdy słuchał dzierżawców i sklepikarzy, w wyobraźni odtwarzał każdą minutę, którą spędził w jej ramionach.

Kobiety z miasteczka uwielbiały ją. Ich sympatia przejawiała się w sposobie, w jaki się do niej garnęły, pokazywały swoje dzieci i zapraszały do swojego kręgu. Przez całe popołudnie nie było chyba chwili, w której Genevra nie miałaby na rękach czyjegoś dziecka. Ile razy na nią popatrzył, otaczał ją wianuszek dzieci.

To przywołało na myśl Ashe'owi kolejną kwestię. Skoro jego ojciec chciał, aby on i Genevra się pobrali, nie mógł wiedzieć, że była przekonana o własnej bezpłodności? Ślub z nią oznaczałby koniec nazwiska Bedevere. Naturalnie, zakładając, że miała rację. Alex przecież nie spłodzi dziedzica.

Zapewnienie kontynuacji rodu zależy więc wyłącznie ode mnie, pomyślał Ashe. Byłaby w tym spora doza ironii, gdyby poświęcił się i dla ocalenia Bedevere ożenił się z Genevrą i nie miał komu pozostawić ocalonego majątku.

Teraz jednak należało skupić się na teraźniejszości.

Poślubienie Genevry szybko stało się jedynym możliwym rozwiązaniem nie tylko dla dobra Bedevere, lecz także dla dobra niej samej, nawet jeśli nie chciała tego dostrzec. Ashe miał nadzieję, że ta lekcja nie okaże się bolesna. Ślub ochroniłby ją przed Henrym. Przestałaby być dla niego przeszkodą do zdobycia kontroli nad Bedevere, bowiem decydujący głos w sprawach majątku przeszedłby na niego. Tak czy inaczej, musi chronić Aleksa, ciotki i Genevrę, bez względu na to, czy sobie tej ochrony życzą, czy nie.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Wyznaczony czas na oświadczyzny minął. Genevra dała Henry'emu kosza, lecz jak się zdawało, Marcus Trent przyjął niepomyślną wiadomość raczej dobrze. Henry wiercił się w głębokim skórzanym fotelu przy biurku Trenta i starał się nie okazywać przedwcześnie ulgi. Na szczęście byli sami.

Marcus oparł się łokciami na czereśniowym biurku.

- Zatem czas sięgnąć po mniej delikatne środki. Wszystko gotowe. Potrzebujemy jedynie zgody właścicieli majątku na rozpoczęcie wydobywania. Skoro nie dostaliśmy jej poprzez małżeństwo, uzyskamy ją innymi sposobami.

Henry doskonale wiedział, że te „inne sposoby” to mająca niebawem się rozpocząć seria nieszczęśliwych wypadków. Szajka Trenta pokonywała w przeszłości przeszkody właśnie dzięki pewnym nieoczekiwanym zbiegom okoliczności.

Henry dostrzegł szansę zaimponowania Trentowi swoją zdolnością perspektywicznego myślenia.

- Mój kuzyn naraził się paru osobom w Audley. Ograł wszystkich w bilard. Rozmawiałem z jednym z nich... A dzisiaj rano doszły mnie słuchy o jakimś wypadku.

Trent zareagował raczej niezgodnie z oczekiwaniem Henry'ego.

- Nie przyszło panu do głowy, Bennington, że tym samym przedwcześnie ujawnił pan swoje zamiary? Prawdę powiedziawszy - wzniosł w górę krzaczaste czarne brwi - to wyraz skrajnej głupoty na tym etapie rozgrywki.

- Sam pan mówi, że czas zacząć pogrywać mniej delikatnie - wybełkotał Henry, ale Trent uciszył go spojrzeniem. Każdy wiedział, że Marcus Trent nie znosił sprzeciwu.

- Przemoc nie jest jedyną formą przymusu. Podczas gdy pan bezskutecznie usiłował zabezpieczyć udział w naszym przedsięwzięciu tej swojej dziedziczki, ja prowadziłem małe dochodzenie. Pani Ralston niewiele mnie obchodziła, zanim zmarł pański wuj, lecz zainteresowałem się nią, kiedy okoliczności zmieniły się. Zasada numer jeden, panie Bennington: przede wszystkim należy poznać przeciwnika. Jego słabości i mocne strony. Słabością pani Ralston, jak większości ludzi, jest jej przeszłość. Zadawał pan sobie kiedy pytanie, dlaczego bogata Amerykanka przyjechała do Staffordshire i ukryła się na wsi, skoro miała dość pieniędzy, by pojechać, dokąd zechce?

Nie, Henry nigdy się nad tym nie zastanawiał. Genevra uchodziła za wdowę, która pragnęła rozpocząć nowe życie z dala od Ameryki. Aż do ubiegłego tygodnia Henry przypuszczał, że nowe życie oznaczało nowego męża. Wyglądało jednak na to, że Genevra nie miała chęci na ponowne zamążpójście. Dopiero to wydało się jemu dziwne. Czyż nie wszystkie kobiety chcą wyjść za mąż? Nawet bogate? Milczenie Henry'ego stanowiło bardzo wymowną odpowiedź.

- Widzę, że nie - ciągnął Trent. - Na szczęście dla nas wszystkich, mnie przyszło to do głowy. Moi londyńscy informatorzy donieśli mi, że jej pierwsze małżeństwo okazało się fatalne i zakończyło śmiercią męża. Stała na schodach domu i patrzyła, jak lokaje rzucają tego gagatka prosto pod koła nadjeżdżającego ciężkiego powozu. Zginął na miejscu. Jestem pewny, że nie wyglądało to dokładnie tak, ale mimo wszystko, gdyby te oszczerstwa ujawnić, jej reputacja byłaby zrujnowana. - Podał Henry'emu brązową kopertę. - Wszystko szczegółowo tu opisano. Coś mi się zdaje, że pani Ralston będzie skłonna uznać małżeństwo za łatwiejsze do przełknięcia, gdyż przyda się jej stała ochrona przed takimi plotkami. Nie jest panu obojętna, prawda, Bennington? Przypominam sobie, że pan twierdził, że jesteście zaprzyjaźnieni.

- Nie, rzeczywiście nie jest mi obojętna - potwierdził.

Duma nie pozwalała mu przyznać się, że jest inaczej.

- To dobrze. Może w świetle nowych okoliczności będzie panu przychylniejsza. Nie czekałbym jednak długo, panie Bennington. Ponoć widziano pana kuzyna razem z nią w miasteczku. - Trent oparł się w fotelu i zaczął przyglądać swoim paznokciom. Po chwili kontynuował: - To pańska szansa na rewanż, panie Bennington. Skradnie mu pan kobietę i rodzinny majątek za jednym razem. Czekał pan na to całe życie, a ja na srebrnej tacy daję panu możliwości.

Henry podziękował skinieniem głowy i wstał, by wyjść. Trent rzeczywiście wyświadczał mu nieocenioną przysługę, ale nie za darmo. Zależało mu na udziale w zyskach z kopalni i nie mógł się oprzeć podejrzeniu, że Trent ma bardziej dalekosiężne plany. Odsunął na bok te dociekania, uznając je w tej chwili za jałowe. Czy to w ogóle ma znaczenie? Niech robi, co chce, pomyślał, o ile on dostanie to, czego pragnie.

Powiadają, że złe wieści przychodzą parami i dopiero co otrzymany list zdawał się to potwierdzać. Genevrze trzęsły się ręce ze zdenerwowania, gdy kończyła czytać poranną korespondencję. Henry prosił o pozwolenie na złożenia jej wizyty dzisiaj po południu.

Jego zachowanie zaskakiwało Genevrę. Zastanawiała się, skąd w nim tyle nagłej determinacji. Ostatnio dość nachalnie naciskał na przekształcenie przyjaźni w coś więcej i komplet-

nie nie zważał na jej grzeczne odmowy. Od śmierci hrabiego był zupełnie innym człowiekiem i niepokoiła się, co tym razem zaplanował.

Drugi list przyszedł od Ashe'a, zaledwie kilka godzin po jej powrocie. Napisano go na sztywnym, kremowym papierze z herbem hrabiowskim. Treść również była bardzo oficjalna.

„Pan Ashton Bedevere prosi panią Genevrę Ralston o spotkanie jutro po południu o dogodnej dla niej godzinie w celu omówienia korzystnej dla obu stron propozycji”.

Gdyby notka tej treści przyszła od kogoś innego albo w innych okolicznościach, nie martwiłaby się. Byłoby w pełni zrozumiałe, że nadawca prosi jedynie o rozmowę o sprawach związanych z majątkiem. Normalnemu człowiekowi tydzień zazwyczaj wystarczy, by odnaleźć się w nowej sytuacji. Genevra jednak nie próbowała nawet oszukiwać się, że Ashe jest „normalnym człowiekiem”, a to oznaczało, że nie miała pojęcia, czego spodziewać się po tej prośbie.

Genevra spojrzała na zegar. Dochodziła jedenasta. Miała dwie godziny, więc dla zabicia czasu postanowiła się odświeżyć i przebrać.

Wybrała ciemnoniebieską wizytową suknię wykończoną białą koronką. Pokojówka upięła włosy w wyszukany kok, który nadał jej wygląd, jakiego pożądała: kobiety godnej szacunku, statecznej i pewnej siebie. Zdążyła włożyć jeszcze kolczyki z perłami, gdy zaanonsowano przyjście Henry'ego. Wygładziła spódnice i wzięła głęboki oddech. Czas zacząć grę.

Henry czekał w salonie, wyglądał schludnie, ubrany w zamszowe spodnie i żakiet z niebieskiej wełny. Blond włosy starannie wyszczotkował. Przyniósł kwiaty, rzadkość jak na koniec zimy.

Genevra przyjęła kwiaty i z niepokojem oczekiwała na ciąg dalszy.

- Piękne kwiaty, drogi Henry. Każę je wstawić do wazonu i postawić tutaj. Będą ślicznie wyglądały w tym pokoju. Gdzie zdobył pan żonkile o tej porze roku?

- Przyjaciel ma szklarnię - wyjaśnił gładko. - Pani dom zaczyna wyglądać wspaniale, Genni. Czy pozostałe pokoje też są już gotowe?

- Gotowe są moja sypialnia i kuchnia. Na dole remont ma się zakończyć w ciągu miesiąca. - Usiadła i wygładziła spódnice. Miała wrażenie, że rozmowa się nie kleiła.

Henry najwyraźniej doszedł do tego samego wniosku, bo chrząknął nerwowo.

- Dziękuję, że zgodziła się pani mnie przyjąć. Usiądziemy? - spojrział nerwowo w stronę foteli.

Wydawał się zdenerwowany. Pomyślała, że do perfekcji udawał niepewnego siebie zalotnika. Odkrycie to uderzyło Genevrę. Ciekawe, jakie inne role odgrywał w trakcie trwania ich znajomości? Przyjaciela? Kochającego siostrzeńca czuwającego przy łożu chorego wuja?

Zdziwiła się, że nie zauważyła tego wcześniej. Henry był doskonałym aktorem i odkrycie to ukuło ją jak zdrada. Jeśli to prawda, to znaczy, że z rozmysłem oszukiwał nie tylko ją, lecz także ciotki. Jedynym, który nie dał się nabrać, był Ashe. Genevra zatrwożyła się. Czy oznaczało to, że Bedevere miał rację, posądzając Henry'ego o jak najgorsze zamiary?

- Genni, to jest trudniejsze, niż myślałem - zaczął Bennigton, potęgując niepokój Genevry. - Wiem, że odrzuciła pani moją początkową propozycję małżeństwa, ale mam nadzieję, że ją pani przemyśli w świetle nowych informacji, które mogą zmienić pani ocenę sytuacji. - Powiedział to po przyjacielsku, ale ton jego głosu zdradzał prawdziwe intencje. Zaczynała dostrzegać pewne oznaki w jego zachowaniu, które zauważała i wcześniej, ale wtedy nie wydawały się jej podejrzane.

- W świetle jakich nowych informacji, Henry? - Z trudem nie okazywała niepokojów. Przypomniała sobie słowa Ashe'a: „Jeśli ja odkryłem twój sekret, dlaczego nie zrobi tego samego Henry”?

Bennigton opuścił wzrok, jakby nie mógł się zdecydować, od czego zacząć. Mówił powoli, ostrożnie dobierając słowa.

- Doszły do mnie pewne niepokojące plotki dotyczące śmierci pani męża. Rzekłbym nawet żenujące.

Genevra z zakłopotaniem przyglądała się swoim dłoniom.

- Jego życie było żenujące, nic dziwnego, że śmierć również. - Henry będzie musiał wysunąć konkretne oskarżenia, jeśli chce ją nastraszyć.

Czy się odważy?

- Ale plotki dotyczą pani... - A jednak się odważył, pomyślała. - Jestem pewny, że nie chciałaby pani paść ofiarą tego rodzaju pomówień, nawet jeśli są bezpodstawne. Korzystne małżeństwo uchroniłoby panią przed takimi obrzydliwymi insynuacjami. Nikt nie zadrze z Bedevere'ami.

A więc wiedział. Musiał się wykazać sporą, jak na niego, inicjatywą. Nie spodziewała się tego.

- Czy próbuje pan szantażem skłonić mnie do małżeństwa?

- Genni! Jak może pani tak myśleć! - Jego zaskoczenie wydawało się autentyczne, a może było to tylko zakłopotanie wynikające z tego, że nazwała rzecz po imieniu.

- A zatem? - naciskała. - Nie owijajmy w bawełnę. Grzecznie panu odmówiłam, więc sięga pan po brutalniejsze metody nacisku.

Henry wstał z twarzą wykrzywioną grymasem wściekłości.

- Przyszedłem złożyć pani honorową propozycję, a pani traktuje mnie jak psa. - Uderzył trzymanymi w dłoni rękawiczkami o udo. - Mój kuzyn zdążył już zatruć pani umysł niepochlebną opinią na mój temat? Ostrzegalem, że tak będzie, ale pani była głucha na moją przestrożę... A może czeka pani na oświadczyzny Ashe'a, samego wielkiego pana Bedevere. I prawdopodobnie się pani doczeka. On nie cofnie się przed niczym, aby wydrzeć nam cały majątek. Nie dbał ani trochę o posiadłości, dopóki nie odkrył, że ja mam do nich pewne prawa. Ożeni się z panią dla Bedevere, dla pieniędzy, nie z miłości. Nigdy też nie będzie pani wierny. On już zawsze będzie uganiał się za kobietami. Nie sądzę, by była pani skłonna to tolerować, a jednak kiedy ja proponuję pani uczciwe małżeństwo, spotykają mnie drwiny.

Genevra również wstała. Nie da się zastraszyć tak łatwo.

- Proszę natychmiast wyjść - powiedziała spokojnie.

Henry potrafił zmieniać się jak kameleon i ta jego zdolność przeistaczania się z jednej postaci w drugą niepokoiła ją. Taki Henry był jej obcy i takiemu nie dowierzała. Przyszedł jako zalotnik, ale szybko przeistoczył się w zwykłego zawistnika.

Wtedy Henry niespodziewanie wyciągnął rękę i pogłaskał ją po policzku.

- Jest pani ostatnią deską ratunku dla Ashe'a. Jakby darem niebios. On się chce z panią ożenić dla pani pieniędzy, tylko po to, żeby ratować Bedevere. Po ślubie zostawi panią. Ja chcę jedynie panią od tego uchronić.

Genevra odtrąciła jego rękę.

- Proszę natychmiast wyjść - powtórzyła.

- Nie wypędzi mnie pani. - Objął ją w pasie i nie zważając na opór, przyciągnął do siebie. - Może gdyby pani wiedziała, co straci, zmieniłaby zdanie na temat małżeństwa. Potrafię panią zadowolić, Ashe nie jest jedynym utalentowanym kochankiem na tym świecie.

Genevra zaczęła go okładać pięściami po piersi, ale nie puścił jej. Nie wiedziała, że był taki silny.

- Zostaw panią w spokoju, Henry. Jej intencje są jasne, twoje zresztą też - rozległ się cichy, lecz groźnie brzmiący głos.

Ashe.

Henry puścił Genevrę tak gwałtownie, że niemal opadła na kanapę, i warknął:

- Nie wtrącaj się w nie swoje sprawy.

- Kobieta w opałach zawsze jest moją sprawą. Już to kiedyś przerabialiśmy. Pamiętasz? -

Ashe wszedł do pokoju. - W porządku, Nevo? - zwrócił się do Genevry, nie spuszczać wzroku z Henry'ego.

- Tak. - Z niepokojem patrzyła, jak mężczyźni groźnie mierzą się wzrokiem.

Wydawało się, że jej salon był dla nich za mały.

- Pamiętasz tę dziewczynę z sąsiedztwa, prawda, Henry? - zapytał drwiącym tonem.

Ni stąd, ni zowąd w dłoni Henry'ego pojawił się nóż. Genevra stłumiła krzyk, ale Ashe był czujny. Tym samym płynnym ruchem, jaki zauważyła pod mauzoleum, wyciągnął swój nóż z cholewy buta i Bennington zastygł w bezruchu.

- Zastanów się, kuzynie. Nie boję się walki. Ostatnim razem, o ile pamiętam, wygrałem.

Dobry Boże! Czy naprawdę zamierzają walczyć o nią na noże w jej świeżo wyremontowanym salonie? Jak ich powstrzymać? - zastanowiła się. Nie znalazłszy sposobu, wycofała się za kanapę.

Henry rozejrzał się skonsternowany.

- Takie zachowanie jest niegodne dżentelmena. - Uderzył w górne tony. Stchórzył.

Genevra odetchnęła z odrobiną ulgi. Pomyślała, że jeśli Ashe ma odrobinę rozsądku, pozwoli Henry'emu wycofać się z twarzą.

Bedevere schował nóż i posłał kuzynowi spojrzenie, które wyгнаło go z pokoju bez pożegnania.

Wtedy Genevra zauważyła, jak Ashe był ubrany. Białe spodnie, wyglansowane do połysku wysokie czarne buty, płaszcz z błyszczącymi guzikami, a pod nim błękitny, szamerowany złotem żakiet. W śnieżnobiałym krawacie pyszniła się rubinowa szpilka. Jego wygląd zapierał dech.

Ashe zauważył, że mu się przyglądała, i powiedział z uśmiechem:

- Jak cię widzą, tak cię piszą, mówi przysłowie.

Aha, zastanowiła się, w ten sposób chce nadać ton ich spotkaniu. Oficjalna prośba, oficjalny ubiór. Niepokojące. Ciekawe, co chce osiągnąć?

- Pragnę cię przeprosić, Nevo. - Skłonił się lekko. - Piękna kobieta często wyzwala w mężczyznach to, co najgorsze.

- Tak jak pieniądze - odpowiedziała, odzyskując zimną krew. - Nie jestem taka naiwna, by uwierzyć, że obaj z Henrym walczyliście o mnie. - Zależało im tylko na pieniądzach, bo wiem ten, kto by ją poślubił, zyskałby kontrolę nad całym spadkiem.

Jej deklaracja nie poruszyła Ashe'a. Usiadł w fotelu i wbił w nią spojrzenie swoich zielonych oczu.

- Doskonale. Rozumiesz zatem, dlaczego jest absolutnie konieczne, abyśmy jak najszybciej się pobrali... Ku obopólnej korzyści.

TLR

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

- Czy teraz wierzysz w to, co mówiłem o Henrym? - zapytał Ashe, gdy Genevra nieco ochłonęła. - Próbuje szantażem zaprowadzić cię do ołtarza.

- Obaj macie taki zamiar - odrzekła chłodno.

- Wypraszam sobie. W niczym nie przypominam mojego kuzyna. - Na twarzy Ashe'a pojawił się nerwowy tik. - Ja uczciwie stawiam sprawę. On przyszedł z zapewnieniem miłości i obietnicą dozgonnego szczęścia. I jedno, i drugie jest podszyte fałszem. Zakochany mężczyzna nie molestuje kobiety, tak jak on ciebie dzisiaj. Ja niczego przed tobą nie ukrywam, Nevo. Nie zwodzę cię: proponuję obopólnie korzystny układ. Kiedy prawnie uzyskam kontrolę nad Bedevere, Henry nie będzie miał powodu, by cię nachodzić. Będziesz bezpieczna. A do tego w przyszłości zostaniesz hrabiną.

Tak przedstawiona propozycja brzmiała rzeczywiście kusząco dopóty, dopóki nie pomyślało się, co Ashe zyskiwał w zamian: pieniądze i kontrolę nad posiadłością oraz nad nią. Godząc się na małżeństwo, traciłaby niezależność w zamian za względne bezpieczeństwo.

- Prosisz mnie, abym wyrzekła się swobody - zauważyła.

- Zagwarantuję ci bezpieczeństwo - skontrował.

Był szalony, jeżeli myślał, że poświęci swoją wolność dla mężczyzny, którego poznała nie dalej jak tydzień temu. Oczywiście, przeżyli chwile największej bliskości, ale to niczego nie zmieniło.

- Prawie cię nie znam - odpowiedziała wymijająco.

Uśmiechnął się ironicznie, patrząc na nią spod na wpół przymkniętych powiek.

- Znasz mnie na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że małżeństwo nie będzie dla ciebie szczególnie uciążliwym obowiązkiem.

Genevra zarumieniała się, bo było to odniesienie do wspólnej nocy, która przecież miała nie mieć znaczenia.

- Pomyśl, Nevo. W jaki sposób samodzielnie przeciwstawisz się Henry'emu? Nawet jeśli uda ci się nie paść ofiarą jego obrzydliwych pomówień, wróci do ciebie i niewykluczone, że następnym razem ucieknie się do przemocy. Właściwie nie ma żadnych wątpliwości. Już dzisiaj próbował. Henry jest dość przewidywalny.

- To nie powód, żeby pozwolić się złapać w pułapkę małżeństwa.

- W naszym przypadku nie ma mowy o pułapce. Dokładnie wiemy, co robimy i co dzięki temu osiągniemy.

Na wszystko miał gotową odpowiedź, pomyślała, był śliski jak węgorz. Wszystko przedstawiał dość logicznie i przekonująco. Nie była jednak pewna, czy naprawdę tak bardzo potrzebowała ochrony przed Henrym, by ryzykować utratę wolności. Powoli zaczynała się przekonywać. Przecież stawką jest nie tylko jej osobiste bezpieczeństwo, lecz przyszłość oddanego pod jej pieczę majątku. Co będzie najlepszym rozwiązaniem? Sojusz z Ashe'em czy pozostanie jego przeciwnikiem?

- Wydaje mi się, że obaj z Henrym jesteście w błędzie. Myślicie, że mam tylko dwie opcje: on lub ty. Jest jednak trzecia możliwość. Mogę scedować moje udziały na ciebie, pozostawić Seaton Hall w stanie nieukończonym i osiąść gdzieś indziej. Mogę umyć ręce od tego bałaganu, który pozostawił twój ojciec.

Uznał to za groźbę bez pokrycia. Nawet Genevra w chwili, gdy to mówiła, wiedziała, że tego nie zrobi, bo musiałaby zrezygnować ze swojego marzenia o pomocy samotnym kobietom, odwróciłyby się od starych ciotek i złamałyby słowo dane umierającemu hrabiemu. Sprzeniewierzyłyby się wszystkiemu, w co wierzyła.

- Myślę, że niepotrzebnie się zadręczasz, Nevo. Nie byłabyś ze mną, gdybyś mi nie ufała.
- Sięgnął po jej dłoń i złożył pocałunek na jej grzbiecie, a potem przyłożył usta do wnętrza.

Genevra poczuła, że traci zdolność chłodnej oceny sytuacji.

W jej uszach dzwięczały ostrzeżenia Henry'ego, że Ashe jest jak kocur, który nigdy nie będzie wierny i najwyżej ceni swoją niezależność. Przecież i teraz nic nie wspomniał o dochowaniu wierności. Obiecał jedynie rozkosz i bezpieczeństwo.

Genevra wstała i zaczęła przechadzać się po pokoju, żeby zyskać panowanie nad sobą. Henry próbował dzisiaj siłą wymóc na niej uległość i być może krył się również za wypadkiem powozu. Nadpiłowane szprychy koła to nie przypadek. Naprawdę znaleźli się w niebezpieczeństwie. Jak długo zdoła się opierać awansom Benningtona, jeżeli pozostanie w Audley i nie skorzysta z propozycji Ashe'a?

- Nie jest to propozycja małżeńska, o jakiej marzą młode dziewczęta - powiedziała.

- Czy mam rozumieć, że się zgadzasz?

Stwierdziła, że nie ma innego wyjścia. Jeśli zamierzała pozostać w Audley i zbierać owoce swojej pracy, potrzebowała wsparcia. Ashe był gotowy udzielić jej dzisiaj pomocy bez

czczych deklaracji miłości. Miało to pewien walor. W imię spełnienia własnych marzeń oraz mając na względzie obietnicę złożoną umierającemu hrabiemu, Genevra odpowiedziała:

- Tak. Możesz to tak rozumieć.

- Czuję się zaszczycony - odpowiedział Ashe oficjalnym tonem, stosownym do okoliczności.

Odetchnął z ulgą, ale wiedział, że Henry nie będzie stanowił zagrożenia dla niej i dla Bedevere dopiero po ślubie. Nie spodziewał się, że tak rozzłości go scena, której był świadkiem po przyjeździe do Seaton Hall.

Ashe zachowałby się podobnie bez względu na to, kogo Henry próbował molestować. Swoje awanse kierował tylko pod adresem przychylnych mu kobiet. Bennington nie znał takiego ograniczenia. Złość, która dzisiaj go opanowała, była jednak innej natury, głębsza, bardziej zaborcza i sam zdziwił się jej gwałtownością. W końcu zaatakowano jego przyszłą żonę.

- Nevo, jest jeszcze jedna rzecz, o którą cię zapytam. Chciałbym cię prosić, byś towarzyszyła mi do Bedevere, byśmy mogli oznajmić dobrą nowinę ciotkom. One od razu zaczną planować uroczystość ślubną i będzie najlepiej, jeśli ty nimi pokierujesz.

- One nie znają treści testamentu, prawda? Pomyślą, że to małżeństwo z miłości.

Kiedy niepewność znikła, Ashe przejawiał ochotę do żartów.

- Na oba pytania odpowiedź brzmi: tak. Co więcej, myślę, że na ich użytek moglibyśmy całkiem przekonująco poudawać, nie uważasz... kochanie?

Jej rumieniec ucieszył go. Chociaż stać ją było na cięte i trafne riposty, wciąż potrafił ją zawstydzić i Ashe musiał przyznać, że coraz bardziej mu się to podoba. Nie uważał jej za kobietę wyjątkowo obytą w towarzystwie, za jaką często chciała uchodzić, ale nie była pozbawiona swoistego poczucia humoru.

- A kiedy powinien odbyć się nasz ślub, Ashe? Będziemy odgrywać romantycznych kochanków, którym spieszno do ołtarza, czy poczekamy do zakończenia żałoby?

- Myślę, że zważywszy na okoliczności, pośpiech jest wskazany. Nawet król zrozumiałby konieczność zapewnienia sukcesji. Dziecko w kołysce Bedevere'ów wymaże wiele grzechów.

- Uprzedzałam cię, że szanse na dziecko są nikłe... - zaczęła Genevra, ale Ashe przerwał jej, energicznie kręcąc głową.

- Nie wiemy tego na pewno, więc nie ma sensu o tym mówić. To w niczym nam nie pomoże. Pobierzemy się w ciągu tygodnia, jak przypuszczam. Muszę tylko się postarać o specjal-

ne zezwolenie. Chciałbym też sprowadzić na ślub brata. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, jutro rano pojedziemy po Aleksa.

- Chcesz, żebym z tobą pojechała? - Genevra była zaskoczona prośbą Ashe'a.

- Cztery godziny spędzone razem w powozie pozwolą nam lepiej się poznać - odpowiedział z beztrąską, której wcale nie czuł.

Pomyślał, że wreszcie znajdą czas, żeby porozmawiać, ale w głębi duszy bał się spotkania z bratem. Nigdy do końca nie rozumiał, co przydarzyło się Aleksowi. Wiadomość o jego chorobie tak go przeraziła, że nie zadawał pytań. Byłoby dobrze mieć przy sobie Genevrę, gdyby sytuacja okazała się gorsza, niż sobie wyobrażał. Spędziła z Alekssem trochę czasu, znali się i być może będzie potrafiła być mu pociechą.

Wyruszyli o ósmej rano. Wzięli karetkę podróżną zaprzężoną w jedyne cztery konie pozostałe w Bedevere. Bury St. Edmunds było za daleko, by ryzykować podróż lżejszym powozem, niestosownym na gorszą pogodę, która mogła w każdej chwili nadejść, chociaż w momencie wyjazdu niebo było błękitne.

Podróż miała potrwać dwa dni, jeśli nic nieprzewidzianego się nie wydarzy. Genevra wyliczyła, że przyjadą na miejsce około pierwszej po południu, może nawet wcześniej i Ashe będzie mógł od razu zobaczyć się z Alekssem. Przenocują w gospodzie i rano wrócą do domu z nim albo bez niego. Czas ich nieubłaganie gonił, bowiem Ashe nie chciał opuszczać Bedevere na dłużej, niż to było konieczne.

Genevra próbowała zająć się w podróży czytaniem, jednak w jego obecności z trudem mogła skupić uwagę. Co jakiś czas rzucała mu ukradkowe spojrzenia, tak że za którymś razem ją przyłapał.

- Dlaczego tak mi się przyglądasz, udając, że jesteś zajęta czytaniem? - zaczepił ją z tym swoim aroganckim uśmieszkiem na ustach.

- Nie przyglądam się. Zastanawiam się tylko nad tym, co przeczytałam. To bardzo inspirujące.

- Kiedy ty rozmyślałaś nad zawłościami... cóż to takiego? - Ashe przechylił się w jej stronę i obejrzał okładkę broszury - ...aha, „Zasady zakładania zielonych labiryntów” pióra Haymana... ja patrzyłem na ciebie. I, szczerze mówiąc, to jest o wiele bardziej inspirujące. Traktaty na temat ogrodnictwa nigdy mnie nie pociągały. - Jego ton nie pozostawiał wątpliwości, co miał na myśli.

Taki był Ashe Bedevere, którego przyjdzie jej poznać; Ashe Bedevere, z którym będzie miała do czynienia w czasie trwania ich małżeństwa z rozsądku. Zaczęła się, zastanawiać, czy Ashe, wspominający chłopięce lata i wyczyny na jarmarcznej strzelnicy, jest jedynie wytworem jej bujnej wyobraźni.

- Zawsze będziesz wszystko sprowadzał do flirtu?

- Obawiam się, że tak, jeśli chodzi o ciebie. Chcesz wiedzieć, o czym myślałem, kiedy na ciebie patrzyłem? - Pytanie należało do retorycznych, Genevra nie kwapiła się, by odpowiedzieć. - Bawiłem się twoimi włosami. Zastanawiałem się, ile szpilek musiałbym wyciągnąć, by opadły na twoje ramiona.

Temperatura w karecie wzrastała niebezpiecznie. Niepokojąco działał na jej zmysły. Jego głos, dotyk i bliskość domagały się jej uwagi i to mąciło jej spokój. W głębi duszy chciała trwać w takim stanie napięcia. Chciała słyszeć jego śmiałe, dwuznaczne żarty. Życie z Ashe'em było... podniecające.

Złękła się. Szukała w Anglii spokoju. Nie zamierzała się w nikim zakochiwać, tym bardziej w tak znanym uwodzicielu jak Bedevere, bo to byłoby najgorsze, co mogłoby się jej przydarzyć.

- Czego się boisz, Nevo? - doszedł ją uwodzicielski szept. - Wkrótce mamy się pobrać.

- Boję się ciebie. Umiesz zawrócić w głowie dziewczynie i to jest przerażające. Pobieramy się z rozsądku, a nie miłości. Nieraz złamałeś serce kobiety.

- Przecież rozmawialiśmy tylko o ogrodach. - W jego zielonych oczach błysnęła przekora. Stanowczo za dobrze się bawił.

- Człowiek po raz pierwszy zgrzeszył w ogrodzie.

- Tak, ale na tym świecie mężczyzna jest jedynym stworzeniem, które upada, a niektórzy z nas upadają boleśniej niż inni.

Znowu ją zaskoczył. Akurat, gdy oceniła go jako niepoprawnego uwodziciela, odsłonił kawałek swojej duszy i spowodował chaos w jej ugruntowanych przekonaniach. Genevra ze wzmożoną uwagą powróciła do swojej książki o ogrodnictwie. Jeśli nie zachowa rozwagi, zakocha się w nim.

Małżeństwo może ją uchronić przed natarczywością Henry'ego, ale co uchroni ją przed Ashe'em?

Do Bury St. Edmunds przyjechali godzinę wcześniej, niż planowali. Wynajęli pokoje w gospodzie Pod Lisem, tuż przy wjeździe do miasta i w pobliżu miejsca, gdzie przebywał Aleks.

Wnętrze gospody sprawiało miłe wrażenie, z dębowym belkowaniem pod sufitem i boazeriami w przyciężkim siedemnastowiecznym stylu. Brak luksusów rekompensowała panująca w gospodarstwie czystość. Ashe wybrał dwa pokoje na piętrze i miejsce w stajni dla koni. Wynajął miejsce dla koni i wypożyczył niewielki jednokonny kabriolet, którym mieli pojechać do Aleksa.

- W ciągu ostatniej minuty trzykrotnie patrzyłeś na zegarek. To nie przyspieszy podstawienia kabrioletu - zwróciła mu uwagę Genevra.

Tak, denerwował się i potrafił to przyznać przed samym sobą. Nie miał pojęcia, w jakim stanie zobaczy brata ani też gdzie Henry go umieścił. W domu dla umysłowo chorych? Ashe spodziewał się, że wizyta wszystko wyjaśni. Nie mógł sobie wyobrazić, że brat żyje w stanie kompletnej nieświadomości.

Kabriolet zajechał na podwórze i mogli wreszcie wyruszyć do oddalonego zaledwie kilka mil od miasteczka miejsca pobytu Aleksa. Ashe'owi częściowo spadł kamień z serca. Dom okazał się starą posiadłością z dobrze utrzymanym dziedzińcem. Stan budynku nie budził zastrzeżeń.

Weszli do środka. Ashe wręczył odźwiernemu swoją wizytówkę, po czym zostali zaprowadzeni przez przełożoną pielęgniarek ubraną w czysty popielaty mundurek do dawnej biblioteki przekształconej w biuro. Nie czekali długo.

Drzwi otworzyły się i wszedł brodaty mężczyzna w prostym, ciemnym żakiecie.

- Jestem doktor Lawrence, panie Bedevere. Co za miła niespodzianka, że pan przyjechał. Lord Audley nie ma wielu gości.

- Muszę przeprosić za niezapowiedzianą wizytę - powiedział Ashe. - Niedawno wróciłem do domu i nie chciałem zwlekać z odwiedzeniem brata.

- W szpitalu otaczają Aleksa nie tylko opieką, ale także należnym mu szacunkiem. Czy jednak był tego świadomy i czy to coś dla niego znaczyło, to inna sprawa.

- Czy on rozumie, że nasz ojciec nie żyje? - zapytał.

- Czasami, ale nie zawsze - odpowiedział lekarz. - Czego pan sobie życzy?

- Chcę go zobaczyć i dowiedzieć się, w jakim jest stanie. Nigdy nie zostało mi to wyjaśnione. Chciałbym również omówić możliwość wyjazdu Aleksa do domu. - Słyszac ostatnie zdanie, lekarz znieruchomiał, ale szybko ukrył tę reakcję pod protekcyjnym uśmiechem.

- Pańskie uczucia są chwalebne, panie Bedevere, myślę jednak, że gdy pozna pan naturę jego kondycji, dojdzie pan do przekonania, że lepiej go pozostawić tutaj, gdzie jest pod facho-

wą opieką. Mamy tu wielu pensjonariuszy cierpiących na podobne... zaburzenia. Również z tak zacnych rodzin jak pańska. Mogę pana zapewnić, że pański brat jest w dobrych rękach.

Ashe przyglądał się rozmówcy. Doktor Lawrence był człowiekiem dobrodusznym i otwartym, jednak wzmianka o zabraniu Aleksa do domu wyraźnie mu się nie spodobała. Ashe dostrzegł to w jego oczach, ale w tej chwili nie zamierzał o tym dyskutować. Przedwczesne konfliktowanie doktora Lawrence'a nie pomogłoby w niczym.

- Proszę mi opowiedzieć o moim bracie.

- Lord Audley jest u nas od listopada. Szkoda, że nie zajęliśmy się nim tuż po jego nerwowym załamaniu. Moglibyśmy więcej dla niego zrobić. Jednakże, jak pan wie, upłynęły trzy lata i jest mała nadzieja na wyzdrowienie. Przeciwnie, stało się oczywiste, że grozi mu nawrót choroby.

- Cóż to jest załamanie nerwowe? Co je wywołało? - Ashe był ciekaw przyczyn.

- Załamania nerwowe są wywoływane stresującymi wydarzeniami w życiu danej osoby. Z informacji udzielonych przez pana Benningtona wynika, że proces chorobowy został wywołany aferą Forsythe'a i być może pogorszeniem sytuacji finansowej rodziny w ogólności. Nie potrafiąc sprostać odpowiedzialności, lord Audley zareagował po prostu ucieczką. Był przynębiony, nie reagował na pytania, przestał jeść. Utracił również orientację w czasie.

- Pan Bennington - zniżył głos doktor Lawrence - podzielił się ze mną informacją, że którejś nocy zastał lorda Audley z pistoletem w dłoni. Jego intencje były zupełnie jasne. Muszę być z panem szczery, panie Bedevere. Pańska rodzina opiekowała się nim najlepiej, jak potrafiła tuż po załamaniu. Kiedy jesienią pański ojciec zachorował, stan brata zaczął się pogarszać. Miał przebłyski świadomości, czasem wiedział, kim jest i co się z nim dzieje, ale to było przyczyną jego lęków. Wychodził na długie spacery i nie wiedział, jak długo był poza domem. Kilkakrotnie się zgubił. Pan Bennington i cztery starzejące się ciotki nie mogli dźwigać podwójnej odpowiedzialności. Umieszczono tutaj pańskiego brata, ponieważ zaczął być niebezpieczny dla samego siebie.

- Chciałbym go zobaczyć.

- Proszę za mną. Musi pan zrozumieć, że on żyje teraz wyłącznie przeszłością.

Ashe poprosił Genevrę, by poczekała w foyer. Chciał porozmawiać z Alekssem bez świadków. Doktor Lawrence zaprowadził go do pokoju na piętrze.

- Pański brat ma dostęp do wszystkich pomieszczeń w budynku i do całego ogrodu, zawsze jednak towarzyszy mu opiekun, nigdzie nie chodzi sam. - Zatrzymali się w wejściu do dużego, widnego pokoju na końcu korytarza. - Zostawię pana na kilka minut.

Ashe otworzył drzwi i wszedł do środka. Ściany były pomalowane na biało, bez żadnego kolorowego akcentu poza żółtymi kwiatami w wazonie na małym stoliku. Jego uwagę jednak natychmiast przyciągnęła wychudzona, wysoka postać stojąca do niego tyłem w wielkim wykuszowym oknie wychodzącym na ogród.

Aleks wyglądał tak, jak Ashe go zapamiętał. Kiedy dorastali, zawsze był szczuplejszy. Nie miał sylwetki żołnierza, chociaż nie był słabeuszem. Był za to myślicielem i wrażliwym człowiekiem. Odwrócił się i zauważył go. Ashe wstrzymał oddech. Pomyślał, że wygląda tak zwyczajnie i zdrowo. Nie był jednak pewny, czego się spodziewał. Czy człowiek szalony powinien wyglądać jakoś szczególnie? Jakoś inaczej? Wydawało mu się, że tak. Tymczasem starszy brat był ubrany w niebieską kamizelkę we wzorek i spodnie, wyglansowane buty i śnieżnobiałą koszulę. Nie wyglądał na bardziej szalonego niż każdy inny człowiek. Ewidentnie nie spodziewał się odwiedzin.

- Bracie.

Aleks uniósł brązowe brwi. Poznał go.

- Wiedziałem, że przyjedziesz.

W jednej chwili pokonał dzielącą ich odległość i otoczył Ashe'a ramionami.

- Bogu dzięki. W końcu przyjechałeś - dodał po chwili cichym, ale pewnym głosem. - Musisz mnie stąd wydostać.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

- Wydostań mnie stąd.

Ashe wiedział, że chorzy umysłowo zawsze tak mówią, a Aleks od dziecka miał skłonność do ulegania stanom lękowym. Doktor Lawrence uprzedzał o tym. Jednak kiedy doktor wrócił po niego, Ashe nie podzielił się z nim tym, co usłyszał od brata. Powiedział jedynie, że jest zadowolony z wizyty i że wróci nazajutrz. Oprócz lęku, Aleks nie objawiał żadnych wyraźnych oznak choroby psychicznej.

Nie podzielił się również tą informacją z Genevrą podczas kolacji w gospodzie Pod Lisem.

- Nie poruszaliśmy żadnych drażliwych tematów, poza śmiercią ojca.

Nalał jej kolejny kieliszek wyśmienitego czerwonego wina. Mieli jadalnię tylko dla siebie, a kolacja okazała się doskonała: gulasz z dziczyzny i świeżo upieczony chleb. Na drugie danie czekała na kredensie zapiekanka z mięsem.

- Przypuszczam, że jest zdolny przyjąć do wiadomości pewne mało istotne rzeczy bez nadmiernego podenerwowania - ciągnął Ashe. Być może przemawiała przez niego nadmierna nadzieja. Nie ma lekarstw na tego rodzaju choroby. Ashe nie oszukiwał się.

- Cieszę się, że jesteś zadowolony z wizyty.

Twarz Genevry, obramowana migotliwym światłem świec, wyglądała anielsko.

Genevra. Jego anioł, pomyślał. Albo diabeł.

Zdobył ją, na dobre i na złe, z myślą o Bedevere, o ciotkach i o Aleksie. Dla nich potrzebował pieniędzy. Dla nich ją uwiódł, mimo że obawiał się, że zapłaci za to swoją dumą i duszą. Mówił o ochronie, ale kiedy zagrożenie ze strony Henry'ego zniknie, jedynym, co ich połączy, będzie rozkosz, którą wzajemnie sobie podarują w sypialni. Od tej pory będzie musiał żyć ze świadomością swoich wątpliwych moralnie postępów.

- Jutro jeszcze raz go odwiedzę. - Wstał po zapiekankę i dał służbie wyraźne instrukcje, żeby pozostawiono ich samych w czasie kolacji. - Poradzisz sobie sama przez kilka godzin?

- Oczywiście. Pochodzę po rynku, zobaczę, czy nie znajdzie się kupiec gotowy wziąć do sprzedaży niektóre z rzeczy wytworzonych przez twoje ciotki. - Wyjęła z rąk Ashe'a talerz z potrawą i nóż. - Pozwól, że ja to zrobię, bo ty ją zaraz zniszczysz! - Roześmiała się.

Nalozyla mu kawalek zapiekanki. Ashe'a uderzylo, ze zachowywali sie jak stare zgodne malzenstwo.

Dawniej nie zwracał uwagi na takie chwile. Sytuacja, w której obsługiwał go ktoś nienależący do służby, była dla niego zupełnie nowa. Czy tak właśnie zachowuje się dwoje zakochanych ludzi? A przecież to nie dotyczy jego i Genevry. Oni muszą, a nie chcą się pobrać.

Poczuł ukłucie żalu, że tak nie jest. Gdyby zauważył ją na sali balowej w Londynie, gdyby mógł ożenić się, z kim chce, byłby może oczarowany jej urodą, gracją i inteligencją na tyle, że zakochałby się w niej i wszystko potoczyłoby się dalej, jak należy.

Takie przemyślenia były dla niego czymś zupełnie nowym, być może obudziła się w nim przedtem nieuświadomiana tęsknota za miłością w małżeństwie, na przekór od dawna akceptowanej rzeczywistości. Drugi syn w rodzinie, zwłaszcza drugi syn, musi się ożenić dla pieniędzy.

- Wydajesz się taki nieobecny... Myślisz o Aleksie? - zagadnęła, wstając, by odstawić brudne talerze na kredens.

- Nie. - Nie ma sensu mówić jej, że chciałby, żeby było między nimi inaczej. - Dziękuję ci, że ze mną przyjechałaś. Aleks wydawał się dzisiaj kompletnie zdrowy. Rozmyślałem się co do planów na jutro. On chyba chciałby cię poznać. Razem poinformujemy go o naszym ślubie. - Uśmiechnął się po łobuzersku. - Oznacza to nici z twojej wyprawy na rynek i próby sprzedania wyrobów rękodzielniczych ciotek.

- O, widzę, że zaczynasz godzić się z tym pomysłem. - Uśmiechnęła się lekko.

- Zaczynam tolerować. Skoro nie ma sposobu, żeby cię od tego odwieść, postanowiłem się z tym oswoić. - To była miła chwila, napawająca nadzieją, że ich pożycie małżeńskie pełne będzie zrozumienia i że połączy ich w końcu coś więcej niż tylko interesy.

- Robi się późno. Pójdę się położyć.

- Odprowadzę cię na górę. - Ashe wstał.

Zauważył jej zakłopotanie. Widział, że miała ochotę protestować. Gdyby poszła sama, nie musiałaby mu odmawiać. Zanim on zdecydowałby się pójść do swojego pokoju, ona w swoim spałaby już smacznie, za drzwiami zamkniętymi na klucz. Nie mógł dzisiaj jednak na to przystać, ani jako uwodziciel, ani jako przyszły mąż.

Uwodziciel nie traci takich okazji. Znajdowali się w gospodzie sami, nie licząc pokojówki Genevry i stangreta. Kto się dowie, czy Ashe spędził noc w pokoju Genevry? Zresztą kto by o to dbał, skoro mieli się pobrać? Przyszły mąż dostrzegł za to kolejną okazję, by jej udowodnić, że można mu zaufać. Chociaż nie pobierają się z miłości, Ashe był przekonany, że będzie dobrym mężem i w niczym nie będzie przypominać jej Philipa.

- Dziękuję. Poradzę sobie. Posiedź i napij się brandy - zaproponowała wspaniałomyślnie. Miał na końcu języka „wolę być z tobą”, ale dzisiejszy wieczór nie nastrajał do gładkich słówek.

- Samotność nie jest najlepszym pomysłem na spędzenie dzisiejszego wieczoru, Nevo - powiedział spokojnie.

Ostatnie dwa dni dla obojga były pełne napięć. Ona najpierw odkryła dwulicowość Henry'ego, potem musiała pogodzić się z ograniczeniem wolności, jakie narzuciła jej rzeczywistość. Ashe spotkał się z bratem i przypieczętował oświadczeniami decyzję o zawarciu związku małżeńskiego. Oba te wydarzenia były wyczerpujące emocjonalnie. Nadszedł czas, by poszukać ukojenia.

- Dobrze, możesz mnie odprowadzić. - Jej głos był spokojny, co oznaczało, że zrozumiała.

Ashe trzymał dłoń na jej plecach, gdy szli schodami na górę. Zatrzymali się pod drzwiami pokoju. Nie mogła trafić kluczem do zamka.

- Pozwól. - Otworzył.

Wnętrze pokoju oświetlał migocący ogień na kominku.

- Masz wszystko, czego ci potrzeba?

- Chyba tak. - Uniosła ku niemu błyszczące, szare oczy.

Dało się łatwo wyczytać w nich, co myślała. Na nią też podziałała atmosfera bliskości podczas kolacji i długo trwającej podróży kareta.

Pragnęła go. Ashe rozumiał jej wahanie w jadalni na dole. Pragnęła go nie dlatego, że flirtował i ją uwodził. Nie chciała zaspokoić ciekawości jak wtedy w bibliotece w Bedevere. Pragnęła go bez powodu i to była dla niego kojąca wiadomość. Genevra natomiast bała się, że on wykorzysta jej uczucia.

Tymczasem rozumiał je aż nadto dobrze. Nie tak bardzo się różnili. Dzisiaj nie myślał o umowie i spadku, pragnął jej jak mężczyzna pragnie pięknej kobiety. Pochylił głowę i złożył na jej ustach powolny, namiętny pocałunek.

- Nevo, zaprosisz mnie - zapytał, szepcząc.

Postanowił, że dzisiaj w nocy okaże ciałem to, czego nie może powiedzieć słowami. Czuł, jak ona drży, zastanawia się i podejmuje decyzję.

- Dobrze - odpowiedziała także szeptem.

Teraz nie było już odwrotu i prawdopodobnie nigdy go nie było. Oszukiwała się przez cały czas, że ta jedna noc w bibliotece nigdy się nie powtórzy. Genevra wchodziła do pokoju, czując Ashe'a za sobą. Zamknął drzwi. Wiedziała, że dzisiaj będą kochankami. Nie miała wątpliwości, o co prosił. Nie przyszedł, by sprawdzić, czy nie ma szcurków. Chciał spędzić z nią noc i ona nie umiała udawać, że o tym nie myślała przez cały dzień.

To się może okazać najodważniejszym krokiem, na jaki kiedykolwiek się zdobyła. Tym razem nie będą się śpieszyć, jak w bibliotece. Tamtej nocy nie zeszła na dół z myślą, że spotka Ashe'a i da mu się uwieść. Dzisiaj natomiast robiła to z premedytacją, nie mając nic na swoje usprawiedliwienie.

Odwróciła się twarzą ku niemu i dotknęła ręką włosów. Powolnym ruchem wyjęła jedną szpilkę, potem drugą, włosy opadły na ramiona.

- Teraz już wiesz... Wystarczy wyjąć dwie szpilki.

Ashe wydał cichy pomruk zachwytu. Jego oczy płonęły jak rozżarzone węgle.

- Zostaw mi resztę. Sam chcę cię rozebrać. Uwielbiam cię.

- Bawisz się w pokojówkę? - Zaśmiała się.

- O, nie... Żadna pokojówka nigdy nie rozebrała cię tak, jak ja to zrobię.

Z zastanawiającą wprawą rozpiął drobne guziczki sukni na plecach, po czym ściągnął z ramion rękawy. Genevra dostała gęziej skórki. Przyłożył usta do obnażonych ramion, rękami ciasno oplótł talię, muskając delikatnie krawędź piersi.

Jęknęła. Tak bardzo pragnęła jego dotyku. Całował jej szyję i zębami delikatnie podgryzał ucho. Wreszcie przesunął wyżej dłonie i położył na jej piersiach. Pieścił je poprzez cienki materiał koszuli, aż poczuł, jak stają się ciężkie w jego dłoniach. Dopiero wtedy zdjął z niej spodnią suknię. Genevra poruszyła biodrami, by mu pomóc. Materiał bezszelestnie ześlizgnął się z jej ciała. Wreszcie była naga i wolna. Odwróciła się, pozostając w jego ramionach. Ich usta złączyły się w gwałtownym, pełnym pasji pocałunku.

Teraz nadeszła jej kolej. Pociągnęła końce krawata, rozwiązując wyszukany węzeł. Zsunęła z ramion żakiet i mocując się w pośpiechu z guzikami, także kamizelkę.

- Myślałam, że jedynie kobiety mają na sobie tyle warstw ubrania - zażartowała.

Nie wyobrażała sobie, że będzie się tak niecierpliwić, bo też nie wyobrażała sobie, że tak bardzo będzie go pragnęła. Już dotychczasowe pieszczoty sprawiły, że była gotowa.

Kiedy wyciągnęła z jego spodni poły koszuli, reszty dokonał sam.

- Spójrz na mnie, Nevo.

Popatrzyła. Wyglądał imponująco w blasku ognia na kominku. Na wypukłościach doskonale zarysowanych mięśni igrało światło, pozostawiając w cieniu wklęsnięcia. Genevra zmierzyła go spojrzeniem, zatrzymując się na spodniach, których obcisły krój uwidocznił w sposób niebudzący wątpliwości, jak bardzo jest podniecony. Zauważył jej spojrzenie.

Zsunął buty i zdjął spodnie, ukazując się w całej okazałości, świadomy, jak ten widok roznieca w niej pożądanie. Była nim owładnięta bez reszty i Ashe o tym wiedział.

Zbliżył się do Genevry, nagi i bezwstydnym. Nie udawali, nie byli fałszywie skromni. Za nią stało łóżko, którego krawędź czuła pod kolanami. Położył ją, a sam usiadł na niej okrakiem, przyglądając się uważnie. Wyglądał jak Indianin w aureoli czarnych włosów okalającej twarz oświetloną blaskiem ognia.

- Jesteś piękna, Nevo - usłyszała jego ochrypły szept i zdumiała się, że zapragnął jej mężczyzna, który mógł mieć każdą kobietę.

Była w tej chwili kusicielką, jak Ewa albo też mityczna rozpustna Lilith.

Odnalazł ustami jej pierś. Genevra przyciągnęła go ku sobie, ciałem prosząc o więcej. Jej dłonie gorączkowo błądziły po jego plecach i zatrzymały się na pośladkach. Wreszcie osiągnęła to, czego tak bardzo pragnęła.

Ułożył się pomiędzy jej udami i delikatnym ruchem w nią wszedł. Przyjęła go z radosnym okrzykiem. Szybko narzucił rytm, w który z radością się włączyła, unosząc biodra, by mu ułatwić zadanie.

Brał ją gwałtownie, żywiołowo, przyjmowała go z równą i niehamowaną namiętnością. Byli jak w szalonym transie, dopóki ich szaleństwo nie poniosło ich na skraj przepaści, w którą rzucili się bez zastanowienia, by osiągnąć szczyt rozkoszy.

Ashe leżał obok tak samo wyczerpany jak ona. Oddychał nierówno, jego skóra świeciła od potu. Genevra oparła mu głowę na ramieniu. Ich oddechy z wolna uspokajały się. Westchnęła głęboko i bez słowa zasnęła.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Ashe nie lubił poranków. Zazwyczaj oznaczały niemiły powrót do rzeczywistości. I tym razem nie czuł się inaczej. Przeciągnął się i czekał, żeby wraz z dziennym światłem nawiedziły go wyrzuty sumienia, ale tak się nie stało. Rozum nie chłostał go za to że wczorajszego wieczoru pozwolił sobie dać się ponieść uczuciu. Genevra wciąż spała smacznie obok niego, bez wątplenia zmęczona dniem wczorajszym, W nocy brał ją jeszcze dwukrotnie, a ostatni raz niemal przed świtem.

Powinien czuć się winny, ale był równie zadowolony, jak po nocy w bibliotece. Ponadto poczuł też, że dojrzał do pewnej decyzji.

Szybko wyskoczył z łóżka. Aleks czekał na niego i liczył na to, że on wróci. Ashe pośpiesznie dopełnił toalety i ubrał się, zanim obudził Genevrę. Postanowił, że zbiegnie na dół, żeby kazać przygotować karecię, a potem pozwoli jej odświeżyć się w samotności.

Usiadł na skraju łóżka. Odgarnął z jej czoła włosy. Śpiącą też uznał za urzekająco piękną.

- Nevo, musimy wstawać.

Jęknęła cicho. Zawahał się, czyby nie pozwolić jej pospać dłużej, ale zdecydował inaczej. Chciał, żeby pojechała z nim. Gdyby doktor Lawrence próbował siłą zatrzymać Aleksa, Ashe nie miałby czasu na postój w gospodzie, by zabrać Genevrę.

Przeciągnęła się i przewróciła na plecy, odsłaniając swe ponętne piersi. Gdyby nie obietnica złożona bratu, Ashe wślizgnąłby się z powrotem do łóżka. Sprawa Aleksa wymagała jednak rozstrzygnięcia, i to jak najszybciej. Ucałował więc tylko Genevrę w czoło i zszedł na dół, zanim ulegnie pokusie i zapomni, w jakim celu przybyli do tej gospody.

Aleks był już ubrany i jadł śniadanie, kiedy Ashe i Genevra zjawili się w lecznicy. Doktor Lawrence okazał niezadowolenie na ich widok i z wielką niechęcią przystał na rozmowę na osobności po śniadaniu. Aleks za to bardzo się ucieszył z kolejnego spotkania. Ashe i Genevra przysunęli sobie krzesła do stołu i we trójkę dokończyli śniadanie składające się z rogalików i herbaty.

- Mam ci coś do powiedzenia - oznajmiła Aleksowi Genevra, gdy już zaspokoili głód.

Popatrzył z zainteresowaniem, ale również z lekkim niepokojem.

- Mam nadzieję, że nie przywozicie złych wiadomości. Ciotki dobrze się czują, prawda?

Ashe z zadowoleniem słuchał brata. Pamiętał o ciotkach i okazywał troskę. Zawsze był wyczulony na potrzeby najbliższych. To wspaniała cecha głowy rodziny i hrabiego.

- Nie, nic złego. - Genevra dotknęła uspokajająco dłoń Aleksa. - Ciotki czują się dobrze. Właściwie to dobra wiadomość. Ashe i ja pobieramy się wkrótce i chcielibyśmy, żebyś był na naszym ślubie.

- Zabieracie mnie do domu! - Radość, z jaką to powiedział, wzruszyła Ashe'a.

Przyjechał do brata najwcześniej, jak mógł, bowiem miał wiele rzeczy do załatwienia zaraz po powrocie do Bedevere. Testament, sprawdzanie stanu finansów, uporządkowanie rachunków, zaręczyny z Genevrą. Teraz żałował, że nie stało się to wcześniej.

Podszedł do okna, żeby Aleks i Genevra nie zauważyli, jak bardzo się wzruszył. Tymczasem oni gawędzili o ciotkach, drobnych domowych sprawach i o ogrodach. Kiedy opanował wzruszenie, powrócił do stołu.

- Gratulacje, bracie! - Oczy Aleksa błyszczały autentycznym uczuciem. - Nareszcie znalazła się kobieta, przy której się usatkuje. - Puścił oko do Genevry. - Czy przyznał ci się do swoich podbojów we Włoszech i do tego, jak rzucił na kolana Wiedeń swoją grą na fortepianie? Koncertował nawet w Pałacu Schönbrunn.

- Niestety, nie pochwalił się przede mną tym, co robił we Włoszech. - Genevra pokręciła głową z udawaną powagą. - Za to zagrał dla mnie w Seaton Hall. Naprawdę pięknie...

- Mówicie o mnie jak o nieobecny, a ja siedzę tu obok was - wtrącił Ashe.

Wiedział, że miał dobre intencje, ale nie chciał, by opowiedział o nim zbyt wiele. Przeszłość była zamkniętą kartą i nie wszystko przedstawiało się tak różowo, jak to odmalowywał Aleks.

- Porozmawiajcie sobie beze mnie - powiedziała z uśmiechem Genevra i odeszła w stronę okna.

- Aleks, czy wiesz, dlaczego tu jesteś? - zapytał Ashe brata.

- Nie jestem zdrowy. - Zwiesił głowę. - Mówią mi, że od czasu do czasu popadam w stany lękowe i melancholię. Wtedy z nikim nie rozmawiam i wszystkich podejrzewam o spiskowanie przeciwko mnie.

- Czy teraz jesteś w takim stanie? Czy uważasz, że odzyskałeś zdrowe zmysły?

- Tak, jestem z całą pewnością. - Aleks wytrzymał spojrzenie Ashe'a. - Jednak nigdy nie wiem, kiedy powróci moje szaleństwo. Dlatego muszę tu pozostać.

Ashe słuchał brata z rozdartym sercem. Zawsze był pewny siebie, a teraz wydawał się cieniem dawnego siebie.

- Henry twierdzi, że stanowisz zagrożenie dla siebie i dla innych.

- Henry tak twierdzi! A co on wie? Zawsze mówi to, co jest dobre dla niego. Przecież o tym wiesz. - Przez ułamek sekundy Ashe widział dawnego Aleksa.

- Opowiadał o incydencie z bronią.

Aleks wzburzył się, prawie tak jak w czasach ich młodości, kiedy Henry prowokował go mówieniem oczywistej nieprawdy.

- Gdybym wiedział, jak on to przedstawi, zastrzeliłbym go i oszczędził nam kłopotów. Następnym razem zrobię to.

Gwałtowność Aleksa zastanowiła Ashe'a.

- Co to za kłopoty? - Były to urojenia czy odkrył rzeczywisty spisek?

- Chodzi o Bedevere. - Aleks pochylił się nad stołem ku bratu. - Tytułują mnie hrabią i nic tego nie zmieni z wyjątkiem mojej śmierci, ale ja nie zarządzam majątkiem. Podczas choroby ojca zarządzał nim praktycznie tylko Henry. To mu jednak nie wystarczało. Teraz liczy na to, że będzie się szarogęsił w Bedevere... Przynajmniej tak długo, jak długo ja żyję. Oczywiście, kiedy odejdę, hrabią zostaniesz ty i wszelkie nadzieje Henry'ego na przejęcie Bedevere wezmą w łeb.

- Bedevere jest na skraju upadku. Dlaczego Henry'emu miałyby zależeć na przejęciu majątku?

- Chodzi o złoża węgla. - Aleks zniżył głos. - On chce rozpocząć wydobywanie i zbić na tym fortunę. Odkryłem to tuż przed początkiem mojej choroby. Przez dwa lata poszukiwał inwestorów i przygotowywał plan.

- A afera Forsythe'a? - Podejrzenia Ashe'a rosły. Zbieg okoliczności był zdumiewający.

Postanowił jeszcze raz przestudiować księgi rachunkowe. Może z pomocą Aleksa wypełni wszystkie luki i zrozumie sens niektórych zapisów.

- Doktor Lawrence twierdzi, że to był czynnik, który wywołał moją chorobę, chociaż wtedy nikt tego nie był świadomy. Ja nie przypominam sobie, bym autoryzował owe inwestycje. Ojciec już niedomagał. Na zleceniach jest rzekomo mój podpis, ale ja ich nie podpisywałem. - Aleks patrzył Ashe'owi prosto w oczy, poważnie i szczerze.

Był to wzrok człowieka w pełni zdrowego. Jak mógł wątpić w słowa brata?

- Bracie! - Aleks złapał nagle brata za ramię. - Wierzysz mi? Zabierzesz mnie do domu na dobre, a nie tylko na ślub?

Gest był wyrazem głębokiej desperacji i nadzieja Ashe'a zgasła. Skąd może wiedzieć, czy to, co usłyszał, to nie fantazje chorego czy uzasadnione podejrzenia człowieka zmanipulowanego przez podstępного kuzyna, pragnącego wydrzeć mu ojcowiznę?

Właściwie to bez znaczenia, powiedział Ashe w duchu. Aleks nigdy go nie zawiódł, a teraz mógł spłacić dług. Chory czy nie, pozostanie w domu. Ashe przykrył dłoń brata swoją dłonią i wysunął głowę do przodu. Ich dwie ciemne głowy zetknęły się czołami.

- Dzisiaj stąd ze mną wyjdiesz. Obiecuję ci. Miejsce hrabiego Audley jest w Bedevere. Czas na nas - zawołał do Genevry. - Zaprowadź Aleksa do karety. Ja porozmawiam z doktorem Lawrence'em.

Rozmowa z doktorem nie należała do łatwych. Lawrence był wyraźnie niezadowolony z wyjazdu Aleksa. Użył wszystkich możliwych argumentów: wymaga stałej opieki, powinien być pod obserwacją lekarzy, nie wiadomo, kiedy dostanie kolejnego ataku i jest niebezpieczny dla siebie samego. Ashe słuchał niewzruszony, a na koniec zapytał:

- Kto pana opłaca? Pan Bennington?

Doktor Lawrence pobladł. Ashe poszedł za ciosem.

- Jeśli tak, to wątpię, by chciał pan, bym bliżej przyjrzał się owym rachunkom. Być może dopatrzyłbym się w nich formy przekupstwa.

Argument okazał się celny i uciszył doktora.

- Tak myślałem. - Uśmiechnął się oschle Ashe.

Był pewny, że tuż po ich odjeździe doktor Lawrence wyśle list do Henry'ego. Zastanawiał się też, czy doktor nie odważy się przeszkodzić ich wyjazdowi z miasta. Dlatego też chciał możliwie jak najszybciej wyjechać. Dołączył do Genevry i Aleksa czekających w karecie i kazał ruszać. Nieważne, że bardziej przypominało to ucieczkę niż upragniony powrót do domu.

Podróż do domu odbyła się szczęśliwie bez zakłóceń. Alex siedział w milczeniu, ale Genevra próbowała ostrożnie wciągać go w rozmowę. Mówiła o udogodnieniach wprowadzonych w Bedevere, o planach Ashe'a dotyczących ogrodów i o tym, jak ciotki szykują się do letniego jarmarku. Aleks kiwał od czasu do czasu głową i uśmiechał się, ale odzywał się bardzo rzadko, jakby się bał, że odmiana jego losu na lepsze może się w każdej chwili skończyć.

Ashe obserwował ich. Oto kobieta, którą miał poślubić, i brat, który go potrzebował. Po dziesięciu latach samotności i błędów, miał teraz rodzinę: starzejące się ciotki, chory brat i amerykańska żona. Dziwne towarzystwo. Poza tym wszyscy w jakiejś mierze liczyli na niego.

Nagle i zupełnie niespodziewanie odezwał się w nim instynkt opiekuńczy. Przysiągł sobie, że każdy, kto potrzebuje jego pomocy, znajdzie ją pod dachem Bedevere. I nie zawiedzie się.

Kiedy podjechali późnym popołudniem, Henry czekał na nich. Ledwo zatrzymali się na podjeździe, zszedł ze schodów purpurowy ze złości. Ashe domyślił się powodu rozdrażnienia kuzyna.

- Co ci przyszło do głowy zabierać Genni ze sobą? - wybuchnął Henry w chwili, gdy Ashe stawiał nogi na podjeździe. - Nie masz poczucia przyzwoitości? Co ludzie powiedzą? Jej reputacja będzie zrujnowana.

- Pobieramy się, kuzynie. Nikogo nie wzburzy fakt, że pojechaliśmy razem po różne rzeczy potrzebne na uroczystość ślubną. - Ashe nie mógł powstrzymać złośliwego uśmiechu, kiedy przekazywał tę wiadomość kuzynowi. Podał rękę wysiadającej z karety Genevry. - Powinisz nam, Henry.

- Nie mogę uwierzyć, że wybrałaś się tylko z pokojówką - zaatakował Henry Genevrę.

- I z walizką ubrań - odpowiedziała przewrotnie.

Ashe'a rozśmieszyła jej przekora, jednak poczuła niepokój, bowiem mocno zacisnęła palce na jego dłoni.

- Genni! - krzyknął zgorszony Henry.

- Daj spokój, nie wyjechałam dla przyjemności - upomniała go.

Ashe wiedział, że konfrontacja z Henrym nie była przyjemna dla Genevry. Zaledwie kilka dni temu kuzyn narzucał się jej z propozycją małżeńską i tamtego incydentu na pewno łatwo nie zapomni. Jeśli z własnej woli nie opuści Bedevere jeszcze przed kolacją, Ashe mu to „zasugeruje”. Skoro ma być opiekunem, zacznie od zaraz.

Awanturze zapobiegła jednak interwencja Aleksa.

- Sądzę, że to ja jestem jedną z tych rzeczy potrzebnych na uroczystość ślubną - powiedział, wychodząc z karety. - Cieszę się, że cię widzę, kuzynie.

Zdenerwowanie na Genevrę było niczym w porównaniu z reakcją Henry'ego na widok Aleksa. Tego się nie spodziewał.

- Coś ty narobił? - zwrócił swój gniew przeciwko Ashe'owi.

- Przywiozłem brata do domu. Tu jest jego miejsce - odparł uroczyście. - Na twoim miejscu zacząłbym się martwić. Jeśli pozwolisz, wejdziemy do środka, jesteśmy zmęczeni po podróży.

Ashe zachował się imponująco, pomyślała Genevra w drodze do gościnnego pokoju, który zajmowała w Bedevere. Zachował się z wielką godnością, tak jak pierwszego wieczoru, kiedy go poznała. Postanowiła skorzystać z chwili spokoju, by zająć się sobą. Potrzebowała nabrać dystansu, ale nie pomyślała o powrocie do Seaton Hall. Pamiętała jadowity wzrok, jakim patrzył na nią Henry. Pod żadnym pozorem nie powinna dostarczać mu okazji do pozostawiania z nią sam na sam. Stał się wyjątkowo natrętny. Czy tego chciała, czy nie, ochrona ze strony Ashe'a stała się koniecznością. Z tym jednak wiązało się zupełnie innego rodzaju niebezpieczeństwo.

Do ostatniej nocy wierzyła, że intymne relacje z Ashe'em nie będą się wiązały z zaangażowaniem uczuciowym. Ich zbliżenie jednak było dla niej bardzo ważne. Okazał się inny, niż początkowo przypuszczała. Jego miłość do brata wywarła na niej wielkie wrażenie i była dowodem na to, że jest zdolny do głębszych uczuć. Sprowadzenie Aleksa do domu kłóciło się z wizerunkiem człowieka myślącego tylko o sobie i o własnych przyjemnościach. Jakże łatwiej by jej było, gdyby Ashe Bedevere okazał się zepsutym do szpiku kości hulaką, hazardzistą i niepoprawnym uwodzicielem, na jakiego wyglądał.

Było jednak znacznie gorzej, bowiem okazał się mężczyzną, który prawdziwie zasługiwał na miłość. A to wróżyło katastrofę w ich kulawym małżeństwie. Ashe zapewniał ją, że będzie ją chronił i zadba o jej przyjemności, ale nigdy nie obiecywał, że ją pokocha.

Uznała, że nie wszystko przedstawiało się w czarnych barwach. Przed kolacją Ashe poinformował Genevrę, że Henry na stałe wyniósł się z Bedevere.

Posiłek nie był wyszukany, ale przebiegał niemal w świątecznej atmosferze. Zły kuzyn zniknął, Aleks wrócił, a przed nimi ślub.

Zanim kolacja dobiegła końca, ciotki i Ashe zdecydowali, że ceremonia zaślubin powinna odbyć się w najbliższy piątek, czyli już za dwa dni. Taki pośpiech był jak najbardziej wskazany, tym bardziej że nie widziała potrzeby wielkich przygotowań. Rodzina pozostawała w żałobie, a ona i Ashe wiedzieli, czym naprawdę był ten ślub - zwykłą, niemalże handlową umową. Zwyczajowa oprawa, jak wstążki, róże i inne tym podobne głupstwa, były więc zupełnie zbędne. Pośle jedynie do Seaton Hall po elegancką suknię i na tym skończą się jej przygotowania.

Po kolacji towarzystwo przeniosło się do salonu muzycznego, gdzie Ashe grał na starym fortepianie Broadwooda, a ciotki z ożywieniem wspominały uroczystości ślubne, jakie odbywały się w Bedevere w przeszłości. Genevra słuchała jednym uchem, ponieważ była bardziej zainteresowana grą Ashe'a. Przypomniała sobie, co mówił Aleks o koncercie brata w Pałacu Schönbrunn. Kusiło ją, by poznać więcej szczegółów, ale uznała, że jeśli chce się czegoś dowiedzieć, to powinna poprosić Ashe'a, by sam jej o tym opowiedział, zwłaszcza że wciąż miała mu za złe, że on badał jej przeszłość.

W pewnym momencie Alex podszedł do pianina i coś szepnął bratu na ucho. Ashe przerwał i zaczął długo przewracać kartki z nutami, aż znalazł to, czego szukał. Genevra zauważyła, jak Letycja odłożyła robótkę w oczekiwaniu.

- Chłopcy zaśpiewają... Tak jak kiedyś - szepnęła i trąciła Melisandę, żeby przestała rozmawiać. - Aleksander ma przepiękny tenor.

Wieczór zakończył się radośnie. Bracia zaśpiewali ku uciesze ciotek kilka piosenek, kończąc rzedną balladą „Barbara Allen”. Ciotki miały łzy w oczach, a zanim przebrzmiały ostatnie nuty, nawet Genevra otarła wilgotne powieki. Kiedy zaś wszyscy wstali, by życzyć sobie dobrej nocy, oczy Ashe'a i Genevry spotkały się.

Zrozumiała. Ashe zamierzał spędzić noc u niej w sypialni.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Genevra czekała w radosnym uniesieniu, chociaż rozum doradzał odprawić go jakąś nonsensowną wymówką w rodzaju „zaczekajmy do ślubu”. Nie chciała jednak czekać nawet dwa dni.

Uzmysłowiła sobie, że cały wieczór przygotowywał ją do tego spotkania. Przytrzymał krzesło, gdy siadała do stołu, dotykał dłonią jej pleców, a podczas posiłku zatrzymywał na niej wzrok dłużej, niż to było konieczne. Uwodził ją. Tymi i innymi drobnymi gestami rozbudzał oczekiwanie na dalszy ciąg tego, co zaczęło się w gospodzie. Być może tak będzie wyglądało ich przyszłe małżeńskie pożycie.

Zabiegi Ashe'a zadziały. Czekala na niego przebrana w jedwabną koszulę nocną, niecierpliwie chodząc tam i z powrotem po pokoju, chociaż wiedziała, że nie powinna się go spodziewać wcześniej niż o północy, gdy wszyscy ułożą się do snu. Bez względu na to, czy mieli się pobrać, czy nie, nie było wskazane, żeby zostali przyłapani razem w jej pokoju.

Miała nadzieję, że nie będzie czekać nadaremnie. Tymczasem postanowiła zająć się spisaniem listy zadań, które wynikały z faktu, że po ślubie będzie zarządzać własnym majątkiem z oddalenia. Podeszła do sekretarzyka, wyjęła papier i atrament. Zaledwie zaczęła pisać, rozległo się ciche skrobanie do drzwi.

Uśmiechnęła się do siebie. Przyszedł.

- Proszę.

Otworzyła mu. Zaproszenie nie brzmiało przesadnie zachęcająco. Genevra nie chciała, by wiedział, jak niecierpliwie go oczekiwała. Nie chciała też, by widział, jakie wrażenie na niej zrobił w dezabilu. Wyglądał tak zmysłowo, że byłby w stanie zmiękczyć serce najzagorzalszej starej panny i zaprzysięgłej dziewicy.

Ashe przyniósł niewielki, czarny płócienny woreczek. Na sobie miał orientalny niebieski szlafrok w „turecki” wzór i chyba nic pod spodem, sądząc po gołej skórze widocznej w dekolcie. Myśl o jego nagości skrytej tylko pod zwiewną szatą, rozpała wyobraźnię Genevry. Poza tym, zaimponował jej śmiałością, z jaką paradował po domu w takim ubraniu.

- Widzę, że mieliśmy podobny pomysł - powiedział, patrząc z uznaniem na jej niemal przezroczystą jedwabną koszulę. Ciało Genevry zareagowało natychmiast.

- Tyle że ja nie paraduję w takim stroju po domu - odparła, drocząc się. - Aleks śpi?

- Był bardzo zadowolony, że wrócił do swojego pokoju. Trochę z nim posiedziałem i porozmawiałem. Dlatego jestem później, niż planowałem.

- Nie musisz się tłumaczyć, to twój brat...

Ashe pokręcił głową, nie dając jej dokończyć.

- To był długi dzień. Teraz chcę o wszystkim zapomnieć. Chcę ciebie.

Powiedział: „Chcę ciebie”. Takimi słowami można odpokutować wiele grzechów. Jednak Genevra była zbyt ostrożna, by brać je dosłownie. Nie zamierzała być dla niego jedynie ucieczką. Był to zarówno komplement, jak i obraza. Czy tak ma wyglądać ich pożycie małżeńskie? Będzie przychodził po długim dniu i szukał zapomnienia, ale nie będzie dzielił się z nią myślami?

Podszedł, przyciągnął do siebie i ustami odszukał jej usta. Ta delikatna pieśczoła rozbroiła Genevrę.

- Poczekaj chwilę - szepnął.

Zostawił ją i zbliżył się do nocnego stolika przy łóżku. Umieścił na nim przyniesiony woreczek i zaczął wypakowywać jego zawartość: szklane flakoniki, płytkie okrągłe naczynie i mały metalowy statyw. Odwrócił się do niej z filuternym uśmiechem.

- Siadaj. Popatrz i spróbuj wyobrazić sobie, co będziemy z tym robili.

Usunął klosz z lampy naftowej i ustawił statyw nad otwartym płomieniem. Naczynie ostrożnie napełnił płynem z flakoników. Czyżby chodziło o jakieś doświadczenie naukowe? Nachylił się nad palnikiem i z zamkniętymi oczami głęboko wdychał unoszący się aromat.

Genevra także go poczuła. Rozpoznała lawendę zmieszana z cytrusami i ten zmysłowy zapach szybko wypełniał pokój.

- Jestem twój, Nevo. - Ashe wyciągnął dłoń. - Przez większą część dnia nie myślałem o niczym innym.

Nie myślał o bracie, nie zastanawiał się, jak przepędzić kuzyna z rodowej siedziby ani jak przechytryć upartego lekarza, zamyśliła się Genevra. Ma w to uwierzyć?

Patrzył na nią, więc wstała. Jeśli ma dostarczać mu zapomnienia, niech tak będzie. Na początek. Obniżyła ramiączka koszuli z ramion i wdzięcznym ruchem bioder zsunęła koszulę na podłogę.

- Kusicielko - szepnął z zachwytem i sięgnął do paska przytrzymującego szlafrok.

Genevra wstrzymała oddech. Jaki on piękny! Widziała go już wcześniej nagiego, ale tylko w mdłym blasku ognia na kominku. W jaśniejszym świetle lampy też nie rozczarowywał. Wiedział, o czym myślała, i uśmiechał się wyrozumiale.

- Dzisiaj będziemy mieli dość czasu, by nacieszyć się sobą nawzajem. Chodź, połóż się.

Posłuchała. Miał wobec niej jakiś plan, chociaż nie potrafiła odgadnąć, co to mogło być. Czowała się zdana na jego łaskę, kiedy leżała naga na łóżku. Poprzedniej nocy zachowała kontrolę i była partnerką. Teraz wszystko przedstawiało się inaczej.

- Co będziemy robili? - Patrzyła podejrzliwie, widząc, jak Ashe zdejmuje naczynie z nadpalonego płomienia.

- Denerwujesz się?

- Tak - przyznała się.

Znowu uśmiechnął się filuternie i Genevra zrozumiała, że on nie zaakceptuje odmowy.

- Nie zrobimy nic, co nie będzie ci się podobało. To będzie masaż. Gwarantuję, że ci się spodoba, a zaczniemy od stóp...

Och, spodobało się, i to jak! Zapach ciepłego olejku rozprowadzanego na skórze dłońmi, które umiejętnie gładziły, ugniatały i muskały stopy, łydki, uda oraz pośladki, odurzał. Czy to nie iście niebiańska rozkosz? - myślała, cicho pojękując.

- Gdzie się tego nauczyłeś? - zdziwiło ją, że w tej sytuacji potrafi w ogóle mówić.

- W Wenecji. - Jego dłonie przeniosły się teraz na jej ramiona i kciukami uciskał kark u nasady szyi. - To prawdziwa sztuka, a wywodzi się ze Wschodu. - Co do tego nie miała wątpliwości. Takie zachowanie było zbyt śmiałe jak na purytańską starą Anglię.

- Podoba mi się ta Wenecja - mruknęła, nie pragnąc nawet dociekać, od kogo mógł się tam nauczyć owej sztuki.

- Wenecja jest fantastyczna. Miejsce, gdzie Wschód spotyka się z Zachodem. Brama na Adriatyk, Istambuł i Egipt. Dopiero zaczynamy dostrzegać jej potencjał, chociaż inni już to dawno zrobili. - W jego ustach nawet lekcja geografii brzmiała grzesznie.

Pochylił się nad nią, dotykając całym ciałem, odchylił włosy na jedną stronę i przyłożył usta do jej ucha.

- Chcesz mnie? - zapytał szeptem.

Uniosła instynktownie pośladki. Było to dla niej zupełnie nieznane terytorium, ale jej ciało wiedziało, co robić. Porzuciła wszelkie obiekcje.

Wszedł w nią pewnie, tak że poczuła go głęboko. Na to czekała cały dzień i to ją zatrzymało w Bedevere. Żadne słowa nie mogły oddać uczuć, jakie nią władały z każdym ruchem jego ciała. Był niestrudzony. Ekstaza była bliska dla obojga.

W krótkotrwałym przeblysku świadomości, zanim uległa obezwładniającej mocy uwolnienia, przemknęła jej przez głowę myśl, że to nie zwykłe zbliżenie, pospieszny akt fizycznego zaspokojenia, lecz najprawdziwsza sztuka.

Ashe był z siebie dumny, że to on obudził w niej prawdziwą namiętność. Może takie myśli nie uchodziły za wyrefinowane, ale to, co przed chwilą oboje przeżyli, kazało mu się zastanowić nad naturą związku z leżącą obok kobietą.

Uniósł się nad nią, opierając na łokciu, a palcami drugiej ręki kręcił leniwie kółka wokół jej piersi.

- Czy odpowiadałby ci termin ślubu w najbliższy piątek? Zaświtało mi poniewczasie, że może chciałabyś zaprosić kogoś z przyjaciół. Moglibyśmy poczekać kilka dni. - Obecnie, kiedy Henry został przegnany z Bedevere, Ashe mógł sobie pozwolić na luksus niewielkiej zwłoki.

- Nie mam kogo zapraszać - odpowiedziała.

- Trudno uwierzyć, by taka piękna kobieta nie miała żadnych znajomości i wzięła się znikąd w Staffordshire.

- Nie znikąd. Wiesz, że jestem Amerykanką. Zapraszanie mojej rodziny byłoby nierozważne. Nie mamy tyle czasu. - Zaśmiała się nieco sztucznie.

- Ach, więc masz rodzinę - droczył się z nią.

Jakże mógł wierzyć, że była zupełnie sama?

- Miałam. Długo mieszkalam z ojcem. Umarł wkrótce po wypadku Philipa. Poza nim nie warto o nikim wspominać. Mam wuja, plantatora chmielu w okolicy Bostonu, ale nasze kontakty... rozluźniły się.

Z powodu skandalu, domyślił się Ashe.

- Dlatego przyjechałaś do Anglii? Ponieważ nic cię z Ameryką nie wiązało?

- Coś w tym rodzaju. Poza tym, wydawało mi się, że może to być ciekawe wyzwanie.

- Lubisz wyzwania? Ja chyba też. Skłonienie ciebie, byś opowiedziała coś o sobie, jest iście herkulesową pracą - zażartował.

- Ty też nie jesteś skory do zwierzeń. Powiesz mi, dlaczego wyjechałeś z Bedevere?

Ashe z głośnym westchnieniem przewrócił się na plecy, chociaż właściwie nie miał nic przeciwko jej pytaniom.

- Młodszy synowie powinni usuwać się z drogi dziedzicom, żeby nie siać niezgody w rodzinie. Zawsze to rozumiałem. W gruncie rzeczy byłem nawet zadowolony, że tak jest. Po opuszczeniu Oksfordu obrałem nową życiową ścieżkę. Nie żałuję, że wyjechałem, Nevo. Żałuję, że nie wracałem.

Teraz Genevra zaczęła kręcić kółka na jego piersi.

- Dlaczego? Czy ma to związek z twoim pobytem w Wiedniu?

Ashe pokręcił głową.

- Aleks za dużo mówi. Kiedyś ci opowiem, ale nie dzisiaj... - Uśmiechnął się przeprasza-
jąco.

Będzie musiała poczekać z poznaniem jego mrocznych sekretów. Za bardzo zależało mu na jej opinii... Zdumiewająca konstatacja w przypadku człowieka, który nigdy nic sobie nie robił z tego, co inni o nim myślą.

Wciąż nie dbał o zdanie londyńskiego towarzystwa, ale zaczął liczyć się z Genevrą. Co by pomyślała, gdyby wiedziała, czym był zajęty, gdy dostarczono mu wiadomość o śmierci ojca? O ich kłótni? O jego pobycie w Wiedniu? Gdyby o tym wiedziała, czy w jej oczach stałby się kimś odrażającym? Czy może uznałaby, że najważniejsza jest przyszłość?

Nie żałował swoich wszystkich postępów, ale nie miał zamiaru pozwolić, by były mu kulą u nogi.

- Powiem ci coś o sobie. To jeden z moich najgłębszych sekretów. - Zbudził go z zamyślenia głos Genevry. Oczywiście żartowała, było to wyraźnie słychać. - Lubię zarabiać pieniądze - oznajmiła. - I jestem w tym dobra.

Deklaracja miała walor prowokacji. Genevra wiedziała o tym. Sfery towarzyskie Londynu byłyby zaalarmowane. Dżentelmenom nie wypadało zarabiać, a cóż dopiero dobrze urodzonym damom. Ashe milczał.

- W ubiegłym roku dzięki inwestycjom za granicą podwoiłam zyski mojej firmy żegluga-
wej. - Zamilkła, choć był niemal pewny, do czego zmierza. - Mógłbyś zarabiać pieniądze na Bedevere - zaczęła ostrożnie.

- Chcę postawić na nogi farmy moich dzierżawców przed sezonem prac polowych.

- Nie chodzi o farmy. - Żachnęła się. - Chociaż to też nie zaszkodzi. Ja myślę o domu i ogrodach. Na wiosnę i latem możesz otworzyć dom dla zwiedzających. Możemy ogłaszać się w przewodnikach turystycznych. Mam zamiar rozpocząć to latem w Seaton Hall. - Mówiła poważnie.

- A gdzie ja zamieszkać, gdy mój dom zaroi się od ludzi?

- Będziesz w Londynie, przynajmniej część lata, jak przypuszczam.

Czyżby go sondowała? Myślała, że on pojedzie do Londynu, zostawiając amerykańską żonę na wsi? Wcale o tym nie pomyślał.

Tak czy inaczej, kiedyś trzeba będzie zaprezentować Genevrę w towarzystwie, ale Ashe nie palił się do tego nie dlatego, że nie wierzył w jej urok, lecz dlatego, że nie chciał, by dowiedziała się czegoś o ciemnych stronach jego dotychczasowego życia.

- Może postanowiłem jednak zostać na wsi. - Ashe powiedział to z przekory, żeby zobaczyć, jak ona zareaguje.

- No to będziesz mógł wynająć londyński dom, jeśli postanowisz zostać tutaj. Na sezon do Londynu zjeżdżają się całe rodziny... Znajdziesz chętnych. Tak czy siak, musisz się zastanowić. Nie możesz być w dwóch miejscach naraz i nie ma sensu, żeby jedna rezydencja stała pusta bezużytecznie.

Ashe roześmiał się.

- Nevo, nikt ci nie mówił, że rozmowa w łóżku o pieniądzech nie jest afrodyzjakiem?

- Tobie wcale nie przeszkadza - szepnęła nieśmiało.

- Ty tak na mnie działasz, nie pieniądze, zapewniam cię...

Usiadła na nim okrakiem, schyliła się, ocierając o jego nagą pierś, i pocałowała mocno w usta.

- Lepiej nie dowiadywać się za wiele naraz, nie sądzisz? Wolę, żeby pozostało wszystko tak, jak jest... Przyjemność bez oczekiwań i bez komplikacji.

Problem jednak polegał na tym, że ten miły stan nie mógł trwać wiecznie. Był pewien, że z czasem ona zapragnie więcej i przestanie zadowalać się tylko jego ciałem.

Kobieta jak ona kocha bez granic i spodziewa się wzajemności. Wiedział od początku, że w tym małżeństwie będzie musiał odłożyć dumę na bok, ale nie przewidział, że pojawi się miłość, nawet jednostronna. Sytuacja zaczynała się szybko zmieniać i już tworzyć komplikacje.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Konieczność zastosowania bardziej drastycznych metod przybliżała się nieuchronnie. Henry miał nadzieję, że współnicy dopatrzą się w ostatnich wydarzeniach wyłącznie winy Ashe'a, a nie jego, bo nie chciałby stać się celem Trenta, Samuela, Bardswortha, Ellingsona czy Cunninghama, którzy zjawili się na spotkanie w komplecie i byli raczej w złych humorach. Obserwował ich z obawą. Po raz drugi w ostatnich dwóch tygodniach był zmuszony przynieść im złą wiadomość.

- Ralstonowa wychodzi za twojego kuzyna - zaczął Trent. - Nie tak miało być.

Trent zdawał się bagatelizować problem jak krawiec, który skroił kamizelkę z materiału o ton jaśniejszego, niż zamawiał klient, lecz Henry nie był tak naiwny, by wierzyć w jego spokój. Wiedział, że grozi mu niebezpieczeństwo.

Henry postanowił pójść na całego i nie hamować słusznego oburzenia.

- Mój kuzyn jest uosobieniem zła. Wyrzucił mnie z domu.

Niestety, skutek okazał się przeciwny do oczekiwanego. Narzekanie na kuzyna osłabiło pozycję Henry'ego.

- Utraciłeś więc możliwość bezpośredniej kontroli pewnych spraw - zauważył Cunningham.

Henry wiedział, jakie „sprawy” miał na myśli Cunningham. Chodziło o księgi rachunkowe. Byłoby katastrofą, gdyby Ashe odkrył fałszerstwa. Wystarczyłoby to, by trafił do więzienia i by odkryć machinacje kartelu.

- Bennington nie podzielił się z nami jeszcze inną wiadomością - warknął Marcus Trent ze swojego miejsca u szczytu stołu. - Powiedz im, Bennington... Bedevere sprowadził brata do domu.

- Cholera! - wybuchnął Ellingson. - Nic nie potrafisz zrobić, jak należy, Bennington? Najpierw tracisz majątną wdówkę, a teraz jeszcze to! Ten głupiec coś chlapnie, a Bedevere mu uwierzy, nie zważając na to, czy to czubek, czy nie.

Henry starał się zachować pozory spokoju. Ostatnio wszystko zaczynało się sypać. A gdyby się ostatecznie posypało, on dużo i boleśniej za to zapłaci - wolnością, a może nawet życiem.

- Musimy działać szybko. Jeszcze nie za późno, by uratować sytuację. Trzeba zmienić plan. Trzeba stanowczo ograniczyć liczbę zainteresowanych...

Będzie łatwiej, jeśli Ashe po prostu zniknie. Nadszedł czas, by on i jego wspólnicy podjęli bardziej drastyczne środki. Przyszłość Bedevere leżała ukryta głęboko pod ziemią, nie na jej powierzchni.

- Zorganizujemy porwanie - przemówił Samuels. - Moglibyśmy wykorzystać twojego znajomka z wioski, tego, który podpłował koło powozu. W zamian za uwolnienie zażądalibyśmy praw do wydobycia. Ale kogo lepiej porwać? Hrabiego czy pannę młodą? Zawsze marzyłem o uprowadzeniu panny młodej.

Trent pokręcił głową.

- Bedevere wie, że jego brat jest bezpieczny, bo póki on żyje, Henry ma głos w zarządzaniu majątkiem. Porwanie hrabiego nie na wiele by się zdało. Co do panny młodej, to nie wiadomo, jak dużo byłby skłonny dla niej zrobić. Żeni się dla pieniędzy, nie z miłości. Dlaczego miałby za nią oddawać część majątku? To nie leży w jego interesie.

- No to śmierć - orzekł Cunningham. - Bedevere musi umrzeć. I to wkrótce.

Trent wzruszył ramionami, jakby planowanie czyjejś śmierci było dla niego chlebem powszednim.

- Obaj muszą umrzeć. Wtedy Bennington zostanie hrabią. To sensowne. Zniknie też niebezpieczeństwo wykrycia fałszerstw w księgach rachunkowych. - Mrugnął do Henry'ego, a jemu zrobiło się słabo. - Podrobienie podpisu jest surowo karane, nieprawdaż, stary druhu? - Trent zachowywał się, jakby mówił coś dowcipnego.

Cała ta sprawa nie miała być tak skomplikowana. Zanosilo się na to, że całkiem łatwo będzie przejąć kontrolę nad Bedevere. Wszelkie okoliczności na to wskazywały. Henry'emu nie śniło się, że będzie mowa o morderstwie. Nie miał dość siły, by ich powstrzymać, tym bardziej że to jemu miał przypaść tytuł. Na to trudno było się nie skusić.

Henry miał egoistyczną naturę. Gdyby miał wybierać między Ashe'em a sobą, wybrałby siebie. To jednak zupełnie co innego niż pociągnięcie za spust.

- Uważam, że powinniśmy to zlecić - powiedział w końcu.

Do tej pory już i tak wziął za duże ryzyko na siebie.

- Cunningham to zrobi. - Trent odwrócił głowę do grubego człowieka o małych oczkach.

- A zrobię, czemu nie. - Uśmiechnął się szeroko Cunningham. - Skoro nie porwiemy panny młodej, to przynajmniej zastrzelimy pana młodego.

Trent zaśmiał się.

- A ty - zwrócił się do Henry'ego - będziesz przynętą. Wystawisz Ashe'a na strzał.

Henry poczuł mrowienie wzdłuż kręgosłupa.

- Nie martw się. Wypowiadasz się i po krzyku... Ocalisz duszę.

- Masz jakieś grzechy do wyznania, braciszku? Za chwilę będziesz żonaty - żartował Aleks w przedśionku kaplicy.

- Nie starczy czasu na moją spowiedź. Genevra będzie lada chwila. - Ashe rzucił kolejne niespokojne spojrzenie w stronę wejścia do kaplicy.

Dochodziła dziesiąta. Miała jeszcze dziesięć minut. Co robiła w tej chwili? Schodziła ze schodów? Wsiadała do powozu? A może była już w drodze? Miała wątpliwości i zastanawiała się, czy dobrze robi? Dochodziła do wniosku, że dałaby sobie radę z Henrym sama i że wolność jest za wysoką ceną za ochronę?

- Nie martw się, wszystko będzie dobrze! - Aleks uściśnął brata. - Ona cię lubi, dobrze wiesz. A nawet więcej. Ona chce cię poznać, Ashe.

- Wie, co jest konieczne.

- Mimo wszystko, ona nie jest kobietą, która robiłaby coś wbrew swojej woli. Nie wychodziłaby za ciebie, gdyby jej to nie odpowiadało.

To właśnie martwiło Ashe'a najbardziej. Co wiedział o małżeństwie? Nigdy nie był z żadną kobietą dłużej niż dwa tygodnie, a tu wchodzi w grę całe życie. Nieudane pożycie to mało zachwycająca perspektywa. Co jednak jeśli zakocha się w żonie? Ryzyko rozczarowania jej byłoby daleko większe niż rozczarowania kogoś, na kim mu nie zależy.

Pastor Browne poprosił, by zajęli miejsca. Ashe wziął głęboki oddech. Widocznie powóz już zajechał. Wybawienie było blisko. Genevra nie uciekła.

Aleks objął brata po raz ostatni.

- Następnym razem, kiedy cię obejmę, będziesz żonatym mężczyzną, a po pewnym czasie ojcem. - Nie potrafił powiedzieć tego bez zadumy.

- To ty powinieneś być na moim miejscu, Aleks - szepnął Ashe, choć wiedział, że tak nigdy nie będzie. Brat nigdy się nie ożeni.

- Będę kochającym wujkiem i to będzie źródłem mojego szczęścia. Bądź szczęśliwy, Ashe. Za dużo w tobie poczucia winy. Nie myśl, że tego nie widzę. Jestem twoim bratem, znam cię lepiej niż ktokolwiek. Pozwól sobie poczuć szczęście. - Aleks wypuścił brata z objęć. - No, jesteś gotowy!

Ashe wyprostował się i zajął miejsce obok Aleksa przed ołtarzem. Kaplica była stałym miejscem na uroczystości Bedevere'ów od wielu pokoleń. Jego rodzice tu się pobierali, a on i Aleks byli tu chrzczeni. Tu także odbyła się uroczystość żałobna ojca i tu brała ślub Letycja.

Stojąc przed ołtarzem, Ashe uświadomił sobie, że spojrzenia ciotek skupiają się tylko na nim. Wiedział, że dla nich to radosna chwila.

Choć ciotki były jedynymi gośćmi, nie pozwoliły, by uroczystość odbyła się całkowicie bez oprawy. Ołtarz pokrywał śnieżnobiały obrus. Po jego bokach stały srebrne lichtarze z nowymi woskowymi świecami oraz wazony ze szklarniowymi kwiatami. Genevra nie powie w przyszłości, że na jej ślubie zabrakło dekoracji.

Drzwi kaplicy rozwarły się i stanęła w nich panna młoda. Znalazła wzrokiem Ashe'a, uśmiechnęła się i ruszyła nawą do ołtarza, opanowana i elegancka w perłowo-szarych jedwabiach. Gdy ku niemu szła, suknia uwidoczniała jej kształty, podkreślała szczupłą talię i delikatną wypukłość bioder.

- Jaka ona piękna... Jesteś w czepku urodzony, Ashe - szepnął Aleks, wymierzając bratu ukradkowego kuksańca łokciem.

Bardziej uderzający był fakt, że szła sama. Podziwiał jej odwagę. Była sama, nie licząc jakiejś odległej rodziny w Ameryce. Związała swój los z jego losem i kroczyła ku bardzo niepewnej przyszłości.

Wyciągnął do niej rękę i przyciągnął ją do siebie. Była blada, choć opanowana, i jej ręka drżała. Ashe miał nadzieję, że nie żałowała, bo czekały ich jeszcze trudniejsze chwile. Angielska socjeta nie spojrzy na to małżeństwo przychylnym okiem i Genevra będzie miała na początku trudności. Uznana zostanie za żalowaną kobietę, poślubioną dla pieniędzy. Londyn nie da jej o tym szybko zapomnieć, chociaż on zrobi wszystko, by ją wspierać.

W tej chwili jednak najważniejsze, że znalazła się poza zasięgiem Henry'ego. Kontrakt ślubny został podpisany dzień wcześniej w niewielkiej kancelarii Marsbury'ego. Genevra była tak zabezpieczona, jak to tylko możliwe. Zbyła udziały w zarządzaniu Bedevere.

Nagły ból przeszył stopę Ashe'a, że ledwo zdołał powstrzymać głośny okrzyk. Genevra nadepnęła mu pantoflem na podbicie. Wbił w nią pytające spojrzenie. Co to za obyczaje, żeby panna młoda deptała panu młodemu stopy podczas ceremonii ślubnej?

- Myślę, że powinieneś zaczynać - szepnęła z uśmiechem na swoich stworzonych do całowania ustach.

- Czy ty, Ashtonie Malvernie Bedevere, chcesz wziąć tę oto kobietę za żonę?

Genevra powstrzymała nerwowy śmiech. Więc on na drugie imię ma Malvern? Nie wiedziała. Czyste szaleństwo wychodzić za człowieka i nie wiedzieć, jak brzmi jego pełne imię i nazwisko. Wtedy spoczęło na niej spojrzenie jego zielonych oczu - powtarzał za pastorem tekst przysięgi małżeńskiej - i absurd sytuacji znikł, a nawet ujawnił się jej sens.

Ten ślub bardzo różnił się od jej pierwszego ślubu z Philipem. Porównanie nasunęło się nieproszone i niemile widziane. Dzisiaj zwłaszcza nie chciała myśleć o tamtym dniu, tyle że kontrast był taki rażący. Tamten ślub odbywał się z wielką pompą, jaka zazwyczaj towarzyszy uroczystościom ślubnym. Kościół tonął w kwiatkach, ławki wypełniała śmietanka towarzyska miasta, jej suknię sprowadzono z Paryża. Przygotowania trwały miesiące. W końcu wszystko okazało się na nic. Philip nie kochał jej, tylko udawał głębokie uczucie, a ona okazała się zbyt naiwna, by się zorientować.

Dzisiejsza uroczystość była skromna i bardziej uczciwa. Ashe nie udawał miłości, nie sączył szeptem pochlebstw, a ona od początku wiedziała, na co się decyduje: na mężczyznę, który ochroni ją przed skandalem i który rozumie odpowiedzialność za rodzinę. To powinno wystarczyć.

Wsunął jej na palec obrączkę i schylił się, by ją pocałować. Już po wszystkim. Oby był tak skory do skruchy, jak okazał się skory do żeniaczki, pomyślała, gdy się pocałowali. Z Ashe'em Bedevere'em nie groziła jej nuda.

Na rozrywkę trzeba będzie poczekać kilka godzin. Najpierw należało bowiem dopełnić pewnych formalności. Wrócili do Bedevere, gdzie długo zabawili przy uroczystym śniadaniu z Alekssem i ciotkami, po którym państwo młodzi wręczyli nielicznej służbie okolicznościowe upominki.

Po posiłku Genevra przebrała się i wraz z Ashe'em pojechali do Audley, gdzie spacerowali z mieszkańcami i farmerami. Na rynku Ashe rzucił dzieciakom garść monet ku uciesze Genevry, która śmiała się z zamieszania, jakie to wywołało.

Dzień miał się ku końcowi, cienie stawały się coraz dłuższe, nadszedł czas powrotu do domu, gdzie mieli spędzić noc poślubną.

Jednak, jak zauważyła Genevra, Ashe przygotował pewną niespodziankę.

- Dokąd jedziemy? - zapytała gdy, zamiast do domu, skręcili w stronę jeziora.

- Do domku letniego. Ciotki wspominały, że go jeszcze nie widziałas - odparł i nic więcej nie powiedział.

Szybko jednak dotarli na miejsce. W ostatnich promieniach słońca i w blasku latarni budynku wyglądał idyllicznie.

- Och, jak tu pięknie! Widok jak z bajki!

Nigdy nie trafiła do tej części parku. Zima nie nastęczała okazji do dłuższych spacerów, a i stan zdrowia hrabiego je wykluczał.

Ashe otworzył drzwi i weszła do środka. Jedna ściana domku od strony jeziora była cała przeszklona i przesłaniały ją cieniutkie, białe firanki. Umeblowanie składało się z leżanek, foteli i małych stoliczków, ale najokazalszym meblem było skrzyniowe łóżko. Pod jedną ze ścian stała komoda z półkami, na których leżały koce i czyste prześcieradła.

- Podoba mi się tutaj - wyznała szczerze zachwycona.

Ashe objął ją w talii. Genevrę przebiegł dreszcz.

- Skoro tak, to tu zostaniemy. Mamy chleb, ser i butelkę wina.

Zwróciła się ku niemu twarzą, wciąż pozostając w jego ramionach.

- Czego spróbujemy najpierw, panie Bedevere, chleba i wina, czy pójdziemy do łóżka?

- Dlaczego mamy wybierać? - odpowiedział przewrotnie. - Łóżko i wino to doskonała kombinacja, jeśli się wie, co robić.

- I, naturalnie, ty wiesz?

- Oczywiście, że wiem. - Odstąpił od niej na krok z uwodzicielskim uśmiechem. - Czy mogę pozwolić sobie na uwagę... Jesteś zanadto ubrana na taką okazję, wiesz? Myślę, że za parawanem znajdziesz coś odpowiedniejszego.

Genevra weszła za parawan oddzielający łóżko od reszty sprzętów i zobaczyła skrzynię. Była dobrze zaopatrzona. Genevra wybrała białą, atlasową szatę ozdobioną pięknie wyhaftowanymi zielonymi kwiatami. Robota Melisandy, pomyślała ze wzruszeniem.

Sięgnęła jeszcze po orientalny szlafrok dla Ashe'a, przebrała się szybko i nasłuchiwała. Po chwili pojawił się z tacą w ręku. Jego oczy zabłysły pożądaniem na jej widok.

- Teraz chyba ja jestem zanadto ubrany.

Odstawił tacę, wolnym, ostentacyjnym gestem sięgnął do krawata i pociągnął za jego koniec. Zdjął zakiet, kamizelkę i koszulę.

- Robisz to celowo! - zarzuciła mu żartem.

- Może... A działa? - Spojrzał jej w oczy.

- Wiesz, że tak.

Pomyślała, że stanowi piękny przykład męskiej urody. Zawsze z podziwem patrzyła na wspaniałą muskulaturę jego ramion, tułowia, bioder i ud. Usiadł, by ściągnąć buty i spodnie.

Genevra wstrzymała oddech. Wygiął się, sięgając po butelkę wina stojącą na tacy. Gra mięśni jego pleców i pośladków, gdy to czynił, zadziałała podniecająco.

- Napijesz się, moja droga? - zapytał, jakby wcale nie zwracał uwagi na swoją nagość.

- A co z chlebem i serem?

Zapowiadał się najbardziej szalony piknik w jej życiu.

- Na to przyjdzie czas później. Zdejmij okrycie i połóż się na plecach.

Zrobiła, o co prosił, ostrożnie odkładając atlasową bieliznę na bok. Naraz usiadł na niej okrakiem.

- Mam ochotę na wino. - Odkorkował butelkę i wlał kilka kropel do jej pępka, następnie pojedynczymi kroplami zaznaczył drogę ku jej piersiom. - Nie ruszaj się - poprosił z szelmowskim uśmiechem.

Schylił się i zaczął zlizywać trunek, doprowadzając ją do szaleństwa. Na koniec wysał resztki spomiędzy piersi.

- Następnym razem przypomnij, bym przywiązał ci ręce do łóżka, moja ty wiercipięto. Podobało ci się? - Zmienił pozycję, nie pozostawiając złudzeń, co zamierza.

- Ashe?

- Spokojnie, Nevo. Spodoba ci się, wierz mi...

W tej kwestii ufała mu bezgranicznie, bo już przedtem udowadniał, że dotrzymuje słowa. Zniżył głowę ku najskrytszej części jej ciała i wkrótce krzyczała z rozkoszy.

Odczekał chwilę, ułożył się w wygodnej pozycji i wniknął w nią, by rozkoszy mogli doznać oboje.

Noc poślubna ledwo się zaczęła, a oni początek, dobry początek, mieli za sobą, chociaż słońce jeszcze całkiem nie zaszło.

Chlebem i serem raczyli się godzinę później na leżance o podwójnej szerokości. Ashe napełnił winem kieliszek Genevry.

- Czas na toast. Zdrowie mojej żony, która sprawiła, że jestem dzisiaj najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi, a w nadchodzących latach uczyni mnie jeszcze szczęśliwszym.

Toast był krótki, ale doskonały. Genevra wzruszyła się i pomyślała, że będzie łatwo kochać tego mężczyznę, łatwo, ale i niebezpiecznie. Odległość pomiędzy cielesnym zaspokojeniem a miłością nie sprawiała teraz wrażenia tak wielkiej jak dawniej. Jeśli nie będzie ostrożna,

zakocha się. Ten niepoprawny uwodziciel okazał się w głębi serca także dobrym człowiekiem. Obawiała się, że któregoś dnia się obudzi i stwierdzi, że jej serce należy do niego... bez jej zgody.

Jedno było jednak pewne: jeśli coś nie uda się w ich małżeństwie, nie będzie to dotyczyło sypialni, gdzie będą sobie wzajemnie dostarczali jednakowej przyjemności. Na pewno miało to jakąś wartość. Wiele małżeństw zaczyna nawet bez tego.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Ashe oparł się o kamienną balustradę tarasu. Rozkoszował się nieoczekiwanie ciepłym dniem i rzadko widywaną sceną, którą miał przed oczami. Słońce przygrzewało mocno, jakby chciało przygotować ludzi na przedwczesne nadejście lata, a Genevra zdążyła wrócić do domu z wioski wcześniej, niż zapowiadała. Siedziała z ciotkami w świeżo ukończonym kamiennym patiu, pogrążona w lekturze książki, podczas gdy one zawzięcie szydełkowały. Scena tchnęła sielskim spokojem i takie właśnie widoki wyobrażał sobie Ashe, gdy decydował się na budowę patia.

Chętnie przyznałby, że życie w małżeństwie okazało się tak złe, jak to sobie wcześniej wyobrażał, gdyby było to prawdą. Wszystko jednak układało się dobrze. Genevra gładko weszła w obowiązki pani domu i Ashe rozumiał teraz, jak pomocna musiała być ciotkom w czasie ostatniej zimy. Zaczęła od zatrudnienia służby. W ciągu tygodnia w Bedevere zaroilo się od kamerdynerów, kucharek i pokojowych. Jak za jego dzieciństwa lokaje biegali z rozkazami, pokojówki polerowały poręcze, stajenni sprząтали stajnie, a ogrodnicy gracowali alejki w parku.

Nie żałowała też pieniędzy. Natychmiast przekazała znaczną kwotę na utrzymanie Bedevere, uregulowanie zaległych rachunków i zaopatrzenie dzierżawców w materiały niezbędne do rozpoczęcia wiosennych prac na farmach. Ashe zlecił kolejne prace w parku i przystąpił do zakupu koni do dworskich stajni.

Po chudych latach nastaly dla Bedevere lepsze czasy. Nie tylko zresztą dla Bedevere. Ashe od lat nie miał regularnych dochodów, żył dzięki swojej reputacji. Utrzymanie mieszkania na Jermyn Street i odpowiedniej garderoby to prawdziwa walka o przetrwanie. Teraz dzięki Genevrze pieniądze nie stanowiły problemu, dowody jej hojności szybko stały się widoczne niemal na każdym kroku. Niestety, ją samą widywał znacznie rzadziej.

Ponieważ nie wyjechali w podróż poślubną, która opóźniłaby zaprowadzenie w domu nowych porządków, prawie natychmiast wpadli w rytm codzienności. Spotykali się przy śniadaniu i lekturze gazety. Następnie omawiali sprawy związane z zarządzaniem posiadłością, w których Genevra zorientowała się błyskawicznie. Sama miała zawsze przygotowaną listę spraw, właśnie załatwianych lub które wymagały załatwienia w najbliższym czasie, jak uporządkowanie strychu czy zamówienie nowych zasłon i firan do okien.

Trzy dni w tygodniu spędzała w Seaton Hall, gdzie nadzorowała prace wykończeniowe, i w tym czasie aktywność w Bedevere słabła. Dwa dni w tygodniu spędzała w wiosce, pomagając pastorowi Browne'owi w organizowaniu pomocy na rzecz potrzebujących. Stała się wzorową żoną lorda, aktywną i skuteczną, prowadzącą dom, wspierającą okolicznych wieśniaków i rzemieślników. A wszystko po to, by Ashe mógł skoncentrować się na pozostałych obowiązkach.

A tych nie brakowało. Nie tylko ona miała wypełnioną długą listę zadań. Ashe spędził dużo czasu na dyskusjach z farmerami na temat metod zwiększenia plonów, był bowiem przeświadczony, że w ostatnich latach były mizerne.

W ten sposób chciał wytłumaczyć słabą kondycję majątku. Ale jak się okazało, zbiory były zupełnie wystarczające. Wielu dzierżawców narzekało za to na niedostatek odpowiedniego sprzętu i należytej dbałości o ziemię. W wyniku nienaprawienia uszkodzonego płotu bydło stratało zasiewy zboża. Z braku dbałości o stan grobli woda z rowu odwadniającego wylała na pole i rosnące tam rośliny wygniły.

Wyglądało to na przemyślane działanie. Ktoś po cichu niszczył gospodarkę Bedevere. Pierwsze podejrzenie padło na Henry'ego, ale Ashe nie mógł mu niczego udowodnić. Jeszcze nie teraz.

Mimo przestudiowania ksiąg rachunkowych, wciąż nie potrafił rozwiązać zagadki finansowej zapaszi, jaka dotknęła majątek. Prace polowe były sabotowane, a kufry opróżniono z gotówki.

Ale kto za tym stał? Jeśli Henry, to dlaczego? Dlaczego miałby to robić? Ashe był przekonany, że odpowiedź kryje się w rachunkach, ale nie potrafił jej znaleźć.

Każdego wieczoru wracał do domu zmęczony i sfrustrowany, spragniony żony i tych kilku godzin spokoju, jaki dawała jej bliskość. W nocy miał ją tylko dla siebie, ale rano znowu mu się wymykała.

Znał wielu mężczyzn, którzy nie narzekaliby na taki układ. Trzy miesiące temu byłby jednym z nich. Trzy miesiące temu jednak był innym człowiekiem. Noce spędzał na hulankach, rzadko kiedy dwa razy z rzędu z tą samą kobietą. Jego los zależał od rozdania kart, od toru kuli bilardowej lub od zdobycia właściwego zaproszenia.

Nowy Ashe martwił się o wiosenne prace polowe, o uporządkowanie parku otaczającego jego dom i o swoją nieobecna żonę. Starzy znajomi w Londynie nie poznaliby go. On sam siebie nie poznawał.

Genevra uniosła wzrok znad książki. Dostrzegła go. Wyglądała prześlicznie w niebieskiej sukni ubranej białą koronką i w słomkowym kapeluszu. Zachęciła go gestem, by do nich dołączył. Ashe ruszył w stronę patia. Jedyne zarzut, jaki miał wobec żony, to taki, że powoli, ale bez ratunku, zakochiwał się w niej. Mimo że obiecywał sobie, że na to sobie nie pozwoli. Mógł ją szanować, mógł podziwiać, mógł zachwycać się jej urodą, ale nic ponadto.

Niestety, nie udało się. Do tej pory pożądanie, jakie w nim wzbudzała, powinno zacząć wygasać, jak to bywało dawniej. Tymczasem on liczył godziny do wieczoru, kiedy ona będzie wyłącznie jego.

Szedł wpatrzony w nią jak zaczarowany. Genevra zauważyła to i zadrżała z radości. Schylił się i pocałował ją w policzek, niewinnie i inaczej niż wieczorem, gdy przeobrażał się w stęsknionego kochanka.

- Jak wam się podoba patio, cioteczki? - Ashe usadowił się na kamiennej ławce obok żony, dotykając udem jej uda. - Niedługo zaczną kwitnąć róże, zapach będzie oszałamiający.

Pogawędził przyzwoicie długo, po czym wstał, chwytając Genevrę za rękę.

- Ciocie wybaczą, chciałbym w to piękne popołudnie pospacerować z żoną po parku. Może przejdziemy się nad strumień, moja droga?

Ciotki uśmiechnęły się jedna do drugiej i Genevra wiedziała, że mu nie uwierzyły. Zaczzerwieniła się. Kochane staruszki były romantyczkami w głębi serca. Genevra dobrze wiedziała, w jakim kierunku biegają ich domysły.

- Twoje ciotki pomyślały, że wykradasz mnie na popołudniową schadzke - powiedziała, gdy oddalili się na tyle, by starsze panie nie mogły usłyszeć.

- I mają rację! - roześmiał się Ashe, ani trochę niezawstydzony, że jego intencje były tak czytelne.

Genevra to w nim lubiła. Nie tłumaczył się z tego, co robił ani czego pragnął. A jak na razie, pragnął jej.

Nie wiadomo, jak długo to jeszcze potrwa. Było zbyt dobrze, by to trwało wiecznie. Czasami nawet zapominała, że jej pieniądze postawiły na nogi Bedevere i że trzymała w rękach klucz do jego pomyślnej przyszłości. Bez niej byłby nikim.

Och, nie! - upomniała się. Ashe Bedevere nigdy nie będzie nikim, a teraz należy tylko do niej.

Postanowiła jednak zabezpieczyć się na czas, gdy nie będzie tak bardzo potrzebował pieniędzy albo znudzi się nią i zacznie się rozglądać za innymi kobietami. Hulaka jak Ashe, nie wyznaje monogamii. Philip już po dwóch miesiącach miał kochankę. Na wsi może to zająć Ashe'owi dłużej, ale to tylko kwestia czasu. Genevra starała się wziąć na siebie jak najwięcej obowiązków, by kiedy do tego dojdzie, nie mieć głowy do zamartwiania się.

- Co się stało, Nevo? Dlaczego tak spochmurniałś? - zapytał, wyciągając do niej rękę, by pomóc ominąć leżące na ścieżce kamienie.

- Nic. - Potrząsnęła głową, a żeby odwrócić jego uwagę, zapytała: - Jak ci idzie z księgami rachunkowymi? Zrobiłeś jakieś postępy? - Wiedziała, że bezskutecznie ślęczał nad finansami majątku, chcąc dociec, gdzie tkwiło źródło niepowodzeń. Była to jedyna dziedzina, o której nic nie wiedziała. Kiedy poznała ciotki latem ubiegłego roku, zło już się dokonało.

- Nie chcę o tym myśleć w tak pięknym dniu jak dzisiejszy - odpowiedział. - To podejrzana sprawa. Jak odkryję, co się stało i kto jest winien, będę miał obowiązek oddać sprawę do sądu.

- Sądzisz, że winowajcą jest ktoś inny niż Henry? - Spojrzała na niego uważnie.

- Mógł to być również Aleks. Nikt nie może jednak oczekiwać, że w tych okolicznościach oskarżałbym brata.

- Pytałeś Aleksa? Chybaby ci powiedział. Wie przecież, że nie chciałbyś go skrzywdzić.

- Nie pytałem. Stchórzyłem, Nevo. Nie chciałem prowokować nawrotu jego choroby. Tak się cieszę, że jest z nami i lepiej się czuje. Mam nadzieję, że tak będzie zawsze.

Genevra uśmiechnęła się. Po raz pierwszy od ślubu rozmawiali tak szczerze.

- Chciałabym ci pomóc. Chętnie razem z tobą zajrzę do tych ksiąg, jeśli Aleks nie może. Kto wie, może o czymś sobie przypomnę.

- Masz tyle innych obowiązków. Nie chcę ci zawracać głowy. - Znowu się jej wymykał, Genevra czuła to.

Chwila bliskości ulotniła się.

- Jestem twoją żoną. Pozwól sobie pomóc. Chcę ci pomóc - protestowała.

- Dam sobie radę - uciał, kończąc temat.

Jak śmiał tak ją potraktować! - pomyślała i westchnęła gniewnie.

- Jakież wiadomości o Henrym? - zapytała, gdy udało się jej ponownie opanować. Może uda się choć częściowo uratować atmosferę.

- Prawdopodobnie zaszył się na swojej farmie.

- I sądzisz, że tam zostanie?

- Jeśli pytasz, czy to koniec naszych zmartwień, odpowiedź brzmi: możliwe, że tak. Nie masz powodów do obaw. Jesteś bezpieczna. Jeśli ktoś mu zawadza, to wyłącznie ja.

To była kropla, która przelała czarę goryczy. Arogancja tego człowieka nie знаła granic.

- I jesteś z tego powodu zadowolony, prawda? Bo wszystko jest na twoich barkach?! I reszta z nas nie powinna się wtrącać, tak?! - zauważyła z goryczą.

- Nie chcę przysparzać sobie zmartwień i bez powodu nikogo narażać - odpowiedział zwyczajnie. - O, widać już strumień. Latem całe dni bawiliśmy się tu z Alekssem.

Genevra nie dała się zwieść.

- Nie zmieniaj tematu. Nie chcę, byś sam dźwigał cały ciężar. Chcę być dla ciebie kimś więcej niż tylko twoim bankierem, Ashe.

Zatrzymał się, jakby otrzymał policzek. Wbił wzrok w przestrzeń przed sobą.

- Nigdy nie traktowałem ciebie jak swojego bankiera.

- Owszem, właśnie mnie tak traktujesz. - Odwróciła się, by nie zauważył łez napływających jej do oczu.

Ashe chwycił ją za ramię.

- Genevro, bądź sprawiedliwa. Ani razu...

Wyrwała mu się.

- Ani razu? Zawsze, Ashe! Od wszystkiego mnie odcinasz. Masz trudności z rachunkami, ale nie pozwolisz sobie pomóc! Nigdy nie mówisz mi, o czym myślisz. Nie wiem, co poróżniło cię z ojcem, nie wiem, dlaczego przez tyle lat nie pokazywałeś się w domu. Nic nie wiem! Kochasz się ze mną w nocy, a rano dajesz mi do podpisania rachunki i spodziewasz się, że to mi wystarczy. Otóż nie wystarczy!

Usiadł na wielkim kamieniu i westchnął ponuro.

- Przepraszam - zaczęła, ale Ashe uciszył ją ręką.

- Za co przepraszasz? Za prawdę? To prawda, Nevo. Ale nie mogę dać ci więcej. Nie teraz.

Pewnie nigdy, pomyślała Genevra i jedyne, co może zrobić, to pogodzić się z tym. Nie kochał jej i niepotrzebnie zmusiła go, by powiedział tak wiele. To tylko pogorszyło, a nie poprawiło sytuację. Jeśli ktoś twierdzi, że szczerść jest najlepszą polityką, nigdy nie kochał bez wzajemności.

Genevra usiadła obok Ashe'a. Postanowiła sprawić, by ta niemiła rozmowa została zapomniana.

- Więc ty i Aleks przychodziliście tu jako chłopcy? - Spojrzała w górę na wiszący im nad głowami gruby konar drzewa. - Brakuje tu huśtawki. Idealne miejsce.

Ashe rzucił jej smutne spojrzenie.

- To prawda, i była tu huśtawka. Jak się lepiej przyjrzyysz, to zauważysz resztki liny wśród liści.

Podążyła wzrokiem za jego palcem.

- I co się z nią stało?

- Sprawka Henry'ego. Zawsze płał nam figle, mnie i Aleksowi. On to nazywał figlami, nie my. Z początku były to złośliwe docinki, ale potem jego wybryki stawały się coraz dokuczliwsze. Myślę, że ten był najgorszy. Zabawa polegała na tym, żeby zeskakiwać z huśtawki do wody, gdy siedzący znajdował się nad środkiem strumienia. Latem strumień był wąski i płytki przy brzegach. Jeśli zeskoczyłoby się za wcześnie, spadłoby się na kamienie. I o to Henry'emu chodziło, gdy podcinał linę. - Teraz nie widać kamieni - wyjaśnił Ashe, gdy zauważył, że Genevra popatrzyła na brzeg. - Zimą i wiosną strumień jest pełny wody.

- Czy komuś coś się stało? - zapytała.

- Jednemu z naszych kuzynów. Złamał nogę i od tamtej pory kuleje. Przez to nie dostał się do wojska, z którym wiązał nadzieję na karierę. Był młodszym synem w rodzinie i zamierzał kupić patent oficerski w kawalerii.

- Okropne. Mam nadzieję, że Henry został należycie ukarany?

- Nie mogliśmy dowieść jego winy. Liny przecierają się, jeśli są zbutwiałe od wilgoci. Henry nigdy nie dał się złapać.

- Może i teraz nie znajdziesz dowodów przeciwko niemu. Może lepiej dać spokój i zacząć myśleć wyłącznie o jutrze.

- A może, jeśli tak postąpię, historia się powtórzy. Nie chcę ryzykować, Nevo. Muszę coś znaleźć. Tym razem Henry mi się nie wywinie. Zrozum, on nie przestanie knuć. Im mniej

wiesz, tym jesteś bezpieczniejsza. Jeśli doprowadził Bedevere do ruiny i będzie podejrzewał, że ty wiesz coś, co może mu zaszkodzić...

Więc trzymał ją z dala od ksiąg rachunkowych dla jej bezpieczeństwa, zastanowiła się i nie pozwoliła mu dokończyć, kładąc na jego ustach palec.

- Jeśli sprowadziłeś mnie tutaj, żeby mnie uwieść, radzę, bierz się do dzieła, żebyś nie rozczarował ciotek.

TLR

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Następnego dnia od rana padało, żeby ludzie nie zapomnieli, że do lata jeszcze daleko. Pogoda zatrzymała wszystkich w domu, co odpowiadało Ashe'owi. Nadszedł czas, by uporać się z księgami rachunkowymi. Ostre słowa Genevry nad strumieniem dały mu do myślenia. Samodzielnie nie zbliżył się nawet do rozwiązania zagadki, gdzie zniknęły pieniądze. Stawało się jasne, że dopóki sprawa ta nie zostanie wyjaśniona, dopóty on nie znajdzie spokoju i nie poczuje się w Bedevere jak we własnym domu.

Przy śniadaniu Ashe zwrócił się o pomoc do Aleksa i Genevry, za co został obdarowany przez żonę pełnym uznania spojrzeniem. Cała trójka przeszła do gabinetu, przygotowana na długi dzień pracy. Ashe zajął miejsce za wielkim biurkiem, podczas gdy Aleks z Genevrą usadowili się naprzeciw siebie przy niskim stoliku przy kominku.

- Jesteś pewny, że tego chcesz, Aleks? - zapytał po raz kolejny brata, zanim zaczęli.

- Tak. Dobrze będzie dowiedzieć się, czy to ja ponoszę winę, czy to ktoś inny wykorzystał sytuację i użył mnie jako kozła ofiarnego - odpowiedział z przekonaniem.

Ashe był pełen podziwu dla odwagi brata. Aleks nigdy nie zrzucił z siebie odpowiedzialności i nie pragnął uniknąć jej teraz.

- Na razie wiemy tyle, że ktoś nonszalancko obchodził się z gospodarowaniem majątkiem. Z zapisów w księgach rachunkowych wynika, że wyprzedawano go po kawałku, zaniżając rzeczywistą wartość. Musimy przejrzeć wszystkie dokumenty dotyczące tych transakcji. Dowiemy się, kim byli nabywcy, a może nawet ile zapłacili. Chociaż, jeśli robił to Henry i jeśli był sprytny, to nie spodziewam się poznać prawdziwych kwot... Mógł prowadzić podwójną księgowość: inną cenę umieszczał na rachunku dla nabywcy, a inną wprowadzał do ksiąg w Bedevere. Mimo wszystko, warto się tym rachunkom przyjrzeć, bo przynajmniej poznamy nazwiska nabywców i będziemy mogli się z nimi skontaktować.

Przeglądanie dokumentów było zadaniem przerażającym. Papiery wypełniały nieprzeliczone pudła i posuwali się do przodu bardzo powoli. Praca przypominała szukanie igły w stogu siana. Wśród rachunków za dostawy artykułów codziennego użytku i pokwitowań z tytułu regularnych płatności poszukiwali podejrzanych transakcji.

Ashe tracił nadzieję i już zaczynał wątpić w winę kuzyna, gdy wpadło mu w rękę pewne pokwitowanie dotyczące sprzedaży koni. Przeczytał je dwa razy, żeby się upewnić, czy go oczy

nie mylą. Spojrzał na spód, żeby się dowiedzieć, kto je podpisał, ale nie było to nazwisko osoby, której podpisu się spodziewał.

- Aleksie, spójrz na to. - Podał papier bratu.

- Wystawione w listopadzie. Ojcu pogorszyło się właśnie w listopadzie i Henry'emu zależało, żeby mnie wywieźć z domu. To był bardzo trudny okres. Źle się czułem i niewiele pamiętam, co się wtedy działo.

Ashe zauważył, że uczynił to wyznanie z wielkim trudem. Poprosił Genevrę, by obejrzała pokwitowanie, chcąc oszczędzić cierpienia Aleksowi.

- Wasz ojciec nie mógł tego podpisać. Chorował i nie miał głowy do żadnych interesów. Poza tym już wtedy nie w pełni władał prawą ręką. Nie złożyłby tak czytelnego podpisu.

Jeszcze raz przyjrzała się dacie.

- Aleksie, ciebie nie było wówczas w domu. Z całą pewnością ze sprzedażą koni nie miał nic wspólnego.

To będzie całkiem łatwe do udowodnienia, pomyślał Ashe. W dokumentach doktora Lawrence'a musiała być data przyjęcia Aleksa do zakładu. Wyłaniała się jednak inna kwestia.

- Jak Henry płacił doktorowi Lawrence'owi? - zapytał. - W księgach nie ma żadnego zapisu na ten temat, zresztą nie natknąłem się na żaden rachunek wystawiony przez doktora, a przecież Lawrence odpowiedział twierdząco na moje pytanie, czy był opłacany przez pana Benningtona.

- Nigdy o tym nie było mowy - stwierdziła.

Ashe zaczął myśleć na głos, bębniąc palcami o powierzchnię biurka.

- Henry nie ma takich pieniędzy. Osiąga całkiem przyzwoity dochód, ale nie jest typem filantropa. Nie odmawiałby sobie żadnych przyjemności tylko po to, by opłacić doktora Lawrence'a. Prawdę powiedziawszy, wszystko to nie pasuje do Henry'ego. Jest to zbyt dokładnie zaplanowane.

Pokwitowanie za konie potwierdzało, że albo nabywca dostał do zapłacenia rachunek na inną kwotę, albo konie zostały sprzedane znacznie poniżej ich wartości. Pozostaje kwestia podpisu, pomyślał, kiedy nagle coś sobie przypomniał.

Testament!

Był spisany później niż w listopadzie. Oryginał przechowywał Marsbury, ale Ashe miał swoją kopię. Sięgnął do szuflady.

- Popatrzcie na to - rozwinął dokument przed Alekssem i Genevra. - Podpis ojca jest prawie nieczytelny, właściwie jak gryzmoł.

Ashe postanowił napisać listy do nabywców z uprzejmą prośbą o zweryfikowanie kwot, jakie zapłacili za zakupione rzeczy, choć nie liczył, że dostanie odpowiedzi od wszystkich. Wciąż jednak bez odpowiedzi pozostawała najważniejsza kwestia: dlaczego komuś zależało na doprowadzeniu majątku do bankructwa?

Zwłaszcza że tym kimś był Henry, który miał nadzieję przejąć majątek.

Ashe uporał się z korespondencją dopiero późnym popołudniem. Przez cały dzień męczyła go wciąż jedna i ta sama myśl.

- Czas zastanowić się nad ewentualnością, że Henry nie działa sam.

- A z kim? - podjął myśl Aleks.

- Nie wiem. Ale to może być ktoś, kto opłaca doktora Lawrence'a. Dlatego nie ma żadnych śladów płatności.

- Nie powinniśmy zajmować się wyłącznie pokwitowaniami - wtrąciła Genevra. - Pokwitowania to czubek góry lodowej. Sama wyprzedaż inwentarza nie doprowadziłaby do bankructwa majątku. Na upadek pracowano zapewne przez dobrych kilka lat. Nie wiemy, gdzie podziewał się przychód z czynszów dzierżawnych i ze sprzedaży płodów rolnych.

Ashe pokiwał głową. Dzisiaj udało im się sięgnąć tylko po najniżej wiszące owoce. Wstał.

- Wystarczy na dzisiaj. Pomyślcie, co jeszcze warto by sprawdzić.

Teraz musiał zostać sam. Za oknem ciągle padało i spacer był wykluczony, więc przeszedł do salonu muzycznego i usiadł przy fortepianie. Czuł się emocjonalnie wyczerpany. Nie przypuszczał, że przeglądanie pokwitowań i rachunków tak na niego wpłynie.

Bardzo się wzruszył, widząc podpis ojca na testamencie i słuchając Genevry, opowiadającej, jak jego ojciec niedołęźniał. Jakim kruchym stworzeniem jest człowiek! Podobny los będzie udziałem wszystkich.

Położył dłonie na klawiaturze fortepianu i zagrał akord. Tamtego wieczoru w mauzoleum pogodził się ze śmiercią ojca, ale nie pogodził się z umieraniem. A to dwie zupełnie inne rzeczy.

Naraz usłyszał szelest za plecami, poczuł miękkie dłonie na barkach i otoczył go zapach trawy cytrynowej.

- Umierał samotnie. Obaj synowie opuścili go - powiedział w przestrzeń.

- Nie całkiem samotnie - odparła Genevra. - Były przy nim siostra i dwie szwagierki.

- I ty.

- I ja.

Była skromna, ale ojciec musiał ją bardzo polubić. Wiązał z nią wielkie nadzieje na uratowanie majątku. Ashe wiedział, że jego ojciec rzadko się mylił, chociaż za młodu nie potrafił przyznać, że ojciec miał rację praktycznie zawsze i nie popełnił błędu, wybierając Genevrę. Nie tylko dla Bedevere, ale także dla niego.

- Dziękuję, że pozwoliłeś nam sobie pomóc - szepnęła i odeszła.

Ashe odwrócił się i podążył za nią.

- Końcówka była bardzo zła? - zapytał.

Pomyślała, że nadszedł czas na rozmowę, którą chciała odbyć z nim pierwszego wieczoru w oranżerii, ale on nie był do niej gotowy.

- Podupadał na zdrowiu przez długie miesiące - zaczęła Genevra i oparła się o niego plecami. - Doktor twierdził, że w ostatnich trzech latach doznał kilku drobnych udarów. Po każdym z nich tracił częściowo władze umysłowe, ale potem je odzyskiwał i miewał lepsze dni. Końcówka była jednak tragiczna. Nie chodził, nie pisał, miał trudności z mówieniem.

- Nie potrafię wyobrazić go sobie w takim stanie.

- Więc nie próbuj. Zachowaj go w pamięci takim, jakim go najlepiej zapamiętałeś.

- Pamiętam ostatni dzień mojego pobytu w domu. Staliśmy w tym pokoju. Wyjeżdżałem do Włoch. Bagaże spakowane, powóz czekał. Nawet to okazało się powodem do kłótni. Nie podobało mu się, że wybierałem się starym kabrioletem. - Ashe mimo woli uśmiechnął się. Jego ojciec był dumny z osiągniętej pozycji społecznej, stale upominał synów, aby nie zapominali o swoim urodzeniu. - Wszedł do pokoju, a ja pomyślałem: „no nie, znowu to samo”, a on powiedział tylko: „pamiętaj, żebyś nie zachowywał się poniżej swojej godności”. Odebrałem to wtedy jako kolejny wyraz niezadowolenia z tego, co zamierzałem zrobić.

- A co zamierzałeś?

Ciało Genevry było ciepłe i działało kojąco. Ashe objął ją mocno w talii. Od lat z nikim o tym nie rozmawiał, ale teraz zapragnął wyznać wszystko.

- Chciałem zostać pianistą, odbyć studia w Wiedniu, a potem udać się do Włoch i poznać tajniki budowy fortepianów. Chciałem sam zbudować fortepian dla siebie.

Ashe przypomniał sobie niekończące się kłótnie na ten temat.

- Ale to nie była kariera godna syna mojego ojca. Syn hrabiego, nieważne, czy spadkobierca, czy nie, nie występuje na scenie i nie trzusi sobie ręką stolarką. Wychowywano mnie do kariery poza Bedevere, bo majątek miał należeć do Aleksa. Jednak były granice swobody wyboru tej kariery. Budowa fortepianów nie znalazła się na liście. Mogłem pójść do wojska albo stanąć za pulpitem kaznodziei, nie daj Boże.

Roześmiali się razem.

- Uważam, że mógłbyś być co najmniej bardzo popularnym pastorem. Kobiety tłoczyłyby się w ławkach kościelnych. Miałbyś wielkie zasługi dla Kościoła w Anglii. Mimo wszystko, wyjechałeś? - spoważniała Genevra.

- Tak. Odbywaliśmy tę wielką podróż we czterech. Najpierw udaliśmy się do Wiednia, gdzie wynajęliśmy pokoje na Lanterngasse. Podjąłem indywidualne studia pianistyczne, ale byłem młody, zarozumiały i niestety zanadto utalentowany. Dość powiedzieć, że znaleźli się tacy, którzy mi pozazdrościli. Pewnej nocy, niedługo po moim występie w Schönbrunn, zostałem napadnięty po koncercie przez ulicznych rzezimieszków. Zostali oczywiście opłaceni przez tych, którzy uważali, że wspinam się na szczyt za szybko. Jedno pociągnięcie odłamkiem szkła zniweczyło wszelkie nadzieje na wymarzoną karierę.

Nawet teraz, po latach, pamiętał ból w rozciętej dłoni i bezsilność, jaką czuł owej nocy sam w obliczu pięciu napastników.

- To ta blizna? - Poglaskała go po białej linii przecinającej wewnętrzną stronę dłoni. - Nie zauważyłam jej przedtem. Dobrze się zagoiła.

- Dzięki pewnej kobiecie w Wenecji. Natychmiast po tym zdarzeniu opuściliśmy Wiedeń, ale ja już w podróży złapałem infekcję i miałem wysoką gorączkę. Musieliśmy się zatrzymać w Wenecji, bo potrzebowałem pomocy. Ona mnie uratowała.

Ashe skrzywił się. Dalsza część historii prawdopodobnie nie nadawała się dla uszu żony. Jego towarzysze ruszyli w dalszą podróż po Włoszech, a on został na dłużej u niej, próbując uratować, co się da ze swoich marzeń. Genevra nie chciała zresztą słuchać o signorze de Luca i był jej za to wdzięczny.

- Bardzo bolało? Chyba musiało boleć. Zauważyłam, że od czasu do czasu rozprostowujesz palce, i nie wiedziałam dlaczego.

- Tylko wtedy, gdy sforsuję dłoń. Cóż, chyba nie zbuduję już żadnego fortepianu.

- A jakie fortepiany chciałbyś budować?

- Przestałem o tym myśleć. - Zaśmiał się. - Miałem zamiar budować potężne fortepiany, których dźwięki, mieszczące się w zakresie pełnych ośmiu oktaw, roznosiłyby sale koncertowe. Po chorobie i okaleczeniu zabrakło mi zapалу do kontynuowania studiów. Dołączyłem do przyjaciół w podróż po Włoszech, a potem razem wróciliśmy do Anglii.

- Ale nie do Bedevere?

- Nie. Duma dwudziestotrzyletniego mężczyzny okazała się przeszkodą nie do pokonania.

W tym momencie zaczynała się najtrudniejsza część jego historii. Wstydził się niepowodzenia i dlatego bał się pokazać ojcu. W miarę upływu lat coraz trudniej było przyznać się do porażki. Od czasu do czasu widywał Aleksa, gdy ten przyjeżdżał do Londynu. Ojca nie ujrzał już nigdy.

- Ojciec wybaczyłby ci.

- Że wyjechałem? Zapewne. Ale że opuściłem Bedevere i jego? Że zachowywałem się poniżej swojej godności?

Ashe wcale nie miał takiej pewności. Sam uważał, że nie zasługiwał na wybaczenie. Dotknął ustami karku Genevry.

- Nigdy nikomu o tym nie opowiadałem, nawet Aleksowi.

Odwróciła się i zarzuciła mu ręce na szyję.

- Cieszę się, że jestem pierwsza. - Pocałowała go w usta i jego ciało zareagowało natychmiast.

- Wiesz, czego jeszcze nigdy nie robiłem? - szepnął.

- Trudno sobie wyobrazić. - Jej szare oczy błyszczały przekorą.

Śmiało sięgnęła dłonią do jego spodni.

- Uważaj, Nevo, bo nie zdążę donieść cię do fortepianu...

Pochłonęło go jedno jedyne pragnienie. Chciał zagłębić się w niej, poczuć jej nogi owinięte ciasno wokół swoich bioder.

Jej pieniądze uratowały Bedevere, a ona uratowała jego.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

- Upłynął cały miesiąc, a wy nic nie zrobiliście! - krzyknął zdenerwowany Henry, czując chwilowy przypływ odwagi.

Wszyscy członkowie kartelu zebrali się przy dużym stole rozstawionym na środku biblioteki Marcusa Trenta.

- Cierpliwości, Bennington - upomniał go Trent. - Jeśli nieszczęścia zaczną za szybko spadać na rodzinę Bedevere'ów, ludzie zapytają, dlaczego tak się dzieje.

- Im dłużej czekamy, tym większe szanse, że mój kuzyn weźmie się do przeglądania rachunków i zauważy, że coś nie gra. Wiem, że już zaczął węszyć.

Dzięki temu, że Genevra kompletowała służbę, dosyć łatwo było umieścić w majątku zaprzyjaźnionego człowieka. Ów szpieg doniósł, że Ashe przeczesywał księgi rachunkowe, po czym wysłał listy do osób, którym cokolwiek zostało sprzedane.

- Jeśli ograniczy się do pokwitowań, to nie masz powodów do zmartwienia. Odkryje jedynie, że nie masz głowy do interesów - skomentował Marcus lekceważącym tonem.

Henry kiwnął głową bez przekonania, ale odwaga, żeby się sprzeciwić Trentowi, opuściła go. Wyprzedawał inwentarz, bo chciał osłabić Bedevere. Nie zależało mu na cenach. Była to część planu doprowadzenia majątku do ruiny, żeby ten, kto będzie nim zarządzał, nie miał wyboru i rozpoczął wydobycie węgla ze złóż pod parkiem.

- A jeśli nie ograniczy się do rachunków, tylko zastanowi się, jak doszło do „strat” na „nietrafionych inwestycjach”?

Przecież Ashe w końcu i to zauważy. Większość pieniędzy wyprowadzono z Bedevere w ten sposób, a na dokumentach widniało nazwisko Aleksa. Poza sprawą Forsythe'a inne złe inwestycje nie istniały. Były przykrywką działań kartelu Trenta i w ten sposób fundusze Bedevere wykorzystywano do finansowania planów uruchomienia kopalni.

- Na żadnym z dokumentów nie ma twojego nazwiska - gładko argumentował Trent. - Na wszystkich widnieją podpisy młodego hrabiego.

- Złożone przeze mnie. Aleks jest teraz w domu... - Groźba wykrycia fałszerstwa wzrosła niepomiernie, ale Henry nie zdążył tego powiedzieć, bo wtrącił się Cunningham.

- Teraz, kiedy młody hrabia jest w domu, nie mamy nad nim kontroli. Doktor Lawrence nie może mu zaaplikować środka uspokajającego, gdy staje się zbyt pewny siebie.

To nie był cios poniżej pasa. Przecież to nie jego wina, że Ashe sprowadził brata do domu.

- Wszyscy zainwestowaliśmy w to przedsięwzięcie. Im dłużej zwlekamy, tym bardziej opóźniamy nasze zyski. Miesiąc temu postanowiliśmy poczynić zdecydowane kroki i nic nie zrobiliśmy. - Kilka głów pokiwało z aprobatą.

- Dobrze więc, oto moja propozycja - zgodził się Marcus Trent. - Postaramy się odkupić od hrabiego park za jego własne pieniądze.

- Na dole jest dwóch dżentelmenów, którzy pragną się widzieć z jaśnie panem - zakomunikował kamerdyner Gardener.

Ashe niechętnie uniósł głowę znad szachownicy. Rozgrywali z Alekssem partię, jak za dawnych lat.

- Byli umówieni? - Ashe nie przypominał sobie, by zapraszał kogoś na spotkanie. - Powiedzieli, w jakiej sprawie?

- Nie, proszę pana.

- Czy to naprawdę dżentelmeni, Gardener, czy tylko starasz się być uprzejmy?

- To biznesmeni - odpowiedział kamerdyner bez zmruczenia oka, ale musiał nie być najlepszego zdania o przybyłych.

Nie byli dżentelmenami, przybyli nieumówieni, nie mieli listu polecającego. Wyglądało to bardzo dziwnie.

- Zejdę zobaczyć się z nimi - zdecydował w końcu. Wstał i włożył wcześniej zdjęty żakiet. - Skończymy, gdy wrócę. Niczego nie dotykaj! Pamiętam, gdzie stoją moje pionki.

- Może zejdę z tobą?

- To chyba niekonieczne.

- Chyba nie. Nikt nie chce robić interesów z człowiekiem szalonym. - Roześmiał się, ale uwaga zabolęła Ashe'a.

- Nie o to chodzi. Myślałem o twoim bezpieczeństwie. Nie podobał mi się pomysł, abyśmy znaleźli się we dwóch w zamkniętym pomieszczeniu z obcymi, którzy przychodzą nieproszeni.

- I doktor twierdzi, że to ja cierpię na paranoję - zażartował Aleks. - Bardzo możliwe, że Henry się poddał i siedzi spokojnie na swojej farmie. Upłynął już miesiąc i nie słyszeliśmy o żadnej jego niegodziwości.

- Pozostanę w tej kwestii sceptyczny, drogi bracie. Gardener, proszę mi dać pięć minut, a potem wprowadzić gości do gabinetu.

Gardener miał rację. Nie byli dżentelmenami, chociaż bardzo się starali na takich wyglądać. Nie mówili w sposób charakterystyczny dla wyższych klas i brakowało im arystokratycznej wyniosłości. Sądząc po powierzchowności, na pewno byli bogaci i to musiało im wystarczyć za całą rekomendację.

- Panie Bedevere, dziękujemy, że zechciał pan nas przyjąć - zaczął gładko większy, ciemnowłosy mężczyzna. - Ja jestem Marcus Trent, a to mój wspólnik, Arthur Ellingson.

Ellingson rzucił łakome spojrzenie na karafki stojące na bocznym stoliku, ale Ashe udał, że niczego nie zauważył. Poprosił, żeby usiedli, poświęcił im swój czas, i to było wszystko, na co mogli liczyć.

- Panowie, nie mam zbyt dużo czasu, dlatego byłbym wdzięczny, gdybyście od razu przeszli do rzeczy. Co was sprowadza? - zachowywał się z rezerwą, aczkolwiek grzecznie.

- Być może przestanie się pan spieszyć po wysłuchaniu tego, co mamy do powiedzenia - powiedział ten, który przedstawił się jako Trent.

Ashe zmierzył go nieprzyjaznym wzrokiem.

- Wiemy z pewnych źródeł, że grunty Bedevere kryją bogate złoża węgla. Otóż owo złożo, gdyby w sposób właściwy przystąpić do jego eksploatacji, wypełniałoby pieniędzmi kieszenie przyszłych hrabiów na wiele generacji do przodu. Chcielibyśmy kupić prawa do eksploatacji złoża za poważną kwotę dwudziestu tysięcy funtów i zaproponować piętnaście procent od zysków po uruchomieniu wydobycia. To szczodra oferta.

- Jestem tego pewien, gdybym zdecydował się zmienić swoją posiadłość w kopalnię. - Ton Ashe'a był lodowaty. - Zapewniam jednak, że nie mam takiego zamiaru i nie wiem, skąd panowie mają informację o węglu na moich gruntach.

- Mamy mapy, proszę pana. - Ellingson podskoczył na krześle. - Proszę się nie martwić o prawdziwość tej informacji.

- To nie jest przedmiotem mojego zmartwienia. - Ashe wstał. - Do widzenia panom.

- Niech pan nie działa pochopnie. Może pan pożałować utraty takiej okazji.

- Czy to groźba, panie Trent?

- Umówmy się, że skontaktuje się pan ze mną, jeśli zmieni pan zdanie.

Albo zostanie do tego zmuszony, dopowiedział w myślach Ashe. Znał takich ludzi aż nadto dobrze.

- Nie zmienię.

Nie czekając dłużej, zadzwonił na Gardenera i poprosił, by wyprowadził gości. Nie chciał, żeby rozglądali się po domu dłużej niż to konieczne.

- Gardener! Gdzie jest pani Bedevere? Czy już wróciła do domu? - Ashe wiedział, że Genevra pojechała do wioski, by pomóc położnicy po urodzeniu dziecka.

- Jeszcze nie, proszę pana.

- Kiedy wróci, przyślij ją do mnie. - Ashe odetchnie z ulgą, dopiero gdy ujrzy Genevrę z powrotem w domu.

Wizyta niezapowiedzianych gości dała mu do myślenia. Informacja o złożach węgla mogłaby stanowić motyw dla Henry'ego do zrujnowania Bedevere, bowiem oferta eksploatacji węgla byłaby wybawieniem dla zrujnowanego majątku. Henry z pewnością by ją przyjął. Dwadzieścia tysięcy funtów to niezła sumka za usunięcie się z Bedevere i oddanie go górnikom, a ewentualne piętnaście procent zysków - godziwe „kieszonkowe”.

I tym właśnie różnił się od Henry'ego. Kuzyn widział tylko pieniądze, a Ashe chciał zadbać o dziedzictwo przodków. Nawet gdyby nie miał do dyspozycji pieniędzy Genevry, Ashe wiedział, że nie uległby pokusie. Staffordshire było terenem silnie uprzemysłowionym i działały tu liczne kopalnie. Widział brzydkie oblicze industrializacji i przedkładał uroki krajobrazu rolniczego nad fabryczną zabudowę.

Do gabinetu wtargnęła Genevra, z rozwianymi włosami wymykającymi się spod kapelusza i zaróżowionymi policzkami.

- Będziesz zadowolony, gdy ci powiem, że matka i dziecko czują się dobrze... O co chodzi, Ashe? - zatrzymała się nagle.

- Odwiedziło nas dzisiaj dwóch panów zainteresowanych wydobywaniem węgla w Bedevere.

- Henry?

- To się składa w logiczną całość. Oczywiście, odmówiłem im. Nie potrzebujemy ich pieniędzy.

- Ale oni nie zadowolą się twoją odmową - stwierdziła.

- Oczywiście, że nie. Jestem przekonany, że będziemy zachęceni do przemyślenia naszego stanowiska.

Ashe doskonale rozumiał, że wizyta, którą mu złożono, stanowiła ostrzeżenie i szansę, ostatnią szansę, podporządkowania się planom Henry'ego. Jeśli tego nie zrobi, czeka go zemsta.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Postanowili, że Henry napisze do Ashe'a z propozycją zgody, a żeby ją przypieczętować, poprosi o spotkanie przy mauzoleum. List będzie sugerował, że chce wyznać coś ważnego, tym bardziej że obawiali się, iż kuzyn może mieć już pewne przypuszczenia. Za długo ślęczał nad księgami rachunkowymi, by nie zacząć podejrzewać, że coś jest nie w porządku, nawet jeśli nie wie dokładnie co.

Dzisiaj przestanie to mieć znaczenie. Henry przyzna się do setki grzechów, a Bedevere nic z tym nie będzie mógł zrobić. Padnie martwy, zanim opuści mauzoleum. Płatny morderca zaczeka w krzakach na możliwość oddania celnego strzału i kula dosięgnie Ashe'a podczas rozmowy. Wtedy Trent z zimną krwią zabije mordercę i nikt nigdy nie dojdzie do tego, co się wydarzyło. W końcu nie szuka się ludzi, których wynajmuje się do mokrej roboty, a śmierć Ashe'a przedstawiają jako samobójstwo, wypadek z bronią, a może nawet zabójstwo dokonane przez jego szalonego brata. To ostatnie wytłumaczenie spodobało się Henry'emu najbardziej. Dałoby mu wymówkę do oddania Aleksa na powrót pod opiekę doktora Lawrence'a.

List został wysłany. W tej chwili powinien leżeć na stoliku w holu i czekać, aż Ashe go zauważy.

Za kilka godzin będzie po wszystkim, pomyślał Henry, i Bedevere będzie należało do mnie.

Znowu się spóźniał. Aleks ponownie spojrzął na zegarek i przeszedł się po holu. Właściwie wcale się nie denerwował. Tego popołudnia wybierali się razem na spacer, ale Ashe siedział na trawniku z Genevrą; korzystali z dobrej pogody. Kiedy Aleks popatrzył w tamtą stronę ponownie, już ich tam nie było. Noi dobrze, pomyślał. Jego niespokojny brat był w końcu szczęśliwy... I zakochany, chociaż sam nawet o tym nie wiedział. Wkrótce się o tym przekona i to napelniało go wielką radością. Ashe będzie szczęśliwy i to szczęście uczyni z niego oddanego ojca rodziny i wspaniałego gospodarza w Bedevere.

Aleks nigdy nie poruszał z bratem tego tematu i nie planował dopóty, dopóki nie stanie się to absolutnie konieczne. Był jednak przekonany, że nie pożyje długo. W zakładzie doktora Lawrence'a spotkał młodego lekarza, który tak ocenił jego stan. Lawrence nie zgadzał się z nim i zakazał wszelkich dyskusji na ten temat. Dla Aleksa miało ono jednak sens. Załamanie nerwowe było zapowiedzią czegoś poważniejszego. Depresji, melancholii, utraty kontaktu z otoczeniem. Młody lekarz twierdził, że to symptomy zaburzeń neurologicznych, a nie choroby

psychicznej. Aleks nie był wariatem i ta świadomość podtrzymywała go na duchu przez wszystkie miesiące, kiedy żył z dala od domu. Niestety, w najlepszym razie pozostawał mu rok.

Powoli czuł zbliżającą się śmierć, z dnia na dzień tracił siły. Były dni, kiedy myśli uciekały mu, zanim zdołał je sformułować, innym razem miał zaburzenia mowy, niekiedy nie mógł opanować drżenia rąk.

Czasem też, jak dzisiaj, czuł się doskonale i przyjmował to z prawdziwym błogosławieństwem. Starał się nie marnować takich dni. Od rana ciężko pracował, spisując wszystko, co miałby do powiedzenia Ashe'owi, gdy zawiedzie go bezpowrotnie pamięć i nie będzie mógł odpowiedzieć na pytania, które brat mu przypuszczalnie zechce zadać.

Przystanął przy stoliku pod ścianą. Na srebrnej tacy leżał list. Do Bedevere rzadko przysyłano zaproszenia, aczkolwiek Aleks nie wątpił, że to się wkrótce zmieni i majątek będzie znowu tętnił życiem, rozbrzmiewał gwarem rozmów i śmiechem dzieci, biegających po korytarzach i puszczających łódki w fontannie.

Aleks wziął do ręki list. Był zaadresowany do Ashe'a, ale nie było na nim stempla pocztowego świadczącego o miejscu nadania. Ktoś, kto go przysłał, mieszkał w najbliższej okolicy. Henry! Od dawna nie pokazywał się w Bedevere i zapewne chciał się skontaktować z Ashe'em.

Bez skrupułów rozpieczętował list i spojrzał na podpis. Dokładnie przeczytał, analizując linijka po linijce. Ten padalec coś knuje, pomyślał. Dlaczego chciał rozmawiać i co chciał wyznać? Wydawało się to mało prawdopodobne i zupełnie niepodobne do Henry'ego. On bowiem nie potrafił odczuwać skruchy.

Aleks starannie złożył list i odłożył go na tackę. Jakikolwiek był cel proponowanego spotkania, nie zapowiadało ono niczego dobrego. Zapewne jego wspólnicy zainteresowani wydobyciem węgla zaczynają się denerwować. Zapewne zagrozili, że zwrócą się przeciwko niemu, jeśli nie spełni złożonych im obietnic.

Nagle stanął jak rażony piorunem. Henry nie ma zamiaru nic mu wyznać, ma dostarczyć wspólnikom Ashe'a, bowiem jego śmierć rozwiąże spór o kontrolę nad posiadłością. Zamierzają go zabić.

Błyskawicznie podjął decyzję. Pójdzie zamiast brata. Henry nie chce jego śmierci, choć przezornie zaopatrzy się w broń. Wariat z pistoletem to groźne połączenie, a Henry zawsze był tchórzem.

- Brat jasnie pana poszedł na spacer sam.

Ashe przyjął do wiadomości skinieniem głowy informację kamerdynera. Od powrotu do Bedevere Aleks czuł się doskonale, jednak uporczywie prosili go, by samotnie nie wypuszczał się daleko od domu. To moja wina, pomyślał. Spóźnił się. Mieli wybrać się na spacer razem.

- Wiesz, w którym kierunku wyszedł? I czy dawno?

- Ashe, przeczytaj to! - Genevra podała mu złożony list. - Leżał rozpieczętowany na stole, sędzę jednak, że to wyjaśnia, dokąd udał się Aleks.

Przeczytał kartkę i zmiął ją w dłoni.

- Gardener, mój pistolet!

- Dla mnie też przynieś - odezwała się Genevra, a Gardener przyjął polecenie bez zmrużenia oka. - Idę z tobą. Jeśli Henry planuje coś niegodziwego, będziesz mnie potrzebował.

- Nie, Nevo. Jesteś potrzebna tutaj na wypadek, gdyby Aleks wrócił. - Ashe nie chciał użyć innego argumentu. Genevra powinna zostać w domu. Jeśli Henry planuje coś strasznego, a on nie wróci, będzie jedyną osobą mogącą poszukiwać sprawiedliwości.

Gardener zszedł ze schodów z pistoletami. Ashe spojrział na Genevrę. Jej pociemniałe szare oczy i spokojna twarz świadczyły o tym, że zrozumiała to, czego nie wypowiedział na głos.

- Bądź ostrożny - poprosiła i położyła mu dłoń na ramieniu.

Ashe poczuł się, jakby wybierał się na wojnę. Kiedy wszystko zdążyło przybrać taki okropny, złowieszczy obrót? - zastanowił się. Zła wola kuzyna objawiła się znacznie prędzej, niż ktoś mógłby się spodziewać po „leniwym” Henrym.

Koń pokonał drogę do mauzoleum w okamgnieniu. Ashe zsiadł w pewnej odległości od miejsca przeznaczenia. Jeśli Henry coś knuł, lepiej pojawić się niezauważenie, pomyślał. Pistolet trzymał dyskretnie w dłoni wzdłuż nogi. Jeśli jego domysły okazałyby się nieuzasadnione, a intencje Henry'ego szlachetne, wyglądałby głupio, przychodząc uzbrojony.

Ashe jednak bardzo szybko przekonał się, że podejrzania były słuszne. Na odsłoniętym terenie przed mauzoleum Aleks stał naprzeciwko kuzyna. Wyraźnie słyszał rozmowę.

- Jesteś zaskoczony, że to ja.

- Wiadomość nie była przeznaczona dla ciebie. - Henry wyglądał na zdenerwowanego. Rozglądał się na boki i przestępował z nogi na nogę.

Coś knuł. Ashe też się rozejrzył, zastanawiając się, dlaczego kuzyn jest taki niespokojny. Kogo ukrył w krzakach?

- Wiem - powiedział Aleks i zaczął okrążyć Henry'ego.

Zawsze wiedział, jak sobie z nim radzić. Patrząc na niego teraz, Ashe wrócił wspomnieniami do dzieciństwa, kiedy brat był jedyną osobą, która potrafiła doprowadzić do ukarania złośliwego krewniaka za jego okrutne „figle”.

- I dlatego się nią zainteresowałem! Co mógłbyś mieć do powiedzenia mojemu bratu w tym odludnym miejscu?

Aleks krążył wokół kuzyna jak kot wokół ofiary.

- Może zamierzałeś mu powiedzieć, że sfałszowałeś podpisy na pokwitowaniach? A może chciałeś powiedzieć, że sfałszowałeś mój podpis na dokumentach, na których podstawie przywłaszczyłeś, a następnie utopiłeś pieniądze w inwestycjach Forsythe'a?

- Jesteś wariatem, nikt ci nie uwierzy. Doktor Lawrence zaświadczy, że to objaw twojej paranoi. Mów, co chcesz, nic ci nie pomoże.

- Ani tobie. - Aleks uniósł rękę, w której miał broń, i wycelował w Henry'ego. - Obaj jesteśmy zgubieni. Jak się z tym czujesz?

Ashe patrzył zafascynowany. Brat po przyjeździe do domu wydawał się taki słaby, a dzisiaj na kogoś w pełni władz fizycznych i umysłowych, dokładnie tak, jak zapamiętał go z dawnych lat.

- Nie strzelisz - rzucił wyzwanie Henry, ale głos mu drżał, jakby nie wierzył w to, co mówił.

Ashe też nie wierzył. Postawa Aleksa nie pozostawiała żadnych wątpliwości.

- Naturalnie, że strzelę. Jestem przecież wariatem. Wariat z pistoletem jest przerażający, bo nieprzewidywalny. A może jestem całkiem zdrowy... To jeszcze bardziej przerażające! Możesz być pewny, że dobrze wiem, co robię. Dam ci szansę, Henry. Przyznasz się na piśmie do sfałszowania podpisów i wyrzekniesz się wszelkich prób przejęcia kontroli nad Bedevere...

- A może nie jesteś tutaj jedyną uzbrojoną osobą... Może w krzakach czeka ktoś gotowy w każdej chwili oddać strzał?

- Do mnie? Jestem parem. To zaplanowałeś dla Ashe'a? Że ktoś strzeli do niego z ukrycia, kiedy on przyjdzie spotkać się z tobą w dobrej wierze?

Ashe rozejrzał się. Musi znaleźć strzelca i rozbroić go jak najszybciej. Wtem zauważył jakiś ruch na skraju zarośli. Ostrożnie wycofał się w głąb parku, by zająć napastnika od tyłu.

Gdy po kilku sekundach niedoszły zabójca leżał nieprzytomny na ziemi, Ashe uznał, że czas ujawnić swoją obecność. Podniósł broń nieprzytomnego i wyszedł na odsłonięty teren.

- Twój człowiek został obezwładniony, Henry. Zająłem się tym osobiście. Żle o tobie świadczy, że szykowałeś mi taką niemiłą niespodziankę. Słuchaj, wyznanie winy, które zaproponował ci Aleks, wygląda na dobre rozwiązanie...

Henry był trupio blady. Jego misternie utkany plan legł w gruzach.

- Takie wyznanie to dla mnie wyrok śmierci. Wiesz, jaka jest kara za fałszerstwo.

- Ty też wiedziałeś, kiedy się go dopuszczałeś.

- To może wolisz, żebym teraz cię zastrzelił? - odezwał się Aleks.

Ashe zastanawiał się, czy brat to zrobi, ale wyglądało na to, że mówił śmiertelnie poważnie.

- On to zrobi, Henry. Chodźmy do domu i tam napiszesz swoje wyznanie.

Twarz Henry'ego rozjaśniło uczucie podobne do nadziei, jakby sobie nagle o czymś przypomniał.

- To może okazać się trudne.

- Dlaczego?

- Bo Bedevere właśnie płonie. Chyba już czujecie? Rzeczywiście, w powietrzu dawało się wyczuć zapach dymu.

- Jaśnie pani, jakiś człowiek chce panią widzieć. Czeka w holu. - Gardener odnalazł Genevrę w salonie muzycznym, gdzie czekała na Ashe'a.

- Kto taki? - Nie miała ochoty przyjmować gości ani silić się na uprzejmości w chwili, gdy niepokoiła się o męża.

- To jeden z tych zainteresowanych węglem, którzy wcześniej rozmawiali z lordem.

Genevra przesunęła palcem po gładkiej rękojeści pistoletu Ashe'a. Nie chciała martwić Gardenera swoimi domysłami, ale nie rozstawała się z pistoletem. Dzisiejsze popołudnie było dziwne.

Nagle pomyślała, że ten człowiek przyniósł wiadomość o Ashe'u, i zbiegła na dół, pistolet ukrywszy w fałdach sukni.

Mężczyzna nie spodobał się jej już na pierwszy rzut oka. Przedstawił się nazwiskiem Trent i twierdził, że jest człowiekiem interesów, choć nie wyglądał szacownie, mimo drogiego ubrania. Było w nim coś złowrogiego.

- Czego pan chce? - zapytała niegrzecznie.

Trent zachnął się na tak chłodne powitanie.

- Pani musi być panią Bedevere. Pan Bennington twierdził, że jest pani złoźnicą. Miał rację. Bennington zna się na kobietach... Mam interes do męża. Jest w domu?

- Pan wie, że go nie ma. Jest z Benningtonem, który prosił go listownie o spotkanie. Jestem przekonana, że pan o wszystkim wie.

- Jeśli poszedł do Benningtona, to jest już martwy!

Genevra ani drgnęła. Obiecała sobie, że nie okaże strachu, jaki ją ogarnął po tych słowach. Ten człowiek wypowiedział jej, żeby wytrącić ją z równowagi, tłumaczyła sobie. Nie da mu satysfakcji. Poza tym Henry nie zabiłby kuzyna, bo nie miał tyle odwagi.

- Wątpię. Bennington jest nieudacznikiem.

- Proszę się nie martwić. Henry nie musiał osobiście strzelać. Wynajęliśmy zawodowca. Ma pani rację... Bennington nie jest wystarczająco bezwzględny, by zabić z zimną krwią.

Odwaga Genevry stopniała. Czy Trent wiedział, że Aleks też poszedł na spotkanie z Henrym? Zawodowiec nie zawaha się zastrzelić obu przystojnych braci Bedevere'ów. Wyobraziła ich sobie leżących bez życia w mauzoleum, zabitych z zaskoczenia, bez cienia szansy na obronę. Wtedy przypomniała sobie, z jaką szybkością Ashe sięgnął do ukrytego w cholewie buta noża, kiedy wyczuł jej obecność w pobliżu mauzoleum, zanim uprzedziła go o swoim przyjsciu. Nie, jego nikt nie zaskoczy.

- Nie wierzę - powiedziała. - Mojego męża nie tak łatwo zabić.

- Jeśli ma pani rację, to przyjdzie i zdąży panią uratować. Jeśli się pani myli, to spotkacie się w zaświatach.

Uniósł rękę i na ten znak do holu weszło trzech nieznanomych.

- Ja zajmę się kobietą, ty podpal dom. Tylko skutecznie - krzyknął jeden do Trenta.

- Nie zrobicie tego! - zaprotestowała Genevra.

- Zapewniam panią, że zrobimy. - Trent zapalił zapalękę.

Genevra wyciągnęła ukryty w fałdach spódnicy pistolet i wymierzyła w Trenta. Nie spała ukochanego domu Ashe'a, dopóki ona żyje i oddycha!

- Mam pistolet.

- Ma pani tylko jeden strzał, a ja sto zapalęk. - Broń nie zrobiła na Trencie wrażenia. Mierzyli się wzrokiem. Genevra starała się, żeby zobaczył jej determinację i zrozumiał, że ona wystrzeli i z takiej odległości nie chybi.

- Nie zapali pan następnej!

- Zrobią to moi ludzie. Nie zastrzeli nas pani wszystkich.

- Tak się panu spieszy do śmierci? - próbowała go zastraszyć, ale jej determinacja nie na wiele się zdała.

- Wystarczy, szefie - odezwał się jeden z ludzi Trenta. - Ja też mam pistolet. Pozwól ją zastrzelić i będzie po kłopotach.

- Cunningham! - Trent odwrócił wzrok. - Zawsze masz dobre pomysły. Co pani na to, pani Bedevere? Jest pani gotowa umrzeć?

Po tych słowach wydarzenia potoczyły się w tempie błyskawicy. Ze szczytu schodów huknął strzał. Cunningham padł trafiony, a na jego piersi ukazała się czerwona plama krwi. Wtedy wystrzelił drugi kompan Trenta i stojący na schodach Gardener osunął się bez życia.

- Nie! - krzyknęła Genevra, zapominając o własnym pistolecie.

Wtedy Trent złapał ją za nadgarstek dłoni, w której go trzymała. Pistolet upadł na podłogę. Trent zaczął wlec opierającą się wszelkimi siłami Genevrę na górę i choć wrywała się, kopała, krzyczała, nikt nie przyszedł jej z pomocą. Służba naprawiała płoty wzdłuż drogi, ciotki, dzięki Bogu, pojechały do Audley, a kucharka miała wolne. Mogła liczyć tylko na Ashe'a i Aleksa, o ile ciągle żyli.

Zaciągnął ją do sypialni, zatrzasnął drzwi, a następnie skrępował ręce sznurem i przywiązał do słupka przy łóżku.

- Miejmy nadzieję, że Henry okazał się takim niedojdą, jak pani myśli, i mąż zaraz przybiegnie do domu! - Roześmiał się chrapliwie. - Ale ja będę na niego czekał na frontowych schodach i na pewno nie chybię.

Genevra napluła mu w twarz w geście bezsilności i rozpacz. Trent starł ślinę z policzka i pochylił się tuż nad jej twarzą. Owionął ją zapach czosnku.

Pocałował ją mocno w usta.

- Szkoda, że nie ma czasu na więcej. Nauczyłbym cię moresu, złośnico. Spokorniałabyś w moim łóżku!

Genevra oniemiała ze zgrozy.

- Zobaczymy, jak się zachowasz, gdy dym wedrze się do pokoju. Moje łóżko może okazać się doskonałym interesem w zamian za życie.

Wyszedł i zatrzasnął za sobą drzwi. W krótkiej chwili, kiedy były otwarte, do pokoju wdarł się dym z pomieszczeń na dole. Bedevere płonęło.

Zaczęła szarpać więzy krępujące dłonie, a kiedy to nie pomogło, spróbowała wyłamać słupkę łóżka. Bezskutecznie. Mocny mahoń, służący wielu generacjom Bedevere'ów, wytrzymał napór.

Dym zaczął wdzierać się do pokoju przez szparę pod drzwiami. Genevra spanikowała. Zaczęła się bać, że umrze, zanim zdąży powiedzieć Ashe'owi, jak bardzo go kocha.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Ashe zeskoczył z konia z pistoletem gotowym do strzału. Aleks siedział za jego plecami, tak jak w dzieciństwie, kiedy bawili się w Rycerzy Okrągłego Stołu i walczyli z wyimaginowanymi wrogami. Tym razem nie była to zabawa.

W wejściu do domu stał na czatach człowiek. Aleks, nic nie mówiąc, uniósł rękę i wystrzelił. Zbir padł bez życia. Dopiero wtedy Ashe dostrzegł, że leżący wypuścił z dłoni nóż. Gdyby Aleks nie zachował zimnej krwi, zginąłby na schodach domu, albowiem tamten zdążyłby rzucić nożem w jego stronę.

Usłyszeli kroki zza węgła. Ashe podniósł nóż i trafił nadbiegającego w ramię. Trafiony upadł na ziemię, więc nie tracąc czasu, postawił mu but na gardle.

- Gdzie pani Bedevere?

Napastnik charczał niezrozumiale, więc Ashe nacisnął mocniej, sięgając po własny nóż ukryty w cholewie. Widok noża wywołał spodziewany efekt.

- W domu, na piętrze - wychrypiał. - Ale już na pewno za późno.

- Ja się nim zajmę, Ashe - powiedział Aleks. - Ty wydostań Genevrę. Zaraz do ciebie dołączę.

Ashe bez chwili wahania wszedł do domu. Na podłodze w holu leżało czyjeś ciało. Ashe domyślił się, że jednego z tak zwanych przyjaciół Henry'ego. Dym gęstniał szybko. Z małego salonu na dole dobywały się płomienie. Czuł, że zajęły się zasłony w oknach. Sytuacja była skrajnie niebezpieczna, bo ogień rozszerzał się i lada moment mógł dotrzeć do pomieszczeń na górze

Na szczycie schodów Ashe natknął się na ciało kamerdynera Gardenera, który dostał postrzał prosto w serce. Kto strzelał do kamerdynera? - zastanowił się, czując narastającą w nim wściekłość. Ukląkł, szukając oznak życia u leżącego. To było wprost nie do pomyślenia! Jesz-

cze dwie godziny wcześniej Gardener wykonywał swoje obowiązki, a teraz leżał martwy w płonącym domu. Ashe pomyślał o żonie. Czy ona też odda za niego życie?

- Genevra! - krzyknął.

Jeśli była ranna, mogła nie móc odpowiedzieć. Zaczął otwierać drzwi wszystkich mijanych pokoi i w końcu ją znalazł. Leżała bez ruchu na ramie łóżka.

- Nie!

Podbiegł i sprawdził, czy oddycha.

- Nevo! - Potrząsnął nią.

Nie mógł pogodzić się z faktem, że się spóźnił.

- Nevo!

Przeciął sznur, którym była przywiązana do słupka, i ją posadził. Wydała cichy jęk.

Ashe schował nóż do cholewy buta i porwał żonę w ramiona. Po chwili rozejrzał się. Czas uciekał. Dym kłębił się na schodach i zagradzał jedyną drogę ucieczki.

Naraz ktoś zawołał go po imieniu.

- Tu jestem, Aleks! - odparł, kaszłąc. - Uciekaj! Schody nie wytrzymają długo.

W pobliżu coś zaskrzypiało i trzasnęło. Było jednak za późno, żeby zawrócić. Genevra ciążyła mu w ramionach. Przyciskał jej twarz do siebie, żeby ją chronić od dymu.

Wtedy ukazał się Aleks, który zlekceważył ostrzeżenie brata.

- Uciekniemy kuchennymi schodami. Tędy nie przejdziemy. Cały hol na dole stoi w ogniu. - Pchnął młodszego brata z powrotem na górę. Zdążyli wrócić na piętro, gdy schody runęły. Teraz już byli uwięzieni na piętrze. Aleks prowadził przez długi korytarz pewnie i bez strachu. Powietrze stawało się czystsze. Kuchenna klatka schodowa była wolna od ognia. Aleks przytrzymał bratu drzwi i przepuścił go przodem.

- Oszalałeś, że przyszedłeś.

Zbiegli na dół i wyszli do ogrodu warzywnego. Ashe położył Genevrę na ziemi. Kamień spadł mu z serca, gdy zobaczył, jak na świeżym powietrzu wracała do przytomności.

- Wiedziałem, że frontowe schody długo nie wytrzymają i runą. Bałem się, że będziesz próbował nimi zejść. Nie mogłeś wiedzieć, że kuchenna klatka schodowa stanowi najpewniejszą drogę ucieczki.

- Mogłeś zginąć - Ashe nie przestawał strofować brata.

- Nadal może. W gruncie rzeczy to pewne - usłyszeli złowrogi głos za plecami.

Ashe odwrócił się. Henry stał w bramie ogrodu, a w ręku miał pistolet. W jego niebieskich oczach dostrzegli szaleństwo. Był blady i potargany.

- Widzę, że sam muszę wykonać całą brudną robotę.

Nie mieli wątpliwości, że nie żartuje. Jego wspólnicy zostali pobici, a sekretne machina-cje wyszły na jaw.

Ashe sięgnął po nóż, nie wierząc, że zdąży. Mimo to rzucił nim, mając nadzieję, że celnie. Padł strzał, Neva krzyknęła.

Stracił równowagę i upadł. Czekał na palący ból rany postrzałowej, ale kula go nie ugo-dziła.

Zerwał się na równe nogi, ale Henry zniknął. Genevra na czworakach, to upadając, to się podnosząc, czołgała się do leżącego na ziemi ciała.

- Aleks! - krzyknął zrozpaczony Ashe.

- Zasłonił cię swoim ciałem - wysapała Genevra i zaczęła gorączkowo rozrywać koszulę Aleksa.

Henry leżał kilka kroków dalej z nożem w piersi.

Ashe ukląkł obok brata, objął Genevrę, która opatrunkiem oddartym z koszuli tamowała wypływającą z rany krew.

- Proszę... - szepnął ledwo słyszalnie Aleks. Ashe przybliżył ucho, niemal dotykając ust brata. - Jesteś teraz hrabią, mój mały braciszku - wycharczał.

- Sprowadzimy pomoc! - odparł i pomyślał, że skoro mógł mówić, musiała istnieć szan-sa, że przeżyje.

- Nie, zostańcie ze mną. To nie potrwa długo... - Aleks wydawał się spokojny i pogodzo-ny z losem. - Zostawiłem list... jeśli ogień go nie pochłoniął. Zresztą już i tak wiesz, co trzeba.

- Dlaczego to zrobiłeś?! Nie powinieneś się narażać!

- Nie pozostało mi wiele czasu, Ashe. - Aleks oddychał z trudem. - Tak jest o wiele le-piej... - Uśmiechnął się z wysiłkiem. - Ojciec cię kochał. Wybaczył ci, że wyjechałeś. - Kur-czowo zacisnął dłoń na dłoni brata. W jego ciemnych oczach widać było ból i strach. - Pamię-tasz, jak się bawiliśmy, Ashe? Mówiliśmy: król umarł, niech żyje król.

- Pamiętam.

- Hrabia umarł, niech żyje hrabia. - Z kącika oka Aleksa spłynęła łza.

Na jego twarzy pojawił się spokój. Wydał ostatnie tchnienie.

- Oto odszedł piąty hrabia Audley - powiedział uroczystym głosem Ashe.

- Niech żyje szósty hrabia - dokończyła cichutko Genevra, powtarzając jak echo słowa Aleksa.

Ashe przyciągnął ją do siebie.

- Kiedy zobaczyłem dym, myślałem tylko o tym, żeby nie spóźnić się, by powiedzieć ci, jak bardzo cię kocham. Powinienem zrobić to wiele tygodni wcześniej, ale sam przed sobą nie chciałem się do tego przyznać. - Włożył palce w jej włosy i uniósł jej twarz ku sobie.

- Ja też cię kocham, Ashe. Pokochałam cię od pierwszego wejrzenia.

- Niemożliwe, Nevo. - Roześmiał się. - Spoliczkowałaś mnie za bezczelność.

- Może masz rację... - Uśmiechnęła się znużona.

Nie protestowała, kiedy ją uniósł i ruszył przed siebie.

Zostawiali za sobą wszystkie smutki i wchodzili na drogę ku przyszłości.

Rok później

Ashe spacerował po tarasie za domem, z którego rozciągał się widok na ogrody i niekończącą się przestrzeń parku. Dwór w Bedevere, odbudowany i na nowo urządzony, nigdy nie wyglądał tak dobrze, a może tak mu się tylko wydawało, bo patrzył na świat przez różowe okulary. Nie mógł sobie przypomnieć, by w dorosłym życiu był kiedykolwiek równie szczęśliwy, nawet wtedy, gdy koncertował w Wiedniu. Delikatnie przytulił do piersi trzymane w ramionach zawiniątko.

- Pasuje ci rola ojca - odezwała się cicho Genevra, bezgłośnie zamykając za sobą drzwi werandy. - Śpi? Stęskniłam się za nim - odwinęła rąbek kocyka zasłaniającego malutką twarzyczkę. - Było to jej pierwsze wyjście z domu od urodzenia małego Aleksandra przed dwoma miesiącami.

- Co słyhać w Seaton Hall? - zapytał Ashe.

Pomysł Genevry urządzenia tam domu dla kobiet wypalił i interes kręcił się już od dobrych kilku miesięcy.

- Wszystko w porządku. Stwierdziłam, że radzą sobie beze mnie doskonale. Właściwie wcale mnie nie potrzebują.

- Cieszę się. - Ashe ucałował ją czule. - Tutaj cię potrzebujemy.

- Co mi przypomina, że mam dla ciebie niespodziankę. - Uśmiechnęła się. - Chodź ją zobaczyć.

Z niemowlęciem na ręku i pod ramię z żoną dał się poprowadzić przez ogród do fontanny, która nadal nie działała. Po pożarze było zbyt wiele ważniejszych rzeczy do zrobienia.

Genevra dała znak głową i fontanna ożyła. Woda wystrzeliła wysoko w powietrze, wdzięcznym łukiem spadając do basenu.

- Wszystkiego dobrego z okazji urodzin, Ashe - powiedziała.

Na dany znak ręką zza drzew i krzewów zaczęli wychodzić ludzie - służba domowa, ciotki, nawet Markham Marsbury.

- W zeszłym roku nie wiedziałam, kiedy obchodzisz urodziny - powiedziała przeproszącym tonem. - Już możesz oddać mi dziecko...

- Nie, potrzymam go jeszcze trochę.

- Jeszcze zdążysz się go nadźwigać.

- O czym myślisz?

- O tym, jak wiele może się zdarzyć w ciągu zaledwie kilkunastu miesięcy.

Miała rację. Ostatni rok był rokiem przełomowym w jego życiu. Utracił ojca i brata, ale spotkał Genevrę i odnalazł spokój.

- Mam dla ciebie jeszcze jeden prezent. - Podniosła leżący przy fontannie przedmiot owinięty w brzydki pakowy papier. - Teraz będziesz musiał oddać mi dziecko.

Ashe posłuchał i rozwinął opakowanie. Jego oczom ukazał się model czteromasztowego szkunera. Zaniemówił.

- Jest bezbłędny, Nevo. Będzie pływał?

- Spuść go na wodę i sprawdź.

Wciąż były liczne damy, dla których towarzystwo Ashe'a należało do największych atrakcji sezonu, ale dla niego nie miało to już znaczenia. Najważniejsza okazała się miłość Genevry, którą będzie się cieszył, jeśli łaskawy los pozwoli, w nieskończoność.

Ashe Bedevere nareszcie poczuł się jak w domu.

